



Peter Ransley

WSPÓŁCZESNY KRYMINAŁ BRYTYJSKI

SPOTKANIE

C&I



Ann Devenish jest młodą gniewną, jak na czternastolatkę przystało. A Richard Gates ma czterdziestkę na karku i dochrapał się ledwo stopnia inspektora.

Tych dwoje trafia na siebie przy zwłokach Laury Travers, spokojnej mieszkanki Ashminster - miasteczka nekanej ostatnio plagą zuchwałych włamań. Obraz zwłok będzie odąd prześladować Ann, tak jak Gatesa ciągle natykanie się na dziewczynę podczas jego śledztwa.

Zabranie cichcem broszki z miejsca zbrodni będzie próbą. Przed czym? Tego sama Ann nie rozumie.

Ale kolejnych wypadków nie umie już zatrzymać.

"Jest w tobie jakaś podłość, jakieś zło, Ann..." - słyszy od matki. I sama zaczyna w to wierzyć.

Tylko Gates - sam wychowujący córkę - chce bardzo pomóc Ann. Czuje, że krnąbrna nastolatka zaplątała się w coś bardzo złego. Tyle że kolejna zbrodnia wstrząsa miasteczkiem. I dziwne zachowania Ann się pogłębiają...

**OPOWIEŚĆ NIEZWYKŁA, JAK NIEZWYKŁE SĄ
UMIĘTNOŚCI PISARSKIE RANSLEYA...**



21,90 zł

ISBN 83-89064-73-1



C&T

Peter Ransley

SPOTKANIE

Przekład:
Violetta Dobosz

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału:

BRIGHT HAIR ABOUT THE BONE

Copyright © Peter Ransley 1991

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2004

Copyright © for the Polish translation by Violetta Dobosz

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA SOBECKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS”,

tel. (56) 654-82-04

ISBN 83-89064-73-1

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2004.

Wydanie I.

Ark, wyd. 13; ark, druk. 14,5.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne sp, z o.o.,

ul. Mickiewicza 15,

87-200 Wąbrzeźno.

Gdy grób, gdzie spoczną moje kości,
Otworzy się dla nowych gości [...]
I grabarz w nim dostrzeże
Kość z bransoletką z jasnych włosów wkoło,
Pomyśli, marszcząc czoło,
Że kochankowie znaleźli tu leże,
Którzy widać pragnęli dzięki tej ozdobie
W tłoczny Dzień Sądu poznać się, spotkać przy grobie
I mieć się wzajem jeszcze przez chwilę przy sobie.

John Donne „Relikwia” (*The Relic*)

Przekład: Stanisław Barańczak

I

PRELUDIUM

preludium — krótki utwór muzyczny będący wstępem do fugi lub suity... zapowiedź, wstęp do jakiegoś wydarzenia.

JEDEN

Janet Travers, postawna kobieta koło sześćdziesiątki, wybiegła ze swego domu w niewielkim kupieckim miasteczku Ashminster. Było późne październikowe popołudnie, nie zapadł jeszcze zmrok, lecz ona jakby nie widziała samochodu wyjeżdżającego zza zakrętu drogi od strony mostu. Auto ledwo zatrzymało się z piskiem hamulców, kierowca zaczął kląć, lecz kobieta, na nic nie zważając, biegła dalej, aż wpadła przez bramę do domu naprzeciwko. Dopiero tam upadła i minęło ładnych parę minut, nim zdolna była sensownie się odezwać.

Przewodniki przedstawiają Ashminster jako typowo kupieckie miasteczko. Znajduje się na tyle blisko autostrady, by móc korzystać z dobrodziejstw elektroniki i komputerów, co w latach osiemdziesiątych pomogło w rozwoju dolinie, ale też na tyle od niej daleko, by zachować własny charakter. Aż do tego październikowego popołudnia miasteczko nie znało poruszenia, a już z pewnością nikt nie wyobrażał sobie, że stanie się sceną trzech powiązanych ze sobą morderstw, o których będą trąbiły nagłówki ogólnokrajowych gazet.

Konstabl Gordon Moore (wciąż znany jako miejscowy deptakowy, mimo iż władze mianowały go „dzielnicowym”) nadjechał za kwadrans czwarta i, zobaczywszy się z Janet Travers, wszedł do domu, z którego wybiegła. Stała tam już niewielka grupka gapiów.

Ktoś mówił, że jakaś kobieta miała atak serca. Ktoś inny z całą pewnością widział dym i wszyscy zgodzili się, że nie tylko dom, ale całe miasteczko spłonie, zanim straż pożarna dojedzie ze Stoke Prior, rozrastającego się nowego miasta przy autostradzie.

George Brandon, właściciel sklepu spożywczego „U Brandona”, orzekł, że było włamanie. Brandon zawsze sprawiał wrażenie osoby posiadającej szczególną wiedzę. Jego sklep z marmurowymi ladami, surowymi deskami na podłodze i trzydziestoma różnymi gatunkami sera był tyleż sklepem spożywczym, co turystyczną atrakcją. Przyjezdni wierzyli, że jest oryginalny, choć pięć lat wcześniej został przerobiony z supersamu.

Za pięć czwarta ruch zrobił się większy, bo rodzice zaczęli odbierać dzieci z podstawówki niedaleko kościoła i z Bishop Griffith's, prywatnej szkoły dla dziewcząt nieco dalej nad rzeką Ash. W mieście zaroilo się od grupek uczennic w granatowych mundurkach i czapkach z naszywkami przedstawiającymi czerwonego gryfa z żółtym dziobem i pazurami. Większość z nich zmierzała do sklepu ze słodyczami „Chocolate Box”, zaś kilka do „Copper Kettle” na cyrkonowe herbatniki. Dwie czternastoletnie panny, Ann Devenish i Linda Stone, dołączyły do tłumu przed domem, akurat gdy zjawił się tam doktor Collins. Był to niski człowiek, którego wszyscy znali, a który zdawał się zawsze nosić ten sam ciemny garnitur, zima czy lato zapięty pod szyję.

Ku zaskoczeniu wszystkich wszedł do domu, z którego wybiegła Janet Travers, zamiast do tego, gdzie właśnie leżała, a właściciel tegoż, pułkownik Rogers, podszedł akurat do bramy. Brandon ruszył, by z nim porozmawiać.

Wrócił szybko i oznajmił, że „coś się stało Laurze Travers”, siostrze Janet Travers z Londynu. Szepnął jeszcze coś kilku osobom i być może to wyraz ich twarzy sprawił, że Ann Devenish zapytała: — Nie żyje?

— Idź do domu, Ann — rzekł wtedy Brandon, potężny mężczyzna o podkręconych wąsach, które nadawały mu wygląd prawdziwego kupca z czasów panowania królowej Wiktorii.

— Czekam na mamę — odparła dziewczynka.

- Jest w sklepie.
- Nie lubi, jak tam przychodzę.

Eileen Devenish pracowała na część etatu w sklepie Brandona, odziana w długi fartuch w biało-niebieskie pasy, dumna ze swej zdolności do odcinania kawałków sera niemal dokładnie takiej wagi, jakiej życzył sobie klient.

Brandon, jak jakiś policjant, próbował odgonić dziewczynki.

- Słuchajcie, to nie dla was.
- Dlaczego? — spytała Ann. — Musimy być pełnoletnie? Ściągnęła z głowy wygniecioną czapkę, z której prawie odpadła już naszywka, i wsadziła ją do kieszeni. Było ciepło jak na październik, ale chwilami wiał porywisty wiatr, który zarzucał jej włosy na bardzo bladą, chudą buzię. Grzbiet nosa miała nieco krzywy i sinawy na skutek upadku z roweru w wieku pięciu lat. Jej twarz była raczej ciekawa niż atrakcyjna, o ciemnych, wilgotnych oczach, które potrafiły przewiercić człowieka na wylot. W tej chwili jednak te oczy były ponure i poważne.

Wszystko, co zaszło potem, mogło być skutkiem gorzkiej urazy, jakiej Ann doświadczyła, gdy Brandon wykorzystał swą pozycję szefa jej matki, żeby je odpuścić.

- Posłuchaj — rzekł. — Ktoś nie żyje. Czy to ci nie wystarczy?
- To znaczy — odparła Ann — że potrzebne mi teraz pozwolenie rodziców?
- Daj spokój. Wynocha stąd — powiedział ze złością, odpychając je.
- To może być pouczające — stwierdziła Linda.
- Napiszemy artykuł.
- Do „Griffina”.

„Griffin” był szkolną gazetką, do której obie dziewczyny za punkt honoru postawiły sobie, żeby nigdy nic nie napisać. Złapały się za ręce i parsknęły śmiechem, opuszczając gęstniejący tłum.

Dom Janet Travers był wielkim dwufrontowym budynkiem na końcu drogi, która zakręcała tu ku mostowi na rzece Ash. Alejka z boku prowadziła na niskie, porośnięte trawą wzgórza. Dziewczęta stanęły przed tą alejką.

- Chodźmy do „Kettle” — odezwała się Linda.
- Nie mam pieniędzy.
- Pożyczę ci.

Ojciec Lindy był hurtownikiem spożywczym. Przez pieniądze, jakie jej dawał, i promocyjne łakocie, które podbierała mu z samochodu, przez cały czas walczyła i przegrywała z nadwagą.

— Wolę się dowiedzieć, co się stało.

— Powiedział nam. Ktoś nie żyje. I tyle. Chodź.

Zamiast iść za Lindą, Ann ruszyła wyżłobioną kamienistą ścieżką, usianą kałużami na skutek deszczu, który spadł tego ranka. Na niebie wciąż było trochę ciemnych chmur — jak czarny dym na tle wiszącego nad wzgórzami szarego klina. W oddali ledwo widziała Pijaka, kredową figurę wyrzeźbioną na wzgórzach wysoko nad miastem. Nazwa powstała prawdopodobnie od tego, że postać opierała się niepewnie na jakimś kiju i zwłaszcza jesienią, gdy nad pagórki napłynęła mgła, sprawiała wrażenie, że zaraz stoczy się do pobliskiej doliny.

— Gdzie idziesz?

— Rozejrzeć się.

— Aha.

W żywopłocie była furtka, wokół której wił się gęsty bluszcz. Ann pchnęła ją. Ku jej zdziwieniu była otwarta.

— Daj spokój, Ann!

— Zaraz wracam.

— Nie zrobisz tego.

— Założysz się o funta i ciacho?

— Stoi.

— Myślisz, że się nie odważę?

Tłuste policzki Lindy zadrzały i dziewczyna rozejrzała się po ścieżce. Nikogo nie było widać.

— W porządku, wierzę ci, ale teraz chodź.

Gdy to mówiła, Ann wcisnęła jej swoją teczkę i prześlizgnęła się przez furtkę. Szybko jednak cofnęła się przerażona, chwytając się furtki, żeby nie upaść, po czym wybuchła cichym śmiechem, gdy Linda podskoczyła z przestraszeniem, upuszczając jedną z teczek.

— Bardzo śmieszne — rzekła Linda.

Podniosła torbę i dodała:

— Wiedziałam, że tego nie zrobisz.

Ann popatrzyła na nią buntowniczo, wzruszyła ramionami i beczelnie zapuściła się w głąb ogrodu. Był to spory, kwadratowy kawałek gruntu z widokiem na wzgórze. Zatrzymała się pod jabłonią, niedaleko nie zapalonego ogniska i

ogrodowej altany. Postanowiła zostać tam przez chwilę i wystraszyć Lindę. Mogłaby jej nawet powiedzieć, że była w samym domu.

— Ann?

Usłyszała wystraszony głos koleżanki i skrzypnięcie furtki. Szybko czmychnęła wyłożoną kamieniami ścieżką, przez trawnik i schowała się za wielkim krzewem forsycji. Jakaś gałąź podrapała jej nogę, ale ona nic nie czuła. Serce jej waliło i wyostrzyła wszystkie zmysły; czuła stęchły zapach stosu suchych liści pod krzakiem, których chyba nigdy nikt nie uprzątał.

Osa zbudzona nadspodziewanym ciepłem dwóch ostatnich dni bzycała sennie, przetaczając się z jednego żółtego liścia na drugi. Ten dźwięk dziwnie ją hipnotyzował. Nakazała sobie iść, odejść stąd, a jednak stała tam i gapiła się bez ruchu, nawet gdy osa zabrzęczała blisko jej ucha.

Przesuwane przezroczyste drzwi oszklonego tarasu, który wychodził na trawnik, były otwarte. Ann odkryła, że idzie w ich stronę jak w jakimś śnie — śnie, który już jej się kiedyś snił, kiedy to chciała biec, ale okazało się, że nie jest w stanie panować nad własnymi nogami.

Wszystkie dźwięki brzmiały bardziej intensywnie; kiedy jej obcas stuknął o podłoże, zahuczał jak grom. Nikt się nie pojawił. Oczekiwała, że pochwycą ją jakieś ręce, ale panowała absolutna cisza, przzerwana jedynie terkotaniem wieczornego ptaka. Na końcu ścieżki stało wiadro pełne chwastów i suchych liści, na których leżał mały rydel i para ogrodniczych rękawiczek połyskujących czernią ziemi.

Nasłuchiwała, ale doszedł ją jedynie delikatny klekot poruszanych wiatrem gałęzi jabłoni.

Wyciągnęła rękę do suwanych drzwi. Na oszklonym tarasie stał wiklinowy fotel ze starymi, wypłowiałymi poduszkami, po których wciąż było widać, że ktoś na nich siedział — może to ta niezjąca kobieta. Ann Devenish wpatrywała się w różany wzór, w okulary spoczywające na złożonej na małym stoliku gazecie, w doniczki ze zwiędniętymi pelargoniami na półce.

Bała się. Czemu w domu było tak cicho? Czy wszyscy wyszli?

Zasła już wystarczająco daleko. Mogła teraz wracać. Jutro będzie o tym gadać cała Bishop Griffith's:

— Nie zrobiłaś tego!

— Zrobiła! — zezna za nią Linda, niezawodny świadek wszystkich jej czynów.

Będą się na nią gapiły oniemiałe, jak wyskoczą na szybkiego dymka na pierwszej przerwie, a ona będzie opowiadała o fotelu, okularach, a może i kałuży krwi na podłodze.

— Szkoda, że nie wykorzystasz swojej bujnej wyobraźni w bardziej stosownym celu.

Tak powie panna Phillips, jej wychowawczyni, która na pewno o wszystkim się dowie.

Boże, ale by sobie zapaliła. Akurat gdy się odwracała, by odejść ukradkiem, usłyszała głosy. Wytężyła słuch, by zrozumieć słowa, lecz doszedł ją jedynie niezrozumiały szmer.

Drzwi z tarasu do pokoju były otwarte. Na ścianie wisiał raczej niezbyt udany, amatorski obraz olejny przedstawiający kościół Świętego Piotra w miasteczku, a na stole stała filiżanka nie dopitej herbaty i leżała paczka ciasteczek pani Harris od Brandona.

Prawie na niej stanęła. Zamrugła do niej spod stołu, broszki w kształcie płatków kwiatu ze szpilką zapięcia wbitą w dywan. Podniosła ją. Nie miała pojęcia, czy było to szkło, czy diamenty. Zamknęła zapięcie. Głosy nagle zabrzmiały całkiem blisko i podskoczyła, zupełnie instynktownie wsuwając broszkę do kieszeni.

Stała przy drzwiach na korytarz, a te były minimalnie uchylone. Musiał się tam znajdować jakiś komin wentylacyjny, bo głosy stały się nagle bardzo donośne.

— Czy ktoś ją...?

— Nie wiem.

Usłyszała szuranie, skrzypnięcie, a potem ciszę.

— Nie tknę jej, dopóki oni nie przyjadą.

Oni? O kim mowa? Karetka, stwierdziła. Nie dosłyszała kilku słów w szmeranej konwersacji, ale posuwała się krok po kroku, powtarzając sobie, że po tym następnym musi wiać.

Drzwi pokoju były otwarte. Stała teraz w hallu z kuchnią po lewej ręce. Znów było jak we śnie. Nie czuła, że się porusza; było raczej, jakby to sceny same przesuwały się jej przed oczami. Korytarz zakręcał lekko, niewinnie, zasłaniając jej z początku widok.

I nagle ni stąd, ni zowąd patrzyła przez otwarte drzwi pokoju na dywan, gdzie

rozciągał się kształt nie rozpoznany przez nią od razu jako ludzkie ciało. Jej wzrok skupił się na wyraźnej plamie bieli i czerwieni, a potem dostrzegła, że łączyła się ona z ciałem kobiety około pięćdziesięcioletniej w białym, robionym na grubych drutach swetrze i spódnicy w szkocką kratę, i dotarł do niej widok, który bezustannie miał się powtarzać w jej koszmarach, gdy uświadomiła sobie, że patrzy na roztrzaskaną ludzką głowę z odłamkami kości sterczącymi wśród zakrwawionych włosów.

Moore i Collins popatrzyli na Ann, jakby była zjawą należącą do świata żywych nie bardziej niż te zwłoki leżące u ich stóp.

Przez moment po prostu w trójkę tam stali.

Potem ona krzyknęła i uciekła.

Biegła z powrotem, wpadając na stół i zrzucając herbatę i ciasteczka, przez werandę, zwalając okulary i tłukąc im szkła, przez ogród i furtkę, prosto w ramiona policjantów, którzy właśnie przyjechali ze Stoke Prior.

Rozpłakała się, szlochając i wrzeszcząc, dopóki nie przyprowadzili lekarza. Czy była to reakcja na przerażający widok, czy strach przed tym, co może jej zrobić policja, nie sposób powiedzieć.

Piętnaście minut zajęło policjantce uspokojenie Ann Devenish w tyle policyjnej furgonetki. Kazała dziewczynie zastanowić się, czy coś uszkodziła: zabójca być może dostał się tamtą drogą, a ona mogła zniszczyć jakieś ważne dowody. Niezmiernie potulna, zapłakana uczennica została zaprowadzona do inspektora Gatesa — nie do tamtego domu, bo tam by nie weszła, ale do sąsiedniego, a Gates był zaskakująco miły i spokojny, może dlatego, że rozmawiał już z jej ojcem i wiedział, co ją czeka w domu.

Powiedział, że chce poustawić rzeczy tak, jak stały. Czy Ann mu pomoże?

Najpierw pokręciła głową, ale policjantka uśmiechnęła się zachęcająco, a Gates cały czas mówił, jakie to ważne, aż w końcu popatrzyła na niego.

— Mogę to zrobić, jak dostanę papierosa — orzekła.

Gates wyjrzał przez okno, gdzie zobaczył ojca Ann Devenish, który żądał, by pozwolono mu zobaczyć się z córką i zabrać ją do domu.

Dwóch policjantów uśmiechnęło się. Znalaziono papierosa i pstryknęła zapalniczka.

— To cię może zabić — rzekł Gates.

— On pewnie też — stwierdziła Ann Devenish, bez emocji pokazując ojca.

Dwaj mundurowi uśmiechnęli się szerzej. Jeden odwrócił się i zakaszłał. Najwyraźniej panienka czuła się już lepiej — w rzeczy samej, zdawała się teraz nawet nieźle bawić. Pokazała im ułożenie przedmiotów, które naruszyła. Mówiła jasno i precyzyjnie — zadziwiające, jak na dziewczynkę w tym wieku, wspominał potem Gates — jak gdyby wykonała fotografię wszystkiego, co tego dnia zobaczyła.

Gates zaskoczył ją w końcu jednym pytaniem.

— Piłeś mleko?

— Tutaj?

— Tak.

— Nie. Może on? — podsunęła, a jej oczy zrobiły się wielkie z ciekawości.

Gates doskonale pamiętał każdy szczegół tamtego dnia. Był wysokim, raczej skrytym, dobiegającym czterdziestki mężczyzną i w swoim zawodzie nie potrafił przyzwyczać się do jednego — widok zwłok przyprawiał go o mdłości. Zawsze miał nadzieję, że tym razem to się nie zdarzy, lecz zawsze się zdarzało. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiał i myślał, że dobrze się maskuje, ale wszyscy wiedzieli. Przychodził zobaczyć ciało — tak jak zobaczył to tutaj — zapamiętać ułożenie, broń, sytuację, różnorodne ślady walki, wydawał polecenie otoczenia taśmą pewnych miejsc, a potem znikał gdzieś na piętnaście minut. Wszyscy się tego spodziewali i nikt nie komentował.

Laurę Travers zabito kilkoma okrutnymi ciosami w głowę przy pomocy po-grzebaczka z kominka. Zginęło kilka sztuk cennej biżuterii, karty kredytowe i kilkaset funtów w gotówce, zabranych z wazy, którą Janet Travers nazywała wazą na czarną godzinę. Właścicielka była w szoku i sierżant Black zawiózł ją do szpitala w Stoke Prior. W karetce upewnił się, że kobieta poszła na zakupy — zwyczajnie, do Brandona — i nie było jej w domu tylko przez dwadzieścia minut.

To pasowało do schematu kilku innych włamań w okolicy Stoke Prior. Większość z nich miała miejsce wieczorem, zaś jedno czy dwa po południu. W wielu przypadkach ludzie „wyszli z domu tylko na chwilę” — do sąsiada czy po zakupy — i nie zawracali sobie głowy zamykaniem drzwi na klucz.

Żaden z sąsiadów nie widział obcych ani niczego podejrzanego. To także stanowiło część schematu. Celem włamywaczy zawsze były domy na końcu ulicy z otwartymi drzwiami na tyłach i ścieżką lub polem jako drogą podejścia i ucieczki. W dziewięciu czy dziesięciu przypadkach widziano jedynie jakieś nietypowe pojazdy.

W lodówce Janet Travers nie było mleka, ale na suszarce do naczyń stała pusta butelka, dokładnie wypłukana. Gates miał już do czynienia z przestępcami, którzy częstowali się u swoich ofiar piwem czy whisky, ale nigdy z takim, co to wypijał mleko, tak jak zawsze robił to ten. To było jak wizytówka: pusta butelka stojąca w kuchni, a obok niej, także umyty, czerwony aluminiowy kapsel.

Ktoś musiał go widzieć. Poplamił się krwią, jak było widać po czerwonych smugach — które później okazały się krwią Laury Travers — na stole i na podłodze. Tu mógł być ślad jego buta, ale ktoś, pewnie ta dziewczyna, go zatarał.

Włamywacz musiał spanikować, by zabić tę kobietę w taki sposób. Wypadł potem przez kuchnię i taras, gdzie na framudze znaleziono więcej krwi, prawdopodobnie z rękawa mordercy. Spanikowany przestępca zwykle zostawiał ślady, nierzadko wyraźne ślady, myśląc tylko o ucieczce. Jednak tu nie było żadnych odcisków palców, żadnych włókien z poszarpanego ubrania.

Gates przeszedł przez ogród na ścieżkę, która została ogrodzona taśmą i przeszkana. Zachodzące słońce niespodziewanie przebiło się przez grubą powłokę chmur i oświetliło krajobraz, dotykając Pijaka żółtą poświatą. Gdzieś tam w górze znajdowała się Greenway, stara droga prowadząca na wzgórze, gdzie Gates przechadzał się czasem ze swoją córką Claire. W dawnych czasach, gdy w dole znajdował się niebezpieczny las, musiała to być szosa, z której korzystali kupcy i poganiacze bydła chcący dotrzeć do wybrzeża daleko na wschodzie.

Dla śladów była dobra pogoda. Gleba była mokra, lecz zaczęła już podsychać: porządna lepka konsystencja, w której podeszwy łatwo się odciskały i dobrze zachowywały. Nie padał też deszcz, który mógłby je zatrzeć. Koło furtki znaleziono odciski stóp dziewczynki i jej koleżanki, lecz ani jednego większego. W żywopłocie była dziura i świeżo złamana gałąź, ale po co włamywacz miałby się tamtędy przeciskać, skoro otwarta była furka? Nim zapadł zmierzch, ekipa poszukiwawcza, centymetr po centymetrze przeczesując wyznaczony kawałek gruntu, znalazła dwa odciski kaloszy, lecz te szybko doprowadziły ich do mężczyzny, który wracał ze spaceru z psem po Greenway około kwadransa po trzeciej,

prawdopodobnie w chwili śmierci Laury Travers. Mężczyzna ów, rzeźnik na emeryturze, niczego nie widział ani nie słyszał. Jego pies nie chciał odejść od żywopłotu, ale on zawsze niechętnie opuszczał łono natury na rzecz brukowanych chodników miasteczka.

Może więc jednak, choć wydawało się to mało prawdopodobne, zabójca uciekł przez miasto. Gates wrócił do środka, gdzie konstabl zbierał odciski palców.

— Weźcie odciski palców tej dziewczynki i wyeliminujcie je — powiedział. — Jak ona się nazywa...?

Znacznie później ojciec Ann Devenish orzekł, że tam się to wszystko zaczęło. Nie miał co do tego wątpliwości i mówił to już wtedy. To, co zobaczyła tamtego popołudnia, stało się nasieniem, z którego wyrosła cała ta przerażająca sprawa, każdy jej korzeń i konar. To, że nie pozwolono mu się do dziecka zbliżyć, było niezgodne z prawem. Chociaż różnie mówili tu dookoła ludzie, on kochał swoją córkę i głupotę, zbrodnią wręcz, było zabranie jej do tego domu, gdzie zdjęto jej odciski palców i kazano wszystko rozpamiętywać. Czy pomogło im to w schwytaniu mordercy? Nie. Pomijając już to, że w żadnym razie ona sama nie powinna była tam wchodzić, ale im też nie wolno było zabierać z powrotem do tego domu zaledwie czternastoletniego dziecka. Tam się wszystko zaczęło. Tak uważał i nic nigdy nie zdołało zachwiać tą jego opinią.

DWA

Narobili tyle cholernego hałasu o nic. Weszła tylko do tamtego domu i niczego nie dotykała, cóż, w każdym razie dopóki oni nie zaczęli jej gonić. I w ogóle niczego by nie zrobiła, gdyby nie ten głupi pierdoła Brandon, który zgrywał się na gliniarza.

Nazajutrz rano leżała w łóżku, najbezpieczniejszym w tamtej chwili miejscu w całym domu. Na wpół śpiąca, w rozkosznych zaduchach pościeli — udało się jej wywalczyć, żeby Eileen przestała ją prać, bo lubiła łóżko z jego zapachem, zamieszkanie — myślała o tym, co się stało, z mieszaniną strachu i zadowolenia.

Ależ to było dziwne uczucie! Co ją opętało? Naprawdę czuła się jak we śnie, okropnym śnie, w którym nie mogła się ruszyć, a wszystko przesuwało się jej przed oczami. Zabawne: choć powiedzieli jej, że będzie miała koszmary, spała jak kłoda.

Najgorszy w tym wszystkim był NKWD: miotał się, wciąż klepał o jej prawach, jakby sama nie potrafiła o nie zadbać. W rodzinie żartowano, że nazwała go NKWD, zanim jeszcze powiedziała „tata”. Norman Keith Wiktor Devenish był kierownikiem filii Towarzystwa Budowlanego Downshire w Stoke Prior i odkąd pamiętała, papier listowy i kartki z notesów nosiły jego inicjały.

Sprawili, że poczuła się jak kryminalistka, przesuwając jej palce z podkładki na kartkę papieru.

— Aż strach pomyśleć, co powiedzą w szkole — mówiła Eileen Devenish.

— Będę w dobrym towarzystwie, mamó — odparła Ann. — W Bishop Griffith's jest więcej złodziei niż w więzieniu.

— Nigdy nie mów takich rzeczy! Nawet w żartach!

— Ja nie żartuję. Nie można nigdzie odłożyć długopisu, bo zaraz go gwizdną.

To była prawda — zwłaszcza ostatnio, odkąd zaczęły ginąć pieniądze (niektóre dziewczyny nosiły przy sobie niezłe kwoty) i walkmany.

Gdy Eileen krzyczała, że już dziesięć po ósmej, Ann naciągnęła kołdrę na ucho. Kochała matkę, choć była ona trochę za miękka — ale to już jej problem — i pozwalała sobie wchodzić na głowę NKWD; no i Brandonowi — jak dał jej kawałek wyschniętej szynki, to nie mogła się nagadać, jaki jest hojny. Naprawdę, była z niej urodzona niewolnica. Za to ona, Ann, miała zupełnie inny stosunek do mężczyzn: feministyczne podejście do ich umysłów i pre- (a może post-?) feministyczne do ciał.

Klamka u drzwi poruszyła się i przewróciła krzesło, którym dobrze (jak jej się zdawało) ją zablokowała. Na podłogę spadł wielki radiomagnetofon (już rozwalony), który obciążał siedzenie.

— Jeszcze nawet nie wstała!

To jej wstrętny ośmioletni brat Ben, budzący największą odrazę szpicel nasyłany przez rodziców, by wywęszyć jej tajemnice, miniatura NKWD z tą tylko różnicą, że był od niego bardziej inteligentny.

— Odpieprz się — warknęła.

— Ona powiedziała „odpieprz się” — podkablował praworządny Ben.

— Nie używaj takich słów! — dobiegł głos Eileen gdzieś od wejścia na schody.

— Tak powiedziała...

— Przeklęty kłamca!

Cisnęła książką, która uderzyła w ścianę, rozwalając grzbiet, jako że Ben zdążył odskoczyć.

— Pudło — szydził.

— Ann.

Srogi, męski, „proszę-do-mojego-gabinetu” głos NKWD. Zwlokła się z łóżka owinięta w kołdrę jak w spuchniętą pelerynę i potargała włosy fruujące wokół jej twarzy, której nadała trupi wygląd.

— Tak, tato? — rzekła słabym, drżącym głosem.

— Wstawaj.

— Ja nie spałam. Nie mogłam. Śniły mi się okropne koszmary.

Znów miał zamiar poczęstować ją tą swoją gadką: to tylko twoja wina, jak przestaniesz się włóczyć, i tak dalej, i tak dalej, ale wtedy Eileen oznajmiła, że bekon na niego czeka, i wyszeptła jeszcze do niej, że przyniesie jej herbatę.

Ann posłała jej wielce zbolwały uśmiech i poczłapała z powrotem do pokoju. NKWD nie przestawał łajać jej za wejście do tego domu i próbował dowiedzieć się, co tam zobaczyła, a wszystko to na jednym wdechu.

— Co, u licha, kazało ci się tam pchać? — mówił potem z sarkazmem (dobry był w tych sarkastycznych uwagach, prawie tak dobry jak nauczyciel). — Znalazłaś to, czego szukałaś?

Przemawiał ciut za głośno, odrobinę za szeroko otwierał usta, ukazując mały, zbyt różowy język. Przypominał jej wychowawczynię, pannę Phillips, w tym swoim zainteresowaniu szczegółami jej wybryków, a nie podejmowaniem w związku z nimi jakichkolwiek działań. Tkwiło to gdzieś w jej niespokojnej podświadomości, choć nie do końca potrafiłaby to ująć w słowa. Nie chciała myśleć o tym, co widziała.

— Tato, proszę, przestań o tym mówić — powiedziała, gdy przywiózł ją po wszystkim do domu.

— Przestanę, jak obiecasz mi, że nie będziesz więcej robiła takich głupstw.

— Jak mogę ci to obiecać?

— Jak? Na litość boską! Przecież chyba wiesz, co robisz?

- Nie zawsze.
- Co to znaczy?
- Nie wiem.

Nie wiedziała. Nie wiedziała, jak to powiedzieć, zwłaszcza ojcu, ale czy nie było to w pewnym sensie tak, jakby to ktoś inny otworzył furtkę i minąwszy jabłoń, wszedł do tego domu? Pomyślałby, że to głupia, beznadziejna wymówka, którą w istocie była, czyż nie?

— Co znaczy, nie zawsze? — ciągnął z uporem; żaden pies nie oblegałby swojej kości tak, jak ojciec oblegał ten temat. — Próbujesz mi powiedzieć, że jesteś jak ciotka Betty?

- Nie!
- W takim razie co?
- Nie wiem!

Naprawdę ją zdenerwował tym porównaniem do ciotki Betty. Była jego starszą siostrą. Któregoś dnia zaczęła zdejmować ubranie na stacji benzynowej przy autostradzie i zdążyła się rozebrać do majtek i stanika, nim ją powstrzymali. Mąż ją zostawił i cztery lata spędził w wariatkowie w Stoke Prior, zanim je zamknęli. Teraz miała mieszkanie w Ahminster Royal, gdzie pielęgniarka środowiskowa raz w tygodniu przychodziła dać jej zastrzyk.

Ann powlokła się z powrotem do swojego pokoju. Dwadzieścia trzy po ósmej. Jeśli wyjdzie o wpół, będzie miała szansę spotkać po drodze do szkoły Lawrence'a. Mogła wyjść z domu w ciągu dwóch minut — jej rekord wynosił dokładnie sto dziesięć sekund.

Rzuciła kołdrę, przyjrzała się piersiom, nie zauważyła żadnego postępu, a w tym samym czasie palcami u nóg, które były u niej tak giętkie jak u innych ludzi u rąk, wyciągnęła spod łóżka parę podartych rajstop, w których zawinięte były majtki. Wbiła się w nie w ciągu pięciu sekund, naciągając rajstopy tak, żeby dziura znalazła się na tyłku. Dziesięć sekund na bluzkę, której plamy po spaghetti zakryje — mniej więcej — zawiązany już krawat. Piętnaście sekund — czyżby miała pobić rekord wszech czasów?

Pięć sekund na spódnicę... Gdy wkładała w nią nogi, wytrząsnęła coś z kieszeni, coś, co spadło na dywan i potoczyło się pod krzesło, gdzie leżało, błyszcząc.

Wpatrywała się w broszkę z tamtego domu przerażona i oszołomiona. Jak mogła o niej zapomnieć? Wymazać tak kompletnie z pamięci?

Gdy tak mrugała do niej z ciemności pod krzesłem, przywiodła jej na myśl błyszczącą biel kości roztrzaskanej głowy, więc Ann kopnęła brzeg dywanu, żeby ją zakryć. Zrobiło się jej niedobrze. Usiadła na łóżku, oplótła ramionami nagie, ledwo widoczne piersi i zadrżała. Chciała zbiec do Eileen, ale NKWD jeszcze nie wyszedł — słyszała, jak jedząc, czytał „Daily Mail”. Wiedziała, co jej powie, już słyszała, jak mówi trochę ze złością, trochę z niepokojem i z dziką satysfakcją.

— No, to teraz masz prawdziwe kłopoty, co?

Zaczekać, aż wyjdzie? Nie. Spóźni się do szkoły, a Eileen i tak do niego zadzwoni. Iść na policję? Tego nie mogła zrobić. Najpierw musiałaby im powiedzieć. Podeszła, by podnieść broszkę, ale nie mogła się zmusić, żeby odchylić dywan. Otworzyła drzwi pokoju i już miała krzyknąć na dół, gdy usłyszała, jak ojciec mówi do Eileen: — Po co tak biegasz na górę i na dół? Niech zejdzie, jak wszyscy.

Zamknęła drzwi i wyjrzała przez okno ponad polami, gdzie zielony autobus ruszał właśnie do Stoke Prior. Powinna już wychodzić. Między półkami leżał wciśnięty Pooch, miś, jedyna zabawka, jaką zatrzymała sobie z dzieciństwa. Ucho mu prawie odpadło, a między nogami widniało spięte agrafką rozdarcie. Podniosła broszkę i wepchnęła ją przez dziurę głęboko do wnętrza misia, zapięła agrafkę, po czym wsunęła go między inne rupiecie na półce. Wieczorem powie mamie, na pewno.

Nieprawda, że zapomniała. Niezupełnie. Ale nie mogła znaleźć odpowiedniej chwili. Albo właśnie zbierała się do wyjścia, albo za późno wróciła — zawsze coś było nie tak. Zresztą i tak przeważnie myślała o Lawrensie. Jasne, że był tylko jej fantazją, była tego świadoma. Mieszkała w Chalkbank, nudnej nowej dzielnicy domów szeregowych barwy pasztetu z wątróbki, której wieśniacy (nazywano Ashminster „wioską”, choć w rzeczywistości było to miasteczko) nie uznawali w ogóle za część swej miejscowości.

Nie zależało jej na romansach. Wolała kogoś takiego jak Chris, który pałętał się po centrum handlowym w Stoke Prior, ale widywała go rzadko, tylko gdy nawiały tam razem z Lindą. Wmawiała sobie, że nie interesuje jej nadęty palant taki jak Lawrence z głosem na wpół uwięzionym w gardle, a mimo to zaskoczyła NKWD, gdy przez jakiś czas chwalebnie wychodziła do szkoły wcześniej niż zwykle.

— Moje spóźnienia to już przeszłość, tato — zapewniła go.

W dziesięć dni po morderstwie spotkała Lawrence'a na High Street.

Był na tym swoim góralu, super przerzutki i jeszcze lepsza rama; „wjedzie nawet na Snowdon”, powtarzał jej kilka razy, krążąc koło sklepu z antykami i udając, że ogląda meble, które od lat stały tam takie same: dębowe krzesło z siedemnastego wieku, zwieńczenie kominka i komplet pogrzebaczy.

Zawahała się, idąc dalej ulicą, i zajrzała w okno Brandona znad garbka swojego lekko skrzywionego nosa, którego sinawą barwę próbowała ukryć za pomocą pudru Eileen. Pewnie zainteresowała go jej osobowość albo coś takiego, tłumaczyła potem Lindzie, bo musiała przyznać, że był bosko przystojny z tymi swoimi miękkimi jasnobrązowymi włosami, skrzywionymi, dość dziewczęcymi ustami i najszczuplejszym, najzgrabniejszym tyłkiem, jaki kiedykolwiek widziała, a który w tym momencie unosił się nad wąskim jak brzytwa siodełkiem.

Miał szesnaście lat i chodził do szkoły dla chłopców Stoke Boys'. Chwyliła teczkę, spuściła głowę i przeszła na drugą stronę ulicy, jakby go w ogóle nie zauważyła.

— Cześć — zawołał nagle.

Stanęła jak wryta, patrząc na niego ze zdziwieniem. — A, cześć.

— Jak leci?

Myślała nad jakimś rzuconym od niechcienia luzackim żartem typu „Kupiłeś już jakieś meble?”, ale zaskoczyła sama siebie, mamrocząc wymęczony frazes:

— Dobrze. A u ciebie?

— W porządku.

Zamilkli. On znów patrzył na meble. Ludzie ich mijali. On krążył na rowerze. Nie mogła ścierpieć myśli, że widzi ją w ohydnej szkolnej czapce, więc zdjęła ją i natychmiast poczuła się żałośnie, bo teraz mógł zobaczyć jej niechlujne włosy, choć to raczej mało prawdopodobne, bo znów zagapił się na antyki.

— Ładne krzesło — spróbowała.

— Co?

— Muszę iść — rzekła. — Przepraszam. Cześć.

Gdy odchodziła, chwycił jej czapkę i odjechał. Pobiegła za nim. Miała niezłe przyspieszenie i udało się jej chwycić go za sweter. Ze śmiechem zagroził, że naskarzy na nią, bo nie nosi czapki, i po chwili przepychania się, szarpania, śmiechu i chwytania odprowadził ją przez most do szkoły.

— Słyszałem, że jesteś fajna — powiedział bardziej napiętym niż zwykle głosem.

O-o, pomyślała, o-o, o-o, o-o, a gdzie on to słyszał? Znow bawił się przzerzutkami. Za chwilę zacznie gadać o Snowdon. Znajdowali się na drodze prowadzącej wzdłuż lasku okalającego Bishop Griffith's. Samochody, które przywiozły inne dziewczęta, już odjeżdżały: najnowsze modele landroverów i volva jak karawany.

— Co to znaczy?

— No, fajna.

— Co znaczy fajna?

Wiedziała doskonale, co miał na myśli.

— Fajna. No wiesz.

— Nie wiem — odparła, podnosząc na niego spojrzenie niewinne i zakłopotane.

— Ktoś kiedyś wjechał na nim na Snowdon — obwieścił, jadąc na jednym kole.

— Pewnie było fajnie — odrzekła.

— Co?

— Nieważne.

Gdy biegła do szkoły, on zawołał: — Będziesz po południu przy moście?

— Nie wiem — krzyknęła.

— O czwartej — odkrzyknął, nogami stąpając na pedały i wyrzucając w powietrze tyłek.

Ann patrzyła za znikającą pupą. Kto mu powiedział? Słyszałem, że jesteś fajna. Więc o to chodziło. To mu się podobało. No to mógł się wypchać. Zresztą i tak jej nie obchodził. Snowdon! Co za ćwok! Christo był prawdziwy facet, nie jak ten matoł. Fajna! Co za zafajdany wiek, te czternaście lat! To w ogóle nie był wiek, to nie było nic, nie było się ani dzieckiem, ani dorosłym, z twoim ciałem działały się różne takie świńskie rzeczy, no, może nie świńskie, feministka by tak nie pomyślała, chciała powiedzieć tajemnicze, właśnie tajemnicze, cudowne rzeczy działały się z twym ciałem i co by inni nie mówili o twojej samodzielności, to przynajmniej ona faktycznie samodzielna była, choć co niektórzy rodzice z tych landroverów i volv zrobiliby dla ukochanych córeczek wszystko, począwszy od dopasowania ich pierwszych tamponów, aż po wyjazd na weekend, żeby pociechy mogły kochać się pierwszy raz w apartamentach z łażenkami. Ale nie

dla niej. Nie dla jakiejś zakichanej stypendystki z Chalkbank jak ona. Jej dane było tylko kilka pogadań ze szkolnym wideo: wkraczasz teraz w fascynujący okres swego życia i takie tam bzdury; nikt z nauczycieli zdawał się nie mieć za sobą jakichkolwiek seksualnych doświadczeń, co gdy się na nich patrzyło, wcale nie dziwiło, choć panna Phillips najwyraźniej była w ciąży, ale to pewnie za sprawą niepokalanego poczęcia.

Gdy pierwszy raz powiedziała matce, że krwawi, Eileen zaczęła szukać plastra. Ludzie nie wierzyli Ann, kiedy im o tym mówiła, ale to prawda.

Potem Eileen popatrzyła tylko błędnie, co świetnie jej wychodzi w kryzysowych sytuacjach, i powiedziała: — Dolna lewa szuflada w naszym pokoju, pod ścierkami do naczyń. Napijiesz się herbaty?

Fajna. Był to eufemizm miesiąca określający dziewczyny, które to robiły. Te, które tego nie robiły, zawsze wychodziły główną bramą. Te, które to robiły, albo chciały uchodzić za takie, co robiły, kręciły się koło zadaszonego wejścia z boku. Chłopaki ze szkoły Lawrence'a, która mieściła się w Ashminster Royal, przyjeżdżali na rowerach i krążyli, wypatrując zwierzyny, chyba że zostali przegnani przez nauczycieli.

Tego ranka Ann się nie spóźniła. No, nie całkiem się spóźniła. Sprawdzono już obecność, ale zdążyła przecieżyć na apel. A mimo to dostała uwagę o ustawicznym spóźnianiu się do szkoły, informującą rodziców, że nazajutrz będzie musiała zostać po lekcjach.

Była więc w podłym nastroju, gdy po południu wraz z Lindą wychodziła boczną bramą.

— Masz zamiar spotykać się z Lawrence'em? — spytała Linda.

— Popieprzyło cię?

— Myślałam, że ci się podoba.

— On! — rzekła z pogardą. — On tylko potrafi gadać o tym swoim rowe-rze.

Było za dziesięć czwarta. Jedzie teraz przez miasto na most, podrzucając tyłkiem. Cóż, nie powiedziała, że przyjdzie. Fajna! Dobrze mu zrobi, jak się tam trochę pokręci. Trochę go to ostudzi. Zresztą i tak musi odrobić zadanie z fizyki, bo wpadnie w jeszcze większe tarapaty. Kto by to pomyślał, że światło się załamuje, a jednak tak było: jak patyk w kałuży, zgięty jak kolano, a wyprostował się, gdy go wyjęła. Niektóre rzeczy widziało się codziennie, a wcale się ich nie dostrzegało. Gdy nachyliła się zafascynowana, kilku chłopaków zaczęło gwizdać i podskoczyła, pyskując im w odpowiedzi.

— Może popiwkujemy, skarbie... — podniecał się dalej jeden z nich, gnając obok niej na wyścigówce Peugeota. W bidonie zamiast wody miał piwo.

— Zawiąż go sobie lepiej na supeł! — wrzasnęła.

Zacznie wychodzić główną bramą, jak Melissa Barnett i Holly Porter. Zabierze się do roboty. Przestanie pić i palić. No, przynajmniej się ograniczy. Tak właśnie zrobi.

— Chętnie pogadałabym o tym jego rowerze — rzekła Linda.

— Chyba ci się nie podoba, co?

— Jest słodziutki.

— Mówisz serio?

— Ten jego tyłeczek!...

— A to. Nie zauważyłam — powiedziała Ann.

— Pieprzona kłamczucha.

Objęły się i zachichotały. Obok szkoły biegła aleja wysadzana dębami i kasztanowcami, która oddzielała teren szkoły od lasu. Październikowe wiatry zarzuciły ją stertami liści i połamanych gałęzi, odsłaniając gawronie gniazda zawieszono w górze jak olbrzymie wieńce. Dziewczyny szły pod nimi szarpane wiatrem, gdy brnęły przez liście i porozgniatane ciemnobrązowe kasztany.

Ann zerknęła na zegarek. Była za minutę czwarta.

— Chodź ze mną, Linda.

— Nie mogę! Obiecałam, że będę w domu przed...

— Oj, daj spokój!

Linda zgodziła się, ale żeby dojście tam zajęło mniej niż dziesięć minut, musiałyby iść przez las, a nie było mowy, żeby tam weszła, nie dlatego, że to zabronione, ale z powodu morderstwa. Kazano im wracać prosto do domu i to w grupach, jeśli nikt nie mógł ich odebrać ze szkoły.

— Nie wygłupiaj się, Linda! Wszyscy tam chodzą! Patrz!

Dwóch chłopaków ze Stoke rzuciło właśnie rowery i prześlizgnęło się między drutami. Lecz Linda była niewzruszona. Nagle dla Ann najważniejszą rzeczą stało się dotarcie do mostu, zanim *on* stamtąd pójdzie. Ależ z niej idiotka, że tak długo się wahała! Nie odzywając się do Lindy, przerzuciła teczkę przez płot, a sama przecisnęła się pod spodem.

— Ann...

— Na razie.

Machnęła niedbale w stronę przyjaciółki i pobiegła, kołysząc teczką. Ścieżka prowadziła wzdłuż ogrodzenia i dalej na wzgórze. Musiała przejść przez środek lasu, a gdy tylko oddaliła się od płotu, zrobiło się ciemno, jakby nagle zapadła noc. Nie było tam ścieżki i zmuszona była zwolnić, omijając jeżyny i brnąc przez paprocie.

Gdzieś blisko usłyszała trzask i głuchoe stuknięcie. Zamarła w bezruchu za drzewem. Z początku nie słyszała nic, tylko wiatr smagający wierzchołki drzew, jak odległy dźwięk przypływu. To pewnie ci dwaj chłopacy idą za nią. Potem usłyszała, jak krzyczą gdzieś w oddali, niedaleko płotu. Ich głosy ucichły.

On pewnie już odjeżdża. Nie ma na co czekać. Wskoczyła zza drzewa i ruszyła przez niewielką polanę. Stała. I roześmiała się. Po całej polanie i poza nią leżały porozwalane kawałki spróchniałego drzewa, całe połamane przez wiatr gałęzie. I to wszystko!

Przeskoczyła ponad zwalonym konarem i precyzyjnie się pod ogrodzeniem przy moście akurat w chwili, gdy Lawrence wsiadał na rower, by odjechać.

TRZY

Jak tylko tam doszła, od razu chciała wracać do domu. Spotkanie wypadło równie głupio jak rano. Nawet jeszcze głupiej.

— Myślałem, że nie przyjdiesz — odezwał się, siedząc na rowerze i przytrzymując się balustrady na moście.

Zahuściła teczką.

— I nie przyszłam.

— Przecież tu jesteś.

— Muszę być w domu o wpół do piątej.

— Do Chalkbank masz pięć minut na piechotę.

— Skąd wiesz, że tam mieszkam?

— Domyśliłem się.

Odsunęła się od balustrady i zeszła w dół po kamieniach tworzących nierówne schodki prowadzące do rzeki. Hm. Domyślił się, co? Woda była ciemna i kotłowała się białą wokół zielonego, połyskującego kamienia. Usłyszała trzask otwieranej puszkę, którą, jak dostrzegła kątem oka, wyjął z teczki i wyciągnął w jej

stronę. Wszyscy oni kupowali piwo u Pakistańczyka na East Street w Ashminster Royal, który zawijał puszki w szary papier, tak że wyglądały jak olbrzymie cukierki.

— Nie piję — oznajmiła pruderyjnym tonem nowo nawróconej.

— Nawet coli?

Popatrzyła na puszkę, a on parsknął śmiechem.

— Ja też nie piję — objaśnił. — Muszę kuć.

— Mózg ci zgnije.

— Może.

Wziął łyk i podał jej puszkę, i nagle lody puściły, i rozgadali się — nie o jego rowerze, ale o współczynniku refrakcji wody, który był najbardziej magicznym, najcudowniejszym tematem na świecie. Okazało się, że on lubi fizykę. Mówił o załamaniu się światła, jej zadaniu domowym, i był taki miły, na jakiego wyglądał, naprawdę miły... typ chłopaka, z którego otwarcie kpiła, a za jakim tęskniła skrycie. Chłopak, jakiego można by przyprowadzić do domu na herbatę. Nagle strzeliło jej do głowy, żeby zaprosić go do siebie.

„Mamo, to jest Lawrence...”

Eileen padłaby trupem ze zdziwienia po tym, z czym miała wcześniej do czynienia.

— ...a więc żeby zaszło całkowite wewnętrzne odbicie w pryzmacie, kąt padania musi być większy od kąta granicznego.

— Rozumiem.

Podniosła na niego oczy. Pocałował ją. Rower przewrócił się i przez chwilę Ann myślała, że rzuci się sprawdzić uszkodzenia, ale zamiast tego złapał ją jak żądny gnata pies i zaczął szukać jej ledwo widocznych piersi.

— Ej. Szybki jesteś.

— Nie jestem szybki. Wcale nie jestem szybki i w tym jest problem — wymamrotał.

— Aha.

— Bo w sobotę kończę szesnaście lat. Szesnaście.

— Szesnaście — powtórzyła jak echo i nie zapanowała nad chęcią dotknięcia jego pupy.

— Dobry wieczór, Lawrence.

To był pułkownik Rogers idący na spacer wzdłuż rzeki ze swoim spanielem. Do niej się nie odezwał, choć znał Eileen ze sklepu Brandona.

— Dobry wieczór, proszę pana — odparł Lawrence, odskakując od niej z purpurową twarzą.

— Ładnie dziś.

— Tak, ładnie.

Pułkownik zawołał psa i ruszył w dół ścieżki, którą nadciągało dwoje innych ludzi z czworonogami.

— Czas spacerów — rzekł Lawrence.

Popatrzył na las, a potem na nią.

— Chodźmy więc na spacer.

— Już wpół do piątej... Jutro — powiedziała i zaraz dodała: — Och, nie mogę. Muszę zostać po lekcjach.

A każdy kolejny dzień po jutrzejszym zdawał się leżeć w beznadziejnie nieosiągalnej przyszłości. Podnosił już rower, najwyraźniej z zamiarem odejścia i uniknięcia spotkania z innymi spacerowiczami. Spojrzał na swój ogromny zegarek z imponującą liczbą tarcz pokazujących godziny w różnych częściach świata. Zmrużył oczy.

— W Tokio jest teraz dziesiąta — obwieścił, a ona wybuchła śmiechem.

— Z czego się śmiejesz? — spytał urażonym tonem.

Nie mogła przestać. Splotła swe ramię z jego i popatrzyła w stronę lasu.

— Pięć minut — orzekła.

Wygramolili się znad rzeki i Lawrence ukrył rower w krzakach, zdejmując najpierw przednie koło.

— Łatwe w demontażu — powiedział. — Rano tak się ch-ch-choler-nie denerwowałem, że zapomniałem o blokadzie.

— Czym się tak denerwowałeś?

Nie odpowiedział jej, tylko przecisnął się pod ogrodzeniem. Poszła za nim. Przerzucił koło przez ramię. Nie spodziewała się po nim niczego ponad chwilę obściskiwania przy płocie, ale Lawrence prowadził ją w głąb lasu. Żadne z nich się nie odzywało, lecz wiedziała, dokąd idą — do spróchniałego drzewa, ogromnego pnia z dziuplą pośrodku lasu, porośniętego bluszczem i pokrytego inicjałami.

Sama nie miała pojęcia, dlaczego to powiedziała; musiała wciąż żyć tą swoją fantazją i słowa wydobyły się mimo jej woli.

— Przyszędłbyś na herbatę?

— Co? Gdzie?

Zrobiło się jej gorąco i poczuła, że twarz piecze ją wściekle.

— Nigdzie. Żartowałam tylko.

— Mówiłaś jak Jesame.

— Jesame to twoja dziewczyna?

Chłapnął gdzieś w błoto i wziął ją zaraz za rękę.

— Przyjaciółka rodziny.

Aha. Przyjaciółka rodziny...

Niewielkie łaty nieba, jakie mogli dostrzec między czubkami drzew, przybrały barwę ciemnego fioletu, a jego twarz stała się niewyraźna. Dotarli do drzewa, z boku którego długą linią wyrastały grzyby świecące lekko odrobiną światła, jaką udało im się jeszcze pochwycić. Nagle rozwrzeszczały się ptaki, sprawiając, że podskoczyła. Poczowała się nieswojo i gdy przybliżył się, by ją pocałować, odsunęła się.

— Chyba kogoś słyszałam.

— Ptaki i tyle.

Odłożyła teczkę i wpatrywała się nerwowo w zapadający mrok.

— Będzie impreza?

— Co? Kiedy?

— W twoje urodziny.

— Tak.

— Ona też będzie?

— Kto?

— Jesame.

— Pewnie tak.

Gniotły ją szprychy koła.

— Odłóż to koło, głupku.

— Przepraszam, ja... Przepraszam...

Drżał, a ona poczuła przypływ uczucia i rozchyliła wargi. Po chwili on niewprawnie wsunął dłoń pod jej spódnicę. Wyjęła ją. On przełknął ślinę i oparł się o drzewo, wpatrując się w suche gałęzie. Wzięła go za rękę. Przyciągnął ją brutalnie do siebie, a jego dłoń znów powędrowała pod jej spódniczkę.

— Zostaw.

Tym razem nie wycofał się, lecz zaczął ściągać jej rajstopy. Po krótkiej szarpaninie odepchnęła go.

— Powiedziałam zostaw!

Poślizgnął się na wilgotnych liściach i uderzył głową w drzewo. Zbliżyła się do niego zaniepokojona.

— Nic ci nie jest?

Rzucił się na nią.

— Przecież to robisz — powiedział.

Zrobiło się jej niedobrze; poczuła się zbrukana. Przy bocznej bramie z innymi dziewczynami miałyby przygotowaną jakąś szyderczą odpowiedź, ale odpowiedzieć jemu... poczuła palącą złość i upokorzenie.

— Kto tak mówi? — spytała. — Kto ci to powiedział?

Nie odezwał się, tylko odwrócił się od niej i rozcierał głowę.

— Robisz to z Jesame?

Wyczytała odpowiedź z utkwionego w ziemi spojrzenia.

— Pokaż mi to.

Obtarł głowę o korę drzewa i już widać było opuchliznę.

— Mam coś — oznajmił.

— Wiem, że masz — odparła spokojnie. — Da się wyczuć.

— Nie... nie... nie... — dukał. — Mam...

Sięgnął do kieszeni, a ona wiedziała, choć było za ciemno, żeby to zobaczyć, że to gumka „Erotika” — ze znanym jej rysunkiem pary kochanków trzymających się za ręce o zachodzie słońca — którą można było nabyć za pięćdziesiąt pensów w „The Star”. Znów zrobiło się jej niedobrze, a raczej poczuła wokół siebie pustkę i żal, choć znała je dobrze, a jedną miała nawet w swojej torbie.

— Czy tylko *o to* ci chodziło? — spytała.

— Nie... jasne, że nie...

Odwróciła się, żeby poszukać teczki, znalazła jego koło i podała mu.

— Nie rozumiesz — rzekł.

— Rozumiem, i to świetnie.

Zalała ją fala niewiarygodnego spokoju. Wiatr znów się podnosił, szarpiąc wierzchołki drzew, drąc liście i odsłaniając na krótko księżyc, który oświetlił jego twarz.

— Zaprosisz mnie na urodziny? — spytała.

— Nie znam cię — odparł.

W tych okolicznościach jego odpowiedź zabrzmiała niezwykle głupio i musiało to do niego dotrzeć, jak tylko usłyszał własne słowa, bo odrzucił przerwy na ziemie. Ann podniosła teczkę i już odchodziła, gdy on pozwolił sobie na krótki wybuch furii.

— Wszyscy wiedzą, że to robisz — powiedział.

Jej wściekłość dorównywała jego złości, tak jak jeden podmuch wiatru dorównywał drugiemu. Gniew całkowicie ją zawładnął, lecz nie była to ślepa złość, a taka, która znajduje się pod jakąś dziką kontrolą. Bezmyślnie upuściła teczkę gdzieś w jeżyny i wzięła go za rękę.

— Chodź.

— Słuchaj, ja nie chcę tylko...

— Chodź!

Rozpięta mu rozporek, tak jak nauczyła się rozpinać zamek Chrisa. On jęknął i rzucił się przeszukiwać mokre liście.

— Ja mam — oznajmiła. — Chyba się spodziewałeś, że będę miała, co?

Wciągnęła go do groty utworzonej przez nawis martwego drzewa. Było tam dość sucho, ale panował stęchły zapach zgnilizny. Pod ich stopami zagrzecotała pusta puszka. Majtki i rajstopy miała zwinięte już wokół kostek. On położył się na niej. Zaczął ją obmacywać. Jego palce znieruchomiały i wycofał się.

Chwyciła go za ramiona.

— No chodź.

Nie widziała jego twarzy, tylko ciemną sylwetkę, na czworakach idącą do tyłu. Poruszył zwisający z tyłu bluszcz i Ann zobaczyła przez plataninę gałęzi jakby włączony przez niego księżyc, wschodzący nisko na wieczornym niebie.

Zerwał się na nogi i krzyknął z obrzydzeniem, czując raczej zapach, niż widząc krew i wycierając rękę o suche liście, które przylepiały mu się do palców; wycierał je i wycierał.

— Masz jakiegoś syfa.

— Mam okres, ty pierdolony głupcze!

Była jak zwierzę, przycupnięta na czworakach, wrzeszcząc na niego z pogardą i bólem, tryskała śliną.

— Ty pierdolony niemoto, mam okres!

Cofając się, a potem rzucając do biegu, jakby gonił go sam diabeł, przypomniał sobie o kole. Gdy po nie wrócił, ona była pierwsza. Cisnęła w niego lekki aluminiowy krążek jak dysk. Uchylił się i miała dzięką satysfakcję, widząc, gdy je podniósł, że jest powykrzywiane.

Trzymał i bez słowa wpatrywał się w zósemkowane koło. Potem znów z przymusem wytarł rękę i odszedł w mrok.

Ruszyła za nim, wlokąc się bez celu od drzewa do drzewa. Dobrze tak dupkowi! Spodziewał się! Tak po prostu! Wszyscy wiedzą! Powoli złość z niej wyparowała, pozostawiając po sobie apatię i znużenie. Doczłapała z powrotem do ogrodzenia, lecz do tej jego części, która znajdowała się spory kawałek od rzeki. Poczowała, że musi się odwrócić. Dostrzegła coś, jakiś ruch czy raczej cień ruchu. Tak momentalny, że sekundę później nie była pewna, czy w ogóle cokolwiek widziała — cień znikł.

Drut kolczasty porozrywał jej ubranie, gdy przeciskała się pod ogrodzeniem. Zawołała Lawrence'a, ale nikt jej nie odpowiedział. Biegła jak szalona w złym kierunku, aż drzewa przerzedziły się i uświadomiła sobie, że zmierza ku wzgórzom.

Zgramoliła się w dół w stronę rzeki, poślizgnęła się na ścieżce i prawie wpadła do wody, potem w górę na brzeg, przez główną ulicę, której jeszcze nigdy nie witała z taką radością, błogosławioną główną ulicę ze światłami i zakrętem do Chalkbank. I dopiero gdy wykonywała znany tak dobrze gest otwierania furtki, uświadomiła sobie, że zapomniała teczki.

CZTERY

Jak tylko znalazła się w łóżku, jej nastrój zmienił się gwałtownie. Pragnęła go, zwyczajnie go pragnęła. Nie obchodziło jej jego skrajnie głupie, szczeniackie, seksistowskie zachowanie, ona po prostu go pragnęła. Patrzyła teraz na to zupełnie inaczej. Może to miał być jego pierwszy raz, może nie udało mu się tego dostać od tej zafajdanej Jesame, może przysiągł sobie, że zrobi to, zanim skończy szesnaście lat...

Usiadła na łóżku. Boże, to było to, mogła się założyć o sto funtów, że właśnie o to chodziło!

To nie było żadne usprawiedliwienie, ale też nie mogła znaleźć usprawiedliwienia dla siebie. Co jej odbiło, co w nią wstąpiło i kazało się tak zachować? Jak mogła być taka smarkata i głupia, taka obrzydliwa i poniżająca?

W przyptywie pasji zaczęła okładać się poduszką, wepchnęła do ust prześcieradło, żeby nie krzyczeć.

Nigdy jeszcze nikogo takiego nie знаła. Był jej jedyną szansą, najmilszym chłopakiem, jakiego spotkała, a teraz już go więcej nie zobaczy.

Rozpłakała się i nie mogła przestać, a jej ciche łzy przeszły we wstrząsający szloch, który przywiódł do jej pokoju matkę. Zakopała twarz w poduszce i skłamała, że to przez okres, a Eileen przyniosła jej paracetamol.

Rankiem obudziła się z pewnym pomysłem, iskierką nadziei. Mogła odkupić mu koło do roweru. Nie bardzo miała pojęcie, ile takie rzeczy kosztują, ale pewnie coś około dziesięciu funtów, najwyżej dwadzieścia. Pożyczyła trzy od Eileen, pertraktując błyskawicznie, zanim NKWD wyszedł z łazienki, a potem za dychę zaproponowała bratu swój beużyteczny radiomagnetofon (Ben nigdy nie wydawał pieniędzy i często był najzasobniejszą w gotówkę osobą w całym domu).

— Piątek — powiedział tonem, który oznaczał, że Ann ma brać, co daje, albo spadać.

Nie miała ochoty się spierać, bo sprzęt i tak nie działał, po czym ruszyło ją sumienie i, ponieważ towar był kompletnie beużyteczny, powiedziała, że pożyczycy od niego te pieniądze. Jednak on uparł się, że go kupi.

Wzruszyła ramionami.

— Jak chcesz.

Gdy się ubierała, zdawało się jej, że Pooch do niej mrugnął. Tak naprawdę to słońce odbiło się od przejeżdżającej ciężarówki, ale przez moment wydało się jej to całkiem realne. Podniosła misia.

— Masz ją jeszcze?... No, pilnuj, żeby nikt jej nie dostał, dobrze?

Dawno temu prowadziła niekończące się konwersacje z zabawkami, z których teraz pozostał jej jedynie Pooch. Usłyszała, jak ojciec wychodzi z łazienki i chrząka; następny przystanek „Daily Mail”, strony gospodarcze i stopy procentowe.

Mijając jej otwarte drzwi, powiedział: — Bawisz się lalkami?

Co miała powiedzieć? „Ach, właśnie coś sobie przypomniałam. Mam broszkę z tego domu, gdzie zamordowano kobietę”.

Już było za późno, żeby komukolwiek o tym powiedzieć. Będzie musiała się jej pozbyć. Gdzieś ją wyrzucić. To najlepsze wyjście. Spod łóżka wyciągnęła płataninę butów, ciuchów i książek i wepchnęła misia jak najgłębiej się dało.

Rodzinne śniadanie przy stole było zdaniem jej matki lekarstwem na wszelkie problemy, jedyna pora dnia, kiedy cała rodzina była razem, choć NKWD

czytał „Daily Mail”, a ona nigdy nie jadła, tylko plątała się dokoła, szukając różnych rzeczy i co chwila dolewając sobie herbaty. Cóż, lepiej już mieć to z głowy.

— Zgubiłam teczkę — oznajmiła.

— Teczkę z zadaniem domowym? — spytał Ben.

— Tak. — Chrupała płatki. — Czy to nie straszne?

Ben wessał żółtko kapiące z jajka na miękko.

— Więc nie mogłaś go odrobić?

— Wytrzymaj jeszcze tylko palec — odezwał się ojciec, według którego syn nigdy nie robił nic karygodnego.

— Właściwie to mi ją skradziono — ciągnęła chłodno Ann.

To zdanie zaskoczyło w równym stopniu ją, jak i rodziców, lecz wydało się genialnym wyjściem, rozwiązującym za jednym zamachem problem zadania domowego, którego nie odrobiła, przebywania na zakazanym terenie i zostania po lekcjach. Jeśli po szkole będzie wolna, będzie miała pieniądze na koło i pokręci się przy moście...

Rozpaczliwie pragnąc uniknąć dalszych kłopotów, znalazła się w klasie tuż po drugim dzwonku, napotykając spojrzenie Lindy pytające: jak poszło z Lawrence'em? Podniosła oczy do sufitu i przybrała rozmarzony, głupkowaty wyraz twarzy, a Linda chciała coś powiedzieć, lecz zgromiło ją czarne spojrzenie panny Phillips ubranej w falującą kwiecistą suknię, triumfalną oznakę jej brzemienności.

— Ann Devenish? — zawołała.

— Obecna — rzekła donośnie Ann, posyłając jej promienny, szeroki uśmiech.

Panna Phillips odpowiedziała jej grymasem raczej mroźnym i postawiła w dzienniku niebieski haczyk, jeden z niewielu przy nazwisku Ann w tym semestrze.

Po tym, jak nauczycielka obwieściła, że zmienia teraz salę na geografię, Ann podniosła rękę i powiedziała, że zginęła jej teczka.

— Gdzie ją zostawiłaś? — spytała panna Phillips, natychmiast nabierając podejrzeń.

Ann zawahała się.

— W klasie. Ktoś musiał mi ją zabrać.

— Czemu nie zgłosiłaś tego wczoraj?

— Bo wszyscy już poszli. Zdążyli wyjść. A ja mam w niej wszystkie moje zadania domowe, panno Phillips.

— Nie rozumiem, po co ktoś miałby ci ją zabierać — ciągnęła oschle nauczycielka.

— Ja też tego nie rozumiem, panno Phillips — odparła Ann z czarującym uśmiechem, od którego ta stara suka zacisnęła usta, jakby spróbowała kwaśnego mleka.

Panna Phillips oznajmiła, że przed apelem będzie musiała to zgłosić pannie Montrose, dyrektorce. No i dobrze. Wieczorem może znajdzie teczkę w lesie, po drodze na most. Wtedy opowie historyjkę, że pewnie ktoś ją schował dla żartu. Super.

Gdy klasa gromadnie ruszyła na apel, panna Phillips zawołała jeszcze Ann i oznajmiła, że panna Mullins zostanie z nią po lekcjach.

Ann przyłożyła dłoń do ust. Jej twarz zmarszczyła się z przerażenia.

— Moi rodzice nie widzieli tamtej uwagi.

Panna Phillips zapytała zaraz cicho i złowróźnie: — Czemu im jej nie pokazałaś?

Ann popatrzyła zmieszana. Nauczycielka nachylała się, trzymając się za krawędź biurka; wyglądała jak jastrząb, tak pewny swej ofiary, że może sobie pozwolić na moment łaski przed zadaniem śmiertelnego ciosu.

Ann podniosła wzrok.

— Była w mojej teczce, panno Phillips... Wiem, że powinnam była im powiedzieć, wiem, strasznie mi przykro, naprawdę, ale tak bardzo zdenerwowała mnie ta utrata teczki...

W tej chwili sama już praktycznie wierzyła w tę historię i w jej oczach błysnęły łzy. Panna Phillips z westchnieniem pogłaskała się po brzuchu, obciągnęła suknię, powiedziała, że napisze jej jeszcze jedną uwagę i kazała iść na apel.

Siedem setek dziewcząt upchnięto w auli stanowczo dla nich za małej. Starsze zgromadziły się z tyłu, zaś młodsze, w tym Ann, siedziały po turecku na wypoleowanym parkiecie obok malowanych tablic głoszących akademickie sukcesy absolwentek.

Weszła panna Montrose i wszyscy — pracownicy szkoły i uczennice — wstali. Była wysoką, zgrabną kobietą w granatowej garsonce, białej bluzce i niebieskiej apasce. Przed hymnem zrobiła dłuższą niż zwykle przerwę i nie uśmiechnęła się. Jej trzy zastępczynie — panie Zła Nie Widzieć, Zła Nie Słyszeć i Żle Nie Mówić — studiowały własne paznokcie i podłogę, co pozwoliło się domyślić, że coś jest nie tak.

— Jak było z Lawrence'em? — wyszeptła Linda.

— Cudownie. Pożycz mi piątkę.

Poczuła na sobie wzrok dyrektorki i zaczęła śpiewać z niezwykłym dla siebie entuzjazmem: — Ranek zajaśniał nagłym świtem, kos zaśpiewał pierwszym trelem...

Gdy usiedli, by wysłuchać obwieszczenia, Linda odezwała się: — Po co ci pięć funtów?

— Na jego rower.

— Jego rower?

Starościna klasy kazała im się przymknąć. Panna Montrose mówiła spokojnie, wyważonym tonem i w zasadzie wcale nie musiała podnosić głosu, by dotarł on do każdego zakątka hallu.

— Niech nie umknie waszej uwadze, że na tablicy ogłoszeń wisi lista zaginionych rzeczy, w tym pieniędzy...

Ann wpatrywała się w słaby promień słońca, w którym zajaśniał fruwający pył, a który później padł na olejny portret Dorothy Richardson, dawnej dyrektorki szkoły. Podniosła wzrok. Monty ostrożnie dobierała słowa, czytając z kartki.

— Odkryliśmy właśnie, że niedawno, w ciągu dwóch ostatnich tygodni, jak sądzimy, ktoś włamał się do rzadko używanego magazynu obok szatni.

Po pomieszczeniu przebiegł szmer poruszenia. Zaczekała, aż wszyscy ucichną, i mówiła dalej.

— Policja łączy to z niedawną serią włamań w naszej okolicy, chyba że znajdą dowody, iż było inaczej.

Nikt się nie odzywał, cisza przejmowała do szpiku kości, nie licząc tego, że jedna z dziewcząt zaczęła nerwowo kasłać i spluwać do chusteczki.

— Podjęliśmy wszelkie możliwe środki ostrożności, lecz tak naprawdę wszystko zależy od was. Teraz ważniejsze niż kiedykolwiek przedtem jest to, byście wracały do domów w grupach, jeśli nie mogą was odebrać rodzice...

W auli było pełno kurzu i panował zaduch od zwalistych starych grzejników. Ann zaczęła główkować. Dwa tygodnie temu. Tuż przed morderstwem. Była w środku tego magazynu kilka razy— ciasne pomieszczenie, gdzie trzymano narzędzia ogrodnicze i połamane krzesła.

— Podkreślam raz jeszcze — mówiła panna Montrose — nie wolno wam nosić biżuterii, nawet po to, by założyć ją później, i absolutnie zabraniam używania walkmanów — dwa już zostały skradzione.

W przerwie na lunch Ann wpatrywała się w listę zaginionych rzeczy, na wpół oczekując, że ujrzy na niej swoją teczkę, lecz nic takiego nie znalazła. Panna Phillips przewinęła się gdzieś na końcu korytarza i przez moment Ann pomyślała, że jej szuka, ale chyba się pomyliła, bo nauczycielka minęła ją szybko bez słowa.

Tego dnia nikt więcej nie wspomniał o teczce Ann. Ani też nikt nie mówił o jej karze za spóźnienia. Ann dziwiła się, ale też czuła ulgę: najwyraźniej pokonała tę starą małpę, jak to zwykle robiła z nauczycielami po semestrze czy dwóch. Ucieszyła ją ta myśl i trzy funty, które zdołała wydębić od Lindy. To oznaczało, że razem miała jedenaście: dycha dla Lawrence'a i jeden funciak na papierosy, w zależności od tego, kto będzie obsługiwał w „Chocolate Box”.

Dwa razy tylu rodziców co zazwyczaj przyjechało odebrać swoje córeczki ze szkoły i Ann załapała się do samochodu prowadzonego przez matkę Lindy, która wysadziła ją przy moście. Mary Stone była wielką kobietą, która uwielbiała czekoladę, ale jadła ją tylko potajemnie... w obawie o nadwagę córki! Zwykle była całkiem na luzie i spokojna, ale nawet ona miała swoje lęki.

— Wolałabym odwieźć cię do domu.

— To zaraz na brzegu rzeki! Naprawdę, nic mi nie będzie.

Było dość wcześnie. On musi tędy przejeżdżać, mówiła sobie. Nie ma innej drogi. Przynajmniej, spierała się sama ze sobą, będzie mogła mu powiedzieć o teczce, a on pójdzie po nią razem z nią. A wtedy da mu te dziesięć funtów.

„Za co to?” — zapyta on.

„Wiem, że to nie wystarczy, ale przepraszam...”

Wpatrywała się w pędzącą w dole wodę. Zabawne, ale mówiła do siebie tak, jak kiedyś mówiła do swoich lalek, czy raczej zmuszała je do konwersacji między sobą. Nie zachowywała się tak od wieków. Samochodów jechało coraz mniej, a przez minutę albo i więcej nie zjawiał się ani jeden. Za rogiem mignął jej rower; znieruchomiała na chwilę, po czym wzięła do ręki kij i ruszyła powoli, tak jak pozwalały jej na to galaretowate nogi, w dół na brzeg rzeki. Ktoś za nią krzyknął. To był Steve, ten, co woził piwo w bidonie.

Zwolnił, przejeżdżając przez most bez trzymanki.

— Czekasz na kogoś?

— Nie!

— To może spędzimy tę szczęśliwą godzinę razem, kotku?

— Spierdalaj!

Zbliżała się furgonetka, a za nią kolejny rowerzysta, kumpel Steve'a. Zeszła z drogi i ruszyła wzdłuż płotu i lasu tak, by widzieć, a nie być widzianą. Czy to możliwe, że czekała dopiero od dwudziestu minut? Miała wrażenie, że minęła godzina.

Wtedy ją oświeciło. Może czekał koło drzewa. Nie, tego by nie zrobił. No może, pomyślała, ale tylko może. To nie było daleko od płotu. Nie za daleko.

Bzdura. Nie miał zamiaru tu przychodzić. Nagle wykrzyknęła i walnęła się pięścią w bok. Ależ ona głupia! Ktoś go musiał podwieźć. Bo jak inaczej. Wyobrażała sobie, że nadjedzie z za rogu, ale miał przecież popsuty rower! W końcu po co zebrała wszystkie te pieniądze? Wyciągnęła portmonetkę.

Może ktoś go tu wysadził, więc poszedł pod drzewo. Mało prawdopodobne, ale to niedaleko. Poza tym była tam jej teczka. Musiała ją odzyskać. Przeliczyła pieniądze, by upewnić się, że wszystkie tam są, i popadła w małą uludę przekazywania mu ich.

„Proszę, Weź je.”

„Nie mogę tego zrobić.”

Niezwykłe, że słyszała jego głos w swojej głowie tak wyraźnie, łącznie z leciutkim zawahaniem przed słowem „tego”.

„Proszę. Chcę, żebyś je wziął. Byłam wczoraj wieczorem taka nieszczęśliwa.”

„Ja też.”

„Naprawdę?”

„Tak...”

Cisza. Tego wieczora wiatr ledwo szeptał pośród drzew, unosząc pozostałe liście, a kilka strącając na dół, lecz gałęzie pozostawały nieruchome.

Była w lesie. Nie pamiętała, jak przedostała się pod ogrodzeniem, ale najwiśdoczniej musiała to zrobić. Światło znacznie osłabło. Dochodziły ją tylko odgłosy ulicznego ruchu, dwa czy trzy samochody zmieniające bieg przed wjazdem na most. A potem znowu cisza.

Kiedy dawniej bawiła się lalkami, dwie z nich często tak się kłóciły, że jej matka przychodziła na górę sprawdzić, co się dzieje. Podobnie było teraz, z tą różnicą, że głosy odzywały się wewnątrz niej. Jeden kazał jej uciekać, bo ktoś

tam był, koło wyschniętego drzewa, podczas gdy drugi mówił, żeby nie była głupia, bo to Lawrence, jasne, że to Lawrence, niby kto inny? I ten drugi głos stał się naraz głosem Lawrence'a.

„Jesteś teraz szczęśliwsza?”

„Tak, a ty?”

„Tak.”

„Ann...”

„Lawrence...”

„Chciałem tylko wymówić twoje imię.”

„A ja twoje.”

„Ann.”

„Lawrence.”

Prawie zderzyła się z drzewem. Była w szoku, że zaszła tak daleko. Rzecz jasna, jego tam nie było, jasne, że nie. Nie było nikogo, nic. Przejechała ręką po okaleczonej korze, wtykając palce w inicjały. Niektóre z grzybów porastających drzewo zostały oderwane, pewnie przez nich. Rozdeptała je, zbyt załamana, by się złęknać, a co dopiero porządnie przestraszyć. Przed pójściem do domu przynajmniej zabierze swoją teczkę. Czy nie zostawiła jej przy grocie utworzonej z nawisu spróchniałego drzewa? Nie. Pamiętała, że ją podniosła i rzuciła w jeżyny gdzieś po drugiej stronie. Tam także jej nie było. Zatrzymała się i rozejrzała dookoła niespokojnie, i nagle poczuła strach, równie namacalny jak zapach.

Czekała, nie ośmielając się poruszyć. Gnijące liście były czarne od padającego poprzedniego dnia deszczu i wilgoć przenikała przez jej buty i spódnicę. Niczego tam nie było. To tylko jej głupia wyobraźnia. Nagle znów pomyślała o cioci Betty.

— Często się oddalała — mówił NKWD.

— Co to znaczy?

— Oddalała się. Żyła we własnym świecie.

Czemuż nie była jak Ben, który lubił szkołę, przynosił do domu schludnie odrobione zadania z kolorowymi rysunkami, którymi rodzice się zachwycali i wieszali na ścianie, jak ten Ben, który już postanowił, że będzie inżynierem lotnictwa i, znając go, pewnie nim zostanie?

Czy kiedykolwiek była choć trochę do niego podobna? Musiała, skoro dostała się do Bishop Griffith's. Nie, no dobrze, wiedziała przecież, jak się tam dostała: przegadała wszystkich, prawda? Potem miała dość szczęścia, by w czasie

egzaminu napisać jedyne dobre wypracowanie, jakie udało się jej spłodzić w podstawówce — wypracowanie, które zerznęła ze starego opowiadania o pasteurzu, którego pies był chory, a on sam miał zdążyć z owcami na targ.

„Uwielbiam pisać wypracowania — angielski i historia to moje ulubione przedmioty”.

Musiała wyglądać na wzorową uczennicę, z tymi włosami wyszczotkowanymi do połysku szczotką Eileen, zaś cały jej zapał brał się z perspektywy udania się z matką do Stoke Prior i odebrania obiecanej nagrody: wartego pięćdziesiąt funtów radiomagnetofonu, który teraz opchnęła Benowi za piąta.

Otworzyła paczkę marlboro i ustami wyciągnęła papierosa, tak jak Chris. Błysk zapałki i smużka przyjemnego dymu oddaliły cienie. Odłamała gałąź i szurając nią po wilgotnych liściach, zaczęła szukać teczki. W pobliżu drzewa nigdzie jej nie było.

Kto niby miałby świsnąć jej pieprzoną teczkę?

Weszła pod nawis i zapaliła kolejną zapałkę. Teczki brak, ale pośród liści dostrzegła pogniecioną znajomą paczkę — gumka „Erotika” z trzymającymi się za ręce na tle zachodu słońca kochankami. Płomień poparzył jej palce. Zakłęta i natychmiast wyszła z groty.

Po drugiej stronie polany, częściowo schowany za krzewami jeżyn, stał mężczyzna. Przez ułamek sekundy nie mogła w to uwierzyć, jakby sama go wymyśliła, jakby był jednym z głosów w jej głowie, którym może nakazać zniknięcie. Wtedy człowiek poruszył się. Przez moment wydał się równie zaskoczony jej widokiem, co ona jego. Zdążyła dostrzec bardzo ciemne, świdrujące oczy, kawałek brody i brudną koszulkę, zanim krzyknęła i rzuciła się do biegu.

Czy ona już go gdzieś nie widziała, ale gdzie, gdzie? To zdanie huczało w jej głowie wraz z grzmotem stóp i serca. Mężczyzna krzyczał za nią, przedzierając się przez poszycie. Robiło się coraz jaśniej, zbliżała się do skraju lasu, jeszcze pięćdziesiąt metrów... Jej stopa uderzyła o coś. Próbowwała złapać równowagę, ale upadła, a twarz zapiekła ją od pokrzyw. Próbowwała krzyczeć, lecz jakaś dłoń zatkała jej usta.

PIĘĆ

Zadzwonili do niego, gdy Gates był poza zasięgiem telefonu i zostawił pager w samochodzie. Zawsze miał wyrzuty sumienia, kiedy to robił, ale usprawiedliwiał swe postępowanie nieustanną walką o zachowanie człowieczeństwa.

Przez pół godziny chciał побыć zwyczajnym Richardem Arthurem Gatesem, a nie nadinspektorem Gatesem, i pomartwić się rzeczami naprawdę ważnymi, jak tym, w jaki sposób odebrać kawał dechy od stolarza i... co to było, to drugie?

Stał na rogu Meadgate, głównej handlowej ulicy w Stoke Prior, wygrzebując z kieszeni gmatwaninę powyrywanych z notesów kartek i pogniecionych blankietów. „Brak systematyczności” — mówiła jedna z jego ocen. „Często zdaje się dochodzić do właściwych wniosków, stosując niewłaściwe metody” — czytało się w innej.

Dawniej, gdy mu te oceny wystawiono, protestował oburzony, że to wariacstwo, bo przecież liczą się właśnie wnioski, jednak teraz, jako mądrzejszy (albo bardziej cyniczny) trzydziestoosmiolatek, wiedział, że ważne są metody, styl i prezentacja — to, jak potrafisz ich nabrać.

Często mówiło się, że niektórzy ludzie zbyt byli pochłonięci pracą, by awansować. To dość gorzkie stwierdzenie, ale było w nim ziarno prawdy.

Mimo że nie zmienił swego podejścia, zakładano, że kiedyś wysoko zajdzie. Krążyły plotki, że przeszkadzała mu w tym jedynie śmierć żony, która zginęła przed pięciu laty w wypadku, którego sprawca uciekł. Po kilku drinkach Gates lubił mawiać, pijąc do swoich przełożonych — nieuleczalnych twórców raportów — że dochodzą do właściwych wniosków dla niewłaściwych powodów.

Wychowywał swoją córkę Claire sam (gdy Sheila zginęła, Claire miała jedenaście lat) i uważał, że to najważniejsza rzecz, jaką musi robić przez wzgląd na Sheilę, czemu też poświęcił się z absolutną determinacją, odrzucając oferty pomocy siostry i innych.

To oznaczało — lubił mawiać — że podczas gdy jego ciało należało do policji, czy to się komu podoba, czy nie, dusza pozostawała w domu, a żeby dojść na szczyt, musiałby zaprzedać i jedno, i drugie. Niekiedy na przyjęciach, zapytany o to, co robi, odpowiadał, że jest samotnym ojcem. Miało to tę zaletę, że nie musiał za każdym razem odtwarzać tych samych starych opowieści, a do tego (czasami)

czuł, że to najprawdziwsza prawda; przecież to znacznie trudniejsza i bardziej wyczerpująca praca niż bycie zwykłym gliną.

Tak jak i teraz, na przykład. O czym miał pamiętać? Co obiecał przywieźć do domu? Boże, ale mu się oberwie! Jasne! Spośród wymiętych skrawków papieru wyciągnął ten właściwy, a na nim: „Deska Wino Pasta do zębów L-akta”.

Wino! Jak mógł zapomnieć? Claire, jakby nie dość miała zajęć z odrabianiem lekcji i muzyką (należała do szkolnej orkiestry), stwierdziła, że są za mało towarzyscy i że powinni wydać uroczystą kolację.

— Uroczystą kolację!

— Tylko dla sąsiadów.

Opierał się przez miesiąc, ale ona go w końcu pokonała i oto dziś nadszedł ten wieczór. Była piąta. Obiecał, że będzie w domu przed siódmą. Zapomniał, czy też raczej niedokładnie słuchał jej poleceń. Miało być jedno czerwone i dwa białe, czy na odwrót? Mógł pójść na kompromis i kupić po jednym z każdego i jedno różowe.

— Nie, nie zapomniałem, pomyślałem tylko, że byłoby miło...

Zobaczył butelkę Mateus Rosé. Ulubione wino Sheili. Czy Claire będzie to pamiętać? Czy ma to jakieś znaczenie? Jego ręka uniosła się i złapała za bulwiastą flaszkę. Trochę bąbelków, od których nie zbiedniejesz, mawiała Sheila. Gdy wkładał butelki do samochodu, wzywał go i pager, i telefon.

Poczuł skręty w brzuchu. Adrenalina. Poczucie winy, gdy zabrzczały butelki, a on je uciszył i znów stał się policjantem.

— Zaatakowana...?

Mimo że coś go skręcało, jakąś cząstką świadomości wychwycił ton sierżanta Alana, nieco zbyt leniwy, zbyt wyluzowany. Gates nie lubił policyjnych żartów, lecz uznawał ich niezbędność, gdy ludzie musieli pozostać chłodni i nieczuli, zmagając się ze skutkami rzezi na autostradzie czy rabunku.

— Przez sierżanta Blacka... Twierdzi, że to ona na niego napadła... Mówi, że musiał się na nią rzucić, żeby ją uspokoić...

Najpierw uznał, że to znowu wezwanie do niczego, i poczuł dobrze znaną mieszanekę ulgi i rozczarowania — ulgi, że nikt nie został zabity i mógł jechać do domu, i rozczarowania, bo nie ma akcji, nic się nie dzieje. I wtedy usłyszał nazwisko tej dziewczyny. Ann Devenish. Znowu.

- Co ona tam robiła?
- Black uważa, że na kogoś czekała.
- A ona, co mówi?
- Nic.

Gates zapatrzył się w ruch na ulicy, który zaczynał się zagęszczać, jak to w godzinach szczytu. W tunelu prowadzącym na południe, na autostradę, samochody już poruszały się jak zółwie.

- Gdzie ona teraz jest?
- W szkole.
- Pojadę tam.

To wciąż prawie nic nie znaczyło. Pamiętał tę dziewczynę. Bezczelna była. Nic jej nie ruszało. Powiesz jej, że czegoś ma nie robić, a potraktuje to jak nakaz, żeby to właśnie zrobić. Claire też kiedyś taka była. Niecały rok po śmierci Sheili uciekła z domu, kiedy on siedział po uszy w jakiejś sprawie i nie wrócił do niej o zapowiedzianej godzinie. Włączył wycieraczki, bo zaczęło mżyć. Czy był to jeden z powodów, dla których nie odjechał i nie zostawił tego Blackowi, który potraktowałby ją jako część sprawy, a nie jak dziecko, podczas gdy była i jednym, i drugim?

Wjechał na jednokierunkową, która powiodła go obok centrum handlowego o nazwie „Raj Zakupów”, który zwykle nazywano „Bandolandem”, bo chodniki ułożone w labirynt odcięty od ruchu ulicznego i policji stanowiły raj dla złodziejasków wyrwującym torby przechodniom. Stoke Prior zaplanowano jako nowe miasto w latach siedemdziesiątych, gdy były pieniądze i optymizm. I jedno, i drugie wyczerpały się, zanim zakończono budowę centrum. Gates minął na wpół wykończony dom kultury, w którym w końcu urządzono dyskotekę „Joker”. Zaparkował za rogiem i wszedł do biura, na którego oknach namalowano: „Morgan i Stewart. Adwokaci”.

Liz — akta. Ostatnia z pozycji na liście zakupów. W biegu odebrał teczkę od posłańca i oznajmił, że wchodzi na chwilę.

- Czy pani Stewart jest u siebie?

Recepcjonistka ledwo znalazła czas, by, oderwawszy się od komputera i telefonu, ruchem głowy zaprzeczyć. Cóż. Zresztą i tak nie mogłyby dziś postawić jej drinka. Liz Stewart była rozwiędziona i miała córkę w tej samej szkole co Claire. Poznali się na szkolnym koncercie i odkryli, że mają wspólnych klientów — kancelaria „Morgan i Stewart” z olbrzymim sukcesem prowadziła sprawy kryminalne. Napisał jej krótką wiadomość.

Zanosiło się na romans — przynajmniej on miał taką nadzieję — w takiej tajemnicy, jakby wciąż był żonaty. Gdy zdarzało mu się to przedtem, Claire stawiała się niemożliwa.

Ann Devenish wyglądała dokładnie tak jak Claire w tamtym buntowniczym okresie: spuszczone głowa, nadęta dolna warga, podarte czarne rajstopy na kości-
stych kolanach; siedziała na twardym, wysokim, przytłaczającym ją krześle.

Gabinet panny Montrose wyłożony był boazerią, a ciemne okno wychodziło na kwadratowy dziedziniec z małą fontanną pośrodku. Od czasu do czasu Gates dostrzegał błysk wody, gdy wiatr dmuchnął nią w krąg światła rzucanego przez lampę. Panna Montrose wybierała numer telefonu, a jej błyszczące, pomalowane paznokcie pukały jak maleńkie kastaniety. Sierżant Black w skórzanej kurtce i podkoszulku z napisem Motorhead w płomieniach na klatce piersiowej czuł się wielce niepewnie pod spojrzeniem dyrektorki, które co rusz wędrowało do niego, jakby ta wciąż nie była przekonana, że jest policjantem.

Gates wykorzystał go w podwójnej roli: miał patrolować okolicę, a jednocześnie zbadać sprawę włamania do szkoły. Rzecz jasna, wszelkie ślady były już beznadziejnie zimne. Potrafił zrozumieć zwłokę w odkryciu włamania do mało używanego magazynu, ale nie zwłokę w zgłoszeniu zaginięcia przedmiotów wartych dwieście funtów, gdy w okolicy miało miejsce tyle włamań!

Panna Montrose nie była jednak osobą, która przyznałaby, choćby przed samą sobą, że popełniła błąd.

— Dziewczęta zgłaszały mi zaginięcia rzeczy przez wiele dni, inspektorze — mówiła wcześniej. — Poza tym niektóre z nich mają tendencję do kolektywnego traktowania własności... „pożyczają” sobie walkmany... nie mogą od razu zakładać, że zostały skradzione.

Nie przyjmowała do wiadomości, że mogło się to zdarzyć w biały dzień, mimo iż przedmioty, które zaginęły, znajdowały się w szkole tylko w porze lekcji.

— To zupełnie niemożliwe. Taka osoba musiałaby przejść przez ten wielki, zupełnie nie osłonięty trawnik. A w obecnych czasach nauczyciel wie, że musi strzec się obcych, proszę mi wierzyć.

Gates dał wtedy Blackowi tanią niebieską kurtkę noszoną przez ogrodnika, która wisiała w magazynie, kazał mu ją założyć i „włamać się” do szkoły. A ten

dotarł do szatni dziewcząt i nikt go nie zauważył ani mu nie przeszkodził.

Panny Montrose to nie bawiło.

— Sugeruje pan, że intruz wszedł przebrany za ogrodnika?

— Nie. Twierdzą tylko, że jest możliwe, iż ktoś dostał się tu w dzień. Być może korzystał z czyjejś pomocy.

— Pomocy?

— Kogoś, kto wiedział, że magazyn znajduje się koło szatni. Znał godziny zajęć. Tego typu rzeczy.

— Zupełnie...

Urwała, nie dokończywszy zdania. Był pewien, że czyta w jego myślach. Tego rodzaju włamanie, ten poziom przestępstwa był najprawdopodobniej udziałem nastolatków. Niewykluczone, że włamywacz miał w szkole dziewczynę, niewykluczone, że w grę wchodziły narkotyki, mimo iż panna Montrose bez wątplenia zaprzeczyłaby, że kiedykolwiek miała z tym problemy, tak jak zaprzeczała, że do szkoły mógł się ktoś włamać.

Może po tym zjściu nabrała dla niego większego szacunku, chociaż wątpił w to.

Teraz znaleźli tę dziewczynkę czekającą na kogoś w lesie, tę samą, która weszła do tamtego domu w Ashminster.

Panna Montrose odłożyła słuchawkę.

— Twoich rodziców nie ma w domu.

— Mówiłam pani. Są u cici, panno Montrose!

Dziewczynka trzęsła się, oplatając wokół siebie chude ramiona.

— Zimno ci?

— To szok — padło w odpowiedzi. Dziewczynka popatrzyła na Blacka, który przesunął się, ciągnąc niespokojnie nogi po grubym czerwonym dywanie. I dodał: — Klasyczny szok.

Panna Montrose dotknęła imbryka.

— Nie jest już zbyt ciepła.

Dziewczynka uśmiechnęła się do niej słabo.

— Bardzo chciałabym jeszcze. Proszę...

Nie sposób było stwierdzić, czy drży naprawdę, czy udaje. Gates przysunął krzesło nieco bliżej. Panna Montrose rozłożyła palce i zawahała się, zanim przemówiła.

— Ci panowie chcieliby zadać ci kilka pytań, Ann. Ale ja wolałabym, żeby byli przy tym twoi rodzice.

— Nie ma potrzeby. Ja nic nie zrobiłam.

Herbata jakby przywróciła ją do życia. Na policzkach pojawił się kolor i odrzuciła do tyłu rzadkie, mysie włosy.

— Co robiłaś w lesie? — spytał Gates.

— Szłam do domu.

— Dziś rano mówiłam, Ann, że nie wolno wam tamtędy chodzić.

— Przepraszam, panno Montrose, naprawdę, wiem, że zachowałam się głupio, ale chciałam pójść na skróty, bo byłam spóźniona.

— Na kogo czekałaś? — odezwał się Black.

Podskoczyła, rozlewając odrobinę herbaty.

— Na nikogo nie czekałam!

Black pokręcił głową.

— Kręciłaś się tam, kotku. Szukałaś kogoś.

— Nie, nie, nie czekałam na nikogo i taka jest prawda!

Panna Montrose odebrała od dziewczynki kubek z herbatą, bo wierciła się, jakby chciała nagle uciec z krzesła, po czym równie nagle uspokoiła się.

— Poszłam na papierosa — dodała, unosząc brodę na znak odwagi i buntu.

— Nie palę w szkole, a w domu też mi nie pozwalają.

Gates kiwnął głową do Blacka, który wyciągnął zza biurka odrapaną i zszarzaną teczkę pokrytą kalkomanią z napisami BROS, Fuzzbox i SOD — ten ostatni będący akronimem nazwy konserwatywnej bojówki walczącej o zachowanie dawnych porządków na wzgórzach. Zerwała się, gdy zobaczyła teczkę, chwytając za krawędź krzesła.

— Co ty za muzyki słuchasz? — mówił Black. — Kim są ci SOD?

Uniosła brodę i posłała mu spojrzenie mówiące, że jest poniżej krytyki.

— Walczą o świat, w którym żyjemy — odparła.

— Co za zbieg okoliczności. — Black uśmiechnął się od ucha do ucha. —

To tak jak my.

Spiorunowała go wzrokiem i wyciągnęła rękę po teczkę, lecz on odłożył ją na biurko.

— Gdzie pan ją znalazł?

— W lesie.

Panna Montrose przewracała jakieś papiery.

- Czy to ta teczka, której zaginięcie zgłosiłaś?
- Tak.
- Jak się tam znalazła?
- Nie wiem.
- Mówisz prawdę?
- Tak!
- Nie masz pojęcia, jak znalazła się w lesie?
- Nie... nie tam, gdzie ją znaleźli...
- Co to znaczy?

Dziewczynka milczała, wyciągała nitkę z podartych rajstop i okręcała sobie wokół palca. Potem zobaczyła, jak Black na nią patrzy, i nagle onieśmielona, obciągnęła za krótką spódniczkę i złączyła kolana. Wszystko szło nie tak, myślał Gates, przy wszystkich tych naskakujących na nią ludziach. Donikąd ich to nie zaprowadzi.

— Pozwoli pani? — zwrócił się do panny Montrose, która odpowiedziała mu chłodnym skinieniem głowy.

— Ann — rzekł spokojnie. — Potrzebuję twojej pomocy.

Dziewczynka wpatrywała się ponad ściśniętymi kolanami w dywan, butem dziobiąc jego włosie.

— Wiesz, że tu chodzi o morderstwo.

Dziobanie ustało.

— Człowiek, który włamał się do szkoły, mógł się też włamać do domu pani Travers.

Twarz, która się do niego zwróciła, była mała i wystraszona. Ann otworzyła szeroko oczy i odgarnęła kosmyk włosów, który do nich wpadał. Pozyskał jej całkowitą uwagę i, jak sądził, nawiązał delikatną, niezwykle delikatną nić zaufania.

- Kiedy zgubiłaś teczkę?
- Wczoraj wieczorem.
- Czy byłaś wtedy w lesie?

Zawahała się, a potem potaknęła niechętnie.

— Jak ją zgubiłaś?

— Zwyczajnie zapomniałam... Położyłam ją na ziemi i... na skraju lasu zobaczyłam kogoś i uciekłam...

- Mężczyznę?
- Nie wiem. Cień...
- Jesteś pewna, że to była osoba?

— Tak. To znaczy, to coś było wysokie... nie przy ziemi, jak jakieś zwierzę... wysokie... Bardzo się wystraszyłam. Po prostu uciekłam.

— Gdzie to było?

— Przy moście.

— Czemu nie powiedziałaś o tym panie Montrose?

— Miało mnie tam przecież nie być, prawda?

— A jednak wróciłaś tam dzisiaj.

— Było jasno. Ja...

Nigdy przedtem nie widział tak ruchliwych oczu, lekko wyłupiastych, zerkających to na niego, to gdzieś obok.

Było coś, co chciała mu powiedzieć, poznał to po napięciu, jakie w niej narastało, niezdecydowanym wierceniu się na krzesle, otwieranych i zamykanych ustach, gdy próbowała podjąć decyzję. Ale wciąż zerkała na pannę Montrose, a on przeklinał w duchu przepisy dotyczące przesłuchań nieletnich, które nie pozwalały mu na rozmowę z nią sam na sam.

— Miałaś się z kimś spotkać?

— Nie, nie miałam, nie.

— A byłaś tam z kimś?

Nie odpowiedziała. Gates westchnął. Przerobił już to wszystko z panną Montrose przed spotkaniem. Nie podobała mu się ta część, ale musiał to zrobić. Jego ton zmienił się, stał się bardziej szorstki, bardziej bezosobowy.

— Ile kieszonkowego dostajesz tygodniowo?

Poderwała się zdziwiona nagłą zmianą w przesłuchaniu i zanim odpowiedziała, przez chwilę popatrzyła na niego niespokojnie.

— Dwa i pół funta.

— Pracujesz gdzieś, na przykład w soboty?

— Nie.

Siedziała teraz sztywno jak świeca, nie kręciła się nerwowo. Wyciągnął portfel. Było w nim jedenaście funtów i żółty bilet miesięczny z fotografią Ann Devenish wykonaną w chwili, gdy najwyraźniej próbowała zrobić zeza do aparatu w ulicznej budce.

— Czy to twoje?

— Widzi pan, że tak. Skąd pan go ma?

— Sierżant Black go podniósł, kiedy upadłaś.

— Kiedy się na mnie rzucił, chciał pan powiedzieć!

— Niczego nie chcę sugerować, Ann, ale chętnie dowiedziałbym się, skąd się u ciebie wzięło jedenaście funtów?

Cisza. Woda z fontanny zajaśniała na krótko, zdmuchnięta w stronę światła. Dziewczynka wyglądała tak, jakby była wykutą w krzesle płaskorzeźbą. Panna Montrose poruszyła się, wyłączyła długopis i wywołała uśmiech na twarz muśniętą minimalną ilością pudru i ledwie śladem szminki.

— Pan inspektor nie oskarża cię o kradzież tych pieniędzy, Ann, pyta cię tylko...

Wstała, zaciskając pięści — eksplozja, mała trąba powietrzna — uderzając, gdy Gates i Black się do niej zbliżyli.

— Nie dotykajcie mnie! Nie dotykajcie mnie! Nie jestem złodziejką! Nawet nie próbujcie nazywać mnie złodziejką, nawet nie próbujcie. To moje pieniądze... no, może nie moje, ale...

I usłyszeli nieprzemyślaną, nieskładną opowieść, jedyną, jaka mogła być prawdziwa, opowieść, która najpierw poruszyła Gatesa, a potem kazała mu przygryzać policzki, by nie parsknął śmiechem. Tak bardzo zależało jej, żeby nie zdradzić nazwiska chłopaka, tak bardzo jej zależało, to taki porządny chłopak, jego rodzice byli tacy porządni, już nigdy się do niej nie odezwie, ale musieli znać to nazwisko, musieli sprawdzić, przesłuchać ludzi, którzy byli wtedy w lesie — i zalewając się łzami, powiedziała im.

Czy zrobiłoby to różnicę, gdyby był z nią tutaj sam na sam? Później stwierdził, że tak.

SZEŚĆ

Częścią spuścizny po śmierci Sheili było to, że ani Gates, ani jego córka nie mogli się spóźnić choćby pięć minut bez uprzedniego telefonu. Choć nigdy o tym nie mówili, spóźnienie przekraczające kwadrans przywodziło na myśl ten wieczór, kiedy nie wróciła.

To oznaczało, że często dzwoniли do siebie kilka razy dziennie i recytowali niezmiennie ten sam dialog.

— Wszystko w porządku?

— Świetnie.

- Będę w domu o...
- Nie przejmuj się...

Spóźnił się godzinę, ale telefonował przed spotkaniem z Ann Devenish i po wyjściu ze szkoły.

- Wszystko pod kontrolą... Pamiętałeś o winie?

Po dwóch wycieńczających dniach ślęczenia nad książkami kucharskimi zdecydowała się na *Boeuf Italienne*, którą wpisała dużymi zaokrąglonymi literami do kart z menu. Wstali tego dnia wcześniej i po części przygotowali potrawę, zanim odwiózł ją do szkoły: paski wołowiny z dymką oraz czerwoną i zieloną papryką; niemal czuł ich zapach przez telefon.

Mieszkał w Cutler Heights na północy Stoke Prior. Parkując samochód, zerknął jak zwykle na sieć świateł rozdzieloną ciemną wstęgą autostrady. Dom zbudowany był na zboczu i idąc w górę po schodach, zobaczył gości, doktora Lanchestera z żoną, a z oświetlonego pokoju dobiegły go dźwięki koncertu skrzypcowego Bacha, który w tym akurat czasie był ulubionym utworem Claire. Jego oddech unosił się przed nim w nieruchomym, chłodnym powietrzu.

Nie wtedy zmienił się jego nastrój, bo cieszyła go perspektywa ciepła, drinka i towarzystwa. Nigdy nie urządzali podobnych spotkań, chyba że na Gwiazdkę czy na urodziny, i mimo że wcześniej naigrawał się z tego pomysłu, doznał nagłej fali ciepła i poczuł się o całe lata młodszy. Był w tak dobrym humorze, że postanowił udawać gościa.

- Dzień dobry... czy dobrze trafiłem?

Claire podłapała grę:

— Dzień dobry... oczywiście... Tak się cieszę, że mógł pan przyjść... Proszę do środka...

Zaledwie szesnastoletnia, zarumieniona i podniecona, miała na sobie ogromny plastikowy fartuch. Coś mogło go zabołec już wtedy, bo pod fartuchem dostrzegł białą bluzkę i czarną spódnicę, w których wyglądała znacznie doroślej, a może była to po prostu ta sytuacja, niezwykła sytuacja proszonej kolacji w tym domu, po tylu latach, i fakt, że z krótko ostrzyżonymi rudymi włosami i szarymi, żółto nakrapianymi oczami tak bardzo przypominała Sheilę, że doznał szoku.

Ale to nie było wtedy.

- Co się stało? — spytała z niepokojem.

— Wyglądasz tak dorośle.

Uściskała go. — Och, dziękuję.

- Mogłem założyć mój odświętny garnitur.
- Nie wyglupiaj się!... Znasz doktora Lanchestera?

Byli starymi znajomymi, a Claire przygotowała mu już nawet drinka, Laphroig z lodem, i zakazała wchodzenia do kuchni — wszystko już gotowe — w pokoju migotała imitacja kominka, a on na wpół słuchał przyjemnie znajomych poglądów doktora Lanchestera na temat centrum miasta, wyglądając na nie przez kawałek szyby, jaki otarł z pary, spoglądał w dół na niezliczone światła jak główki szpilek wetkniętych w poduszkę, z których kilka stanowiło budynek komisariatu, a jego tam nie było, bo on, obejmując córkę, raczył się whisky, i wtedy usłyszał jakieś dźwięki w kuchni, i natychmiast znów był policjantem, od razu zakładając, że to włamywacz.

Zdjął ramię z córki. Odstawił whisky.

- Ktoś jest w kuchni.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

W kuchni częstowała się ginem z tonikiem Liz Stewart, nie w swej roboczej garsonce, w jakiej zawsze spotykała się z nim w pubie koło kancelarii, lecz w ciemnozielonej sukni z zielono-niebieską apaszką. Włosy wciąż miała czarne i nosiła małe okulary w złotych druczianych oprawkach, które zjeżdżały jej na czubek nosa. Wpatrywał się zdumiony w nią i w Claire. Przysięgłby, że córka nie miała pojęcia, co się dzieje. Czuł się niepewnie, był zmieszany i wiedział, że to bez sensu.

- A to ci niespodzianka — zdołał wykrztusić.
- Jego ton nie zdradzał szczególnej gościnności.
Jej brwi się uniosły, a okulary zjechały: charakterystyczny gest.
- Mam nadzieję, że miła.
 - Oczywiście!

Podszedł do niej z uśmiechem, gotów ją pocałować, lecz w pół drogi, powstrzymany spojrzeniem Claire, wyciągnął rękę. Nastąpiło małe, komicznie żałosne zamieszanie, podczas którego ona opuściła nadstawiony policzek i wyciągnęła rękę, by odstawić tonik, uderzając w jego dłoń. Tonik wychlapał się na oboje.

- Przepraszam...
- To moja wina...

To nie było dokładnie wtedy, bo śmiali się i szukali ścierki, i ścierali podłogę, ale od tego momentu to, co było łatwe i przyjemne, nabrało jakiegoś przykrego

podtekstu, rozmowa wybuchała jak puszczone w poprzednim tygodniu fajerwerki i równie szybko jak one gasła.

Wszystko zostało świetnie przygotowane, łącznie z odprasowanymi białymi serwetkami złożonymi jak czapeczki malarza, lecz nagle wszystko zaczęło się gmatwać.

— Talerze nie są podgrzane...

— Masz korkociąg?

Jeśli stało się to w jakiejś konkretnej chwili, to wtedy, gdy nalewał Mateus Rosé, a Claire, usiłując przerwać ciszę, powiedziała: — Trochę bąbelków, od których człowiek nie zbiednieje...

Musiał się zmienić na twarzy, bo zauważył, jak patrzy na niego Liz.

— Tak mawiała Sheila — rzekł.

— Malinowy soczek — dodała Claire.

— Malinowy soczek — powtórzył. — Nie cierpię go. Sam nie wiem, czemu to kupiłem.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której słychać było tylko skrzypienie noży i widelców, i wówczas poratowała go pani Lanchester, mówiąc, żeby nie zapomniął wnieść do domu begonii przed przymrozkami, a potem tort dobrze nasączony winem ożywił nastroje, zanim w końcu doszło do sprzeczki.

Chodziło o SOD — grupę aktywistów, którzy usiłowali zapobiec ograniczeniu dostępu do wzgórz, ścieżek na polach uprawnych i w okolicach, w których prywatni właściciele chcieliby urządzać polowania. Liz reprezentowała dwoje ludzi oskarżonych o wyrządzenie znaczących szkód w gospodarstwie pewnego farmera. Udało się jej ich wyciągnąć dzięki znajomości kruczków prawnych.

— Oni tylko połamali płoty — mówiła.

— Złamali prawo — oponował Gates.

— To zależy, czy się uważa płoty za coś prawnego, czy nie.

— Nieprawda — upierał się Gates. — Prawo to prawo.

Gdy spotykali się na drinka, często toczyli burzliwe spory, a wszystko to w dobrych humorach, bo bawiły ich i pobudzały takie dyskusje, podczas gdy w tej było coś ze złośliwości, której żałował, a jednocześnie nie był w stanie pozbyć się ze swego tonu.

— Zgadza się — rzekła Liz pojednawczo — z tym, że oni mają własne zasady...

— Zasady. — Pomyślał o dziewczynce, którą niedawno widział, z kalko-
manią SOD na zniszczonej teczce. — To tylko młodzi ludzie, mający świetną
zabawę, gdy rozwalą komuś płot.

— Och, tato, daj spokój.

— Jestem tylko policjantem, czego się spodziewałaś?

— Zrobię kawę — powiedziała.

— Na litość boską, Claire, siadaj, dość się już narobiłaś!

Dopiero usłyszawszy własne słowa, zdał sobie sprawę z ich dwuznaczności.
Lanchesterowie wyszli o wpół do jedenastej, a Liz zaraz po nich.

— Cudowny wieczór...

— Wspaniały posiłek...

— Co za gospodyni...

Gdy już wszyscy poszli, odbył z Claire jedną z najgorszych od bardzo długie-
go czasu scen.

— Myślałam, że ci się podoba?

— Bo tak jest.

— Dziwnie to okazujesz... Porozmawiaj z nią o tym, tato!

— O czym?

— O tym, co czujesz!

Niebываłe, ale tak zawsze mówiła Sheila, co jeszcze pogorszyło sprawę. Po-
tem ona zaczęła obwiniać się o zaproszenie Liz, a on na to, że wszystko było w
porządku, tylko nie miał humoru, że bardzo przeprasza, zachował się fatalnie, a
ona, że to jej pierwsza uroczysta kolacja i że więcej już niczego takiego nie urzą-
dzi, zaczęła płakać i nie dawała się pocieszyć.

Włożył naczynia do zmywarki i powoli skrobał patelnie, co miało działanie
uspokajające. Zdarzały się długie chwile, gdy myślał, że pogodził się już ze
śmiercią Sheili, i wtedy znów wpadał na taki przykry grunt.

Gdy na palcach wszedł do pokoju, Claire siedziała na łóżku kompletnie ubra-
na.

— Przepraszam — rzekła.

— To moja wina.

— Na litość boską, nie zaczynaj od nowa!

Ucałował ją.

— Nie rozbierzesz się?

— Nie...

Otułił ją kołdrą i poszedł do swojego pokoju, gdzie przed zaśnięciem pomy-
ślał o dziewczynce w podartych rajstopach, która, zalewając się łzami, zdradziła

mu nazwisko swojego chłopaka, o ile w ogóle był jej chłopakiem, chyba sama nie była tego pewna, i zastanawiał się, o czym jeszcze prawie się wygadała. Pewnie o czymś, co dla niej zdawało się mieć przeogromne znaczenie, a okazałoby się zwykłą błahostką. Nastolatki.

SIEDEM

Gdyby tylko powiedziała Gatesowi o broszce... prawie to zrobiła... było w nim coś takiego... bo to pewnie on był miękkim gliną, co? Chris mówił jej, że zawsze jest jeden twardziel i jeden miękki. Tak czy inaczej, miała to na końcu języka i gdyby nie panna Montrose...

Ale przecież oni praktycznie oskarżyli ją o kradzież! Nie mogła im po tym powiedzieć, bo wtedy mieliby pewnoś!

Wszystko się z tego wzięło, broszka, potem oskarżenie, przesłuchanie czy jak to tam nazwać, jedno lepi się do drugiego, jak śnieg, z którego kiedyś ulepili olbrzymią kulę na Beacon Ridgè i posłali pędem w dół.

Po spotkaniu z Gatesem i panną Montrose jej ojciec niespodziewanie po raz pierwszy wziął jej stronę.

Gdy światła samochodu przecięły ciemny gąszcz lasu, powiedział: — Głupio postąpiłaś, idąc tam, ale oni nie mieli prawa wypytywać cię, jakbyś była...

Urwał, a słowo, którego nie wypowiedział, wisiało w powietrzu, gdy przejeżdżał przez most. Mówili z przerwami, oboje rodzice, a ona zawsze musiała z nich wyduszać.

— Jakbym co, tato?

— Żyjemy dosłownie w policyjnym państwie, ale ty już o tym wiesz, rzecz jasna.

Rzeka Ash przybrała od deszczów i Ann słyszała, jak woda kotłuje się wokół głazów pośrodku, mimo że okna samochodu były zamknięte, a ojciec wciąż gadał o policji.

— Gdzie mieszka ten Lawrence?

— Och... gdzieś koło Wychwood — odparła niejasno.

— Do Wychwood prowadzi wiele dróg — zauważył.

— W Northwood — odparła niechętnie. — Northwood Lodge.

Wypuścił powietrze.

— Przy Kingston?

— Tak.

— Dziesięć i pół akra z pozwoleniem planowego dalszego rozszerzenia działki. Nie wiedziałem, że z nim chodzisz.

— Bo nie chodzę.

— To co, u diabła, wtedy robiłaś?

— Byłam tylko jego zdobyczą.

Czemu musiała wygadywać takie rzeczy? Czemu? Czemu?

Rozmowa nazajutrz z matką zakończyła się podobnym brakiem zrozumienia. Ann nie poszła do szkoły z powodu przeziębienia, a Eileen przyniosła ze sklepu lunch. Zawsze starała się pocieszyć, zawsze widziała w ludziach to, co najlepsze, ale w jakimś sensie zawsze czyniła aluzje do tego, co najgorsze.

— Po prostu nie rozumiem, Ann — mówiła.

— Czego nie rozumiesz, mamó?

— Tego, co zrobiłaś.

— Niczego nie zrobiłam!

— Wiem, że nie...

— To po co mówisz, że zrobiłam?

— Nie mówię.

— Mówisz.

Eileen dołała sobie herbaty. Stały obok obrazka, który Ann namalowała w podstawówce, gdy była prymuską, choć na żadną prymuskę się nie pchała. Był to jeden z niewielu jej obrazków z dzieciństwa, tajemniczy zakątek, do którego zwykli byli jeździć. Musiała go namalować w środku lata, bo fioletowa wyka i maki już przekwitły.

— Mimo wszystko — rzekła Eileen po przerwie — i tak cię kocham.

— Mimo co?

— Słucham?

— Po co mówisz „mimo wszystko”?

Gdy matka wpatrywała się w nią oszołomiona, Ann zerwała ze ściany obrazek, przedarła go na pół, potem jeszcze na pół i darła tak, aż zamienił się w małeńkie skrawki papieru.

To także zostało uznane za dowód jej winy, potwierdzenie, że działa się z nią coś naprawdę złego.

Tego samego dnia NKWD, wróciwszy późno do domu, wszedł do jej pokoju. Zawiózł do szkoły jej usprawiedliwienie i „przypadkiem” spotkał pannę Montrose. Ann wydmuchała nos i lukiem rzuciła chusteczkę do przepełnionego kosza na śmieci, podczas gdy on stał na szeroko rozstawionych nogach, pobrzękując pieńczęmi i kluczami.

- Nie martw się, Ann — rzekł.
- Nie martwię się — odparła.
- A powinnaś.
- Dlaczego?

Wziął do ręki Poocha. To zabawne. Nie pamiętała, by wyciągała go spod łóżka. Jej serce stanęło na chwilę, gdy zaczął od niechcienia wyciągać włókna sterzące z jego wnętrza, a palce znalazły się o centymetr od broszki.

- Zostaniesz w swojej szkole — oznajmił.
 - Wiem — odparła zdumiona.
 - Bez dwóch zdań.
 - Więc po co mi to mówisz?
 - Co?
 - Że bez dwóch zdań.
 - Bo bez!
 - Och, jakbym chciała, żeby ludzie w tym domu mówili, o co im chodzi!
- krzyknęła.

— Chodzi mi o to, że...

Wyrwała mu misia.

— Panna Montrose coś mówiła?

— Poradzę sobie z nią. Nie martw się. A na przyszłość nie rób takich głupstw, dobrze, Ann?

Pogładził ją po głowie i pocałował. To było miłe, naprawdę miłe, zupełnie niespodziewane, mimo bałaganu, w jakim się znalazła, nie, to nie tak, nie znalazła się w bałaganie, och, to wszystko było takie ogłupiające... w czymkolwiek się znalazła, on był dla niej w tych dniach naprawdę miły, naprawdę, jak na niego, a to już było coś.

Znów wydmuchała nos i wepchnęła włókna z powrotem do środka Poocha. Nienawidziła tej cholernej szkoły, jej sztywności, nienawidziła panny Montrose, ale zostać wylaną, to zupełnie co innego. Tam były wszystkie jej koleżanki. Dokąd miałyby pójść? Dostała stypendium, bo wiedziała, że mimo iż się puszył i wdzięczył, NKWD nie zarabiał za wiele. Zamiast gotówki miał niskoprocentowany

kredyt hipoteczny. Krążyły słuchy, że Monty chce zredukować liczbę miejsc stypendialnych, żeby ściągnąć więcej dzieci sławnych i bogatych. Czy Ann stała się częścią jej planu?

Ale przecież nic nie zrobiła!

„Niczego nie sugerujemy...”

„O nic cię nie oskarżamy...”

Jasne jak cholera!

W niedzielę czuła się już znacznie lepiej, ale kaszłała przekonująco, bo nie chciała iść w odwiedzin do ciotki Betty, jak co miesiąc. Miło było leżeć wspartą o poduszki, słyszeć, jak odchodzą i jak w domu robi się cicho.

Potem to, co się wydarzyło, uznała za powrót do pewnego okresu z dzieciństwa — musiała mieć wtedy sześć czy siedem lat — gdy znalazła w książce swoje imię pisane A-n-n-e.

— Mamo, oni to źle napisali!

— Nieprawda. Niektórzy dodają na końcu „e”.

— A ja mogę?

— Ależ skąd.

— Czemu?

— Bo ty jesteś Ann bez e.

Później, gdy bawiła się lalkami, Eileen usłyszała jej podniesiony głos: — I masz mi tego więcej nie robić, słyszysz?

Ann zwracała się do kąta pokoju w pobliżu domku dla Barbie.

— Z kim rozmawiasz?

— Z Ann z e. Eileen roześmiała się.

— Była bardzo niegrzeczna?

— Była okropna, a teraz ma zostać w tym kącie, dopóki nie przeprosi jak należy!

Przez około rok Ann z e była jedną z postaci w domu, niemal członkiem rodziny.

— Pewnie to Ann z e to zepsuła — mawiał NKWD.

— No, na pewno nie ja!

Ann z e w końcu znikła, najwyraźniej bez śladu, jak tylko lalki i domek Barbie poszły na wyprzedaż do szkoły.

Chwilę po wyjściu rodziców tego popołudnia naciągnęła poduszkę ciasno na głowę i zapadła w przerywany sen, zasypiając i budząc się jak pływak pośrodku oceanu.

To był strasznie dziwny sen. Spadała w białą mgłę, a wtedy ktoś wystawił kij, którego się chwyciła. To był Pijak, ogromna kredowa figura, która odrzuciła swoją pałkę i ciągnęła ją na wzgórze.

Obudziła się zrana potem. W pokoju było ciemno i doszły ją odgłosy powracającego samochodu i otwieranych drzwi. Musiała spać przez co najmniej kilka godzin. Ale nie czuła się wypoczęta. Wręcz przeciwnie. Kości jej zeszywniały i miała zatkaany nos. Leżała na brzuchu, nie mogąc się poruszyć, wpatrując się w leżącą na podłodze poduszkę i wsłuchując się w głos matki zakazujący Benowi budzenia jej, szum napuszczanej do czajnika wody i potem pstrykanie zapalarki gazu.

- Ann? — zawołała matka.
- Tak?
- Wychodziłaś?
- Nie.
- Twoje kalosze są w błocie.
- Spałam.

Targnęło nią potężne ziewnięcie i zdołała zwlec się z łóżka, opatulając się kołdrą. Dokoła roznosił się zapach opiekanych cynamonowych grzanek i przytulne pobrzękiwanie kubków na dole, a potem jej matka krzyknęła.

- Och, Ann!
- Wstała ze zsuwającą się kołdrą i narastającym gdzieś w środku przerażeniem.
- O co chodzi?
- Czemu to zrobiłaś?
- Co?

Wciąż pytała ich, co się stało, potykając się na schodach, ale nie uzyskała odpowiedzi. Cała trójka wpatrywała się w kąt podłogi obok szafki, gdzie trzymali filiżanki. Leżał tam Pooch, a raczej jego szczątki. Miś został rozpruty od krocza po szyję, wnętrzności miał wyciągnięte, łapę prawie urwaną. Ann patrzyła przerażona. Przeszukała włókna. Broszki tam nie było. Za to obok misia stała plastikowa zabawka Bena, prawdopodobnie bardzo stara, bo już dawno takie wyszły z mody: Transformer, którego z samochodu można było zmienić w robota. Osie upaprane były w ziemi.

— To była ulubiona zabawka Bena — odezwała się Eileen. — Skąd ona się tu wzięła?

— Biedny stary Pooch — rzekł ojciec, podnosząc to, co z niego zostało.

— Ja tego nie zrobiłam — powiedziała.

— A kto?

— Ann z e — odparła.

NKWD parsknął śmiechem,

— Mój Boże, nie słyszałem tego już od ładnych paru lat! Pamiętasz, do czego Ann z e była zdolna...?

Ku ich zaskoczeniu Ann rzuciła się w ramiona Eileen.

— Co się stało, co się stało, kochanie?

Drżała i tuliła się mocno do matki, która pachniała cynamonowymi grzankami. Puściła ją dopiero po kilku minutach.

— Co się dzieje, co się dzieje, Ann?

— Och, mamó — wykrzyknęła. — Od tej pory będę taka grzeczna, taka grzeczna, że nawet mnie nie poznacie.

II

FUGA

fuga — utwór muzyczny... w psychiatrii: stan podobny do snu, w którym osoba oddala się, tracąc pamięć (od łac. *fuga* — ucieczka).

OSIEM

Schemat. To on się liczył. Schemat i cierpliwość. Miał wycucie pierwszego i mnóstwo drugiego.

Mężczyzna zadziwiająco bezszelestnie zszedł z Greenway; stopami zdawał się czuć każdą gałązkę. Czyżby był przyzwyczajony do ciemności tak, że widział jak sowa albo kot, wychwytyjąc kształty praktycznie bez odrobiny światła? To było tylko złudzenie, a on nie wierzył w złudzenia. Gdy las zamknął się dokoła niego, a wciąż pokryte liśćmi wierzchołki odcięły resztę światła, swoją drogę raczej słyszał i czuł, niż widział.

Kilka kroków dalej stanie się niewidoczny. Jego głowa na krótkim, mocnym karku znikła w wysokim kołnierzu skórzanej kurtki. Miał założone długie czarne rękawiczki i czarne buty. Była tam ścieżka, ale on trzymał się kilka kroków z boku, tak że dzieliły go od niej dwa rzędy drzew. Popatrzył na świecąca tarczę swojego zegarka. Dziewięta czternaście. Byli spóźnieni — chyba że już pojechali, a on ich nie zauważył. Mały tik poruszył jego policzkiem, lecz mimo to nie przyspieszył, stąpając precyzyjnie, dłońmi w rękawiczkach dotykając szorstkich pni drzew.

Nie wychodził w teren od dnia, gdy zabił tę kobietę. Był w szoku, bał się. Nie wiedział, że jest tam jeszcze jakaś osoba. Potem przeczytał w gazecie, że przyjechała tego samego dnia rano. Widziała go. Próbował ją uciszyć, zatkać jej usta, ale walczyła i nie chciała go wypuścić. Dlatego ją uderzył, a potem jeszcze raz i jeszcze. Z początku było mu po tym wszystkim przykro. Teraz uznał to za oznakę słabości.

Musiał wykonać zadanie.

Dopóki nie poczuł miękkiej, grubej skóry rękawiczek i chłodnego powietrza na twarzy, nie wiedział, czy będzie w stanie to ciągnąć. To dodało mu trochę odwagi, ale wciąż był niepewny, miał wątpliwości.

Dziewięta szesnaście. Drzewa stały się rzadsze, a chmury odsłoniły księżyc, który nadał pniom brzoź dziwny sinawy kolor. Znalazł się na skraju wioski Lynford, dwadzieścia sześć kilometrów na wschód od Ashminster. Znał dokładne odległości między osadami i czas potrzebny na przebycie drogi od każdej z nich do Greenway.

Stanął, usłyszawszy kobiecy szczebiot. Dziewięta osiemnaście. Byli spóźnieni, ale jechali. U jego stóp rozciągało się małe osiedle prywatnych posesji, typowe dla doliny Ash. Las otaczał wielkie ogrody, nadając im nieco dziki charakter, lecz także zapewniając ochronę przed intruzami.

Szczebiotanie nie cichło. Kobieta znów czegoś zapomniała i wysłała po to męża. Zdziwiliby się i zdenerwowali, gdyby się dowiedzieli, ile o nich wiedział. Paplanina ustała, gdy zamknęły się frontowe drzwi. Usłyszał uruchamiany silnik samochodu, saab 9000i. Siedzieli w nim oboje: on był dobrze wyglądającym czterdziestolatkiem, ona zdawała się trochę młodsza; przekreśliła boczne lusterko, żeby poprawić szminkę, jak zwykle, po czym sprawdziła pieprzyk na skórze. Gdy wsiadała do auta, spódnica jej się podciągnęła i zobaczył okrągłe kolana i szczupłe uda. Zaczekał, aż znikną światła samochodu.

To, co pociągało w domach ich właścicieli, pociągało także i jego: stały na uboczu i nie dawały się podejrzeć. Była nawet wygodna tylna furka prowadząca do ogrodu. Gdyby ruszył w stronę tylnych drzwi, wiedział, że zapaliłyby się światła, podszedł więc do domu z boku. Umieścił ostrze dłuta między parapetem a ramą okienną i naciskał coraz mocniej, aż nagle piskliwym brzęczeniem odezwał się alarm.

Niebale, jakby był na spacerze, wrócił ścieżką w ogrodzie w cień altany i czekał. Z początku nic się nie działo. Potem usłyszał szczekanie psa. Zesztywniał i poczuł, jak się poci. Tego się nie spodziewał. Psy były znacznie mniej

przewidywalne niż światła czy elektroniczne alarmy. Rozgniewany głos krzyknął na czworonoga: czy zawołał go do domu? Nie usłyszał przez uparte wycie alarmu. Wycofał się za furtkę. Nie chciał ryzykować spotkania ze zwierzęciem.

I wtedy zobaczył człowieka w kapciach, samego, jak idzie z pękiem kluczy, mamrocząc coś pod nosem. Chwilę później alarm ucichł, lecz jego dźwięk wciąż buczał w uszach mężczyzny. Ktoś go pozdrowił z sąsiedniego domu i trzasnęły drzwi.

Właściciele zostawili w domu zapalone światła, by sprawiał wrażenie, że ktoś w nim jest. To także, podobnie jak alarm, na pewno mu się przyda. Zamki, alarmy, światła stanowiły iluzję bezpieczeństwa, a jemu to pasowało (tak jak i firmom, które je sprzedawały), że ludzie czuli się z nimi tak pewnie.

Widział, jak sąsiad kręci się na górze, otwierając szafę w sypialni, co oznaczało, że ona także była podłączona do alarmu. Człowiek próbował z powrotem włączyć system, ale nie mogło mu się to udać, chyba że odkryłby szczelinę między dwiema płaszczyznami kontaktowymi, którą ubrany na czarno mężczyzna zostawił w oknie z boku domu.

Gdy usłuszny sąsiad uznał, że musi to być jakaś wada systemu i wyszedł, zamykając tylko na dwa zamki frontowe drzwi, mężczyzna włamał się przez boczne okno. Poszedł prosto do szafy w sypialni sprawdzonej przez sąsiada. Sejfu brak. Wieczorowe suknie, do których przyłgnał zapach pudru. Futro, futrzana czapka. Za nimi szkatułka z biżuterią. Pierścionki z diamentami warte być może kilka tysięcy, bransoletka, wiktoriański medalion. Włożył je do grubej foliowej torby z zamknięciem.

Spod jednej z poduszek wystawała koszula nocna z niebieskiej satyny. Uniósł ją, jakby przymierzał ją do kobiety. Poczul ogromną chuć, którą uznał za godną wzgardy, a jednocześnie nie mógł się jej oprzeć. Onanizując się przy pomocy koszulki, widział kobietę nakładającą szminkę na rozchyłone wargi i ruch nóg, gdy wsiadała do samochodu.

Wepchnął koszulę nocną pod kurtkę. Na dywanie znalazły się dwie plamki, które startł gąbką z łazienki. Czy nie mogliby ich użyć, żeby go namierzyć? To fatalnie, że tak stracił panowanie nad sobą, zбочzył z drogi do wykonania zadania.

Budzik w jego zegarku zapiszczał słabo. Dawał sobie dziesięć minut na dom, nawet jeśli nie mógł zajrzeć do wszystkich pomieszczeń. W drodze powrotnej do kuchni czekała na niego premia. W szafie pod schodami, w płataninie płaszczy

i szalików znajdowały się pęki kluczy, łącznie z tymi od frontowych drzwi, z kluczykiem do alarmu na tym samym kółku. Przydadzą się na zaś. Ci ludzie to bałaganiarze i pewnie pomyślą, że położyli je gdzieś w domu.

W lodówce mieli jedynie chude mleko. Wyglądało na to, że tylko u biedaków można było teraz znaleźć porządne mleko z grubym kożuchem żółtawej śmietany na szyjce butelki. Ale w ustach mu zaschło, a biały płyn był chłodny i kojący, więc opróżnił butelkę, wyplukał ją dokładnie i położył obok niej kapsel z czerwonej folii aluminiowej.

Koniec końców spędził w domu piętnaście minut. Będzie musiał spalić tę koszulę nocną, co stanowiło pewną niedogodność, lecz ostatecznie nie stracił tak do końca głowy.

DZIEWIĘĆ

Tego samego wieczora Ann Devenish przestała być grzeczna. Przez dziesięć dni była taka dobra, że rodzice martwili się, iż coś jej jest — taka grzeczna, że podjęła nawet jedną z nielicznych prób pisania pamiętnika.

W poniedziałek napisała: Znalazłam adres Lawrence'a w książce telefonicznej. Napisałam, że go przepraszam.

We wtorek: Brak odpowiedzi.

W środę: BO. Czekałam przy moście.

W czwartek: BO.

W piątek: Znów napisałam, ale podarłam.

W sobotę: Byłam miła dla Bena!

W niedzielę: Byłam okropna dla Bena, ale on był okropny dla mnie — z powodu magnetofonu, który ten gówniarz jednak naprawił!! Chciał pęknąć z dumy, ja zachowałam pełne godności milczenie.

W poniedziałek: brak wpisu.

We wtorek: Widziałam Lawrence'a na High Street z jakąś dziewczyną, pewnie z Jesame. Miał nowe koło przy rowerze. Uśmiechnęłam się do niego. Chyba mi się uklonił, ale nie jestem pewna. Nie, nie uklonił się.

W czwartek wieczorem pojechała z Lindą do Stoke Prior. Miały układ z rodzicami, że w dni powszednie mogą do wpół do dziesiątej szwendać się po Ashminster, ale mowy nie było o eskapadach do Stoke Prior. Po tamtym morderstwie

już w ogóle niczego nie było im wolno. Obeszły zakaz, mówiąc, że Ann będzie u Lindy, a Linda u Ann.

Eileen raczej nie powinna zadzwonić, a NKWD w czwartki miał wychodne z kolegami: najlepszy garnitur, firmowy krawat, człowiek sukcesu całą gębą. Próbowwała ułożyć sobie włosy i kompletnie je schrzaśniła, więc już prawie gotowa była nie jechać, ale perspektywa pozostania w domu z wyśmiewającym ją Benem jawiła się znacznie gorzej.

„Raj Zakupów” był akurat czynny do późna i grasowała po nim nastoletnia młodzież nie mająca nic do roboty i niewiele gotówki do wydania. Ci starsi albo już pracowali, albo we czwartki wpływały im na konto pieniądze. Miejscem spotkań było Akwarium, zbiornik z wodą, gdzie sztuczne ryby puszczały bąbelki, a plastikowy homar wymachiwał szczypcami. Kiedyś były tu prawdziwe ryby, ale ktoś rozbił zbiornik.

Chris stał tam i czubkami palców dotykał kapelusza: — Patrzę na ciebie, małeńka.

Osiemnastoletni Chris widział wszystkie filmy z Humphreym Bogartem, jakie tylko wpadły mu w ręce. Miał na sobie workowaty garnitur w stylu lat pięćdziesiątych, prążkowaną koszulę i kapelusz i długo wstrzymywał w ustach dym papierosa, zanim wypuścił go cienką smużką. Mieszkał w Tent City, obozowisku squattersów w pobliżu Ashminster Royal.

- Piękna fryzura, kotku — cedził słowa.
- Odpieprz się, co? — odparła wściekle.
- Mówię serio. Widziałaś ostatnio jakieś trupy, co?
- Spadaj.

Podał jej marlboro i puszkę, jeden Bóg wie, skąd je wytrzasnął, zawsze здаwały się spadać jak z nieba, i nagle otoczyli ją wszyscy: Chris, Funky, Des, Shoes, Liza i chłopak Lindy, Franco, i wszyscy chcieli wiedzieć, co się stało. Nie przyjeżdżała tam od morderstwa i była to ostatnia rzecz, o której miała ochotę mówić.

- Niczego nie widziałam...
- W gazecie pisali...

W *Stoke Prior Gazette*, która rozwścieczyła NKWD, umieścili wzmiankę za tytułowaną „Dziewczynka w domu, gdzie popełniono morderstwo”. Był przekonany, że to policja im powiedziała.

- Widziałaś ją?
- Widziałaś rozchlapany mózg i to wszystko?
- Och, dajcie spokój!

- Ohyda!
- Widziałas?

Była w centrum uwagi, opierając się o okno sklepu, z którego dobiegała piosenka Fuzzbox. Próbowwała o tym zapomnieć, ale teraz wszystko wróciło, gdy tak czepiali się każdego słowa, więc wypuściła smużkę dymu, jak Chris.

- Weszłam tam sobie, pasuje?
- Jezu.

Patrzyła na krąg twarzy i nagle nie było to już coś głupiego, dziwaczного, czego należy żałować; to było niesamowite, wielkie. Wszyscy stali cicho z lekko rozdziawionymi buziami, nie palili, nie pili, pochylili lekko głowy, żeby niczego nie uronić, chwyтали każde słowo. Wszystkich ich wychowała ulica, widzieli najbardziej brutalne filmy, ale nikt nigdy nie widział trupa. Czy aż tak bardzo różnili się od tłumu wieśniaków na ulicy czy od NKWD, też chcących znać każdy szczegół?

- I wiecie co?

Piwo pociekło jej po brodzie, gdy opróżniła puszkę. Ktoś natychmiast podał jej następną.

- Dzięki... Na początku nawet nie wiedziałam, że to głowa.
- A myślałaś, że co to jest...? Rozgnieciony pomidor?
- Och, zamknij się, Des!

Naskoczyli na niego i stłoczyli się dokoła niej. Opowiadała im lakonicznie o tym, o czym usiłowała nie pamiętać, i odkryła, że nie zapomniała absolutnie niczego, ani jednego splątanego włosa, ani kawałeczka kości.

Gdy skończyła, przez chwilę nikt się nie odzywał. Muzyka ucichła. To dziwne, dziwne, ale naprawdę zaniosło ją do tamtego domu.

- Wiesz, kto to zrobił?

To pytał Chris. Mówił niskim głosem i rozglądał się czujnie po przechodniach. W Tent City wszyscy oni byli swego rodzaju dziwakami, a ona wpatrywała się w niego, blednąc, gdy się do niej nachylił.

- Morderca.

To była cholernie szczeniacka zgrywa, ale gdy tak spytał, ona podskoczyła i wszyscy ryknęli śmiechem, a ona poczuła się taka pusta, ograbiona ze swoich pięciu minut, więc ściągnęła mu z głowy kapelusz, a on gonił ją po centrum, a za nim lecieli inni, wymijając kupujących w zapiętych pod szyje płaszczach, szalach, z plastikowymi torbami i portfelami, i kartami kredytowymi, i dziećmi,

i wózkami, i niechęcią, i oburzeniem, zderzając się z nimi i wpadając na nich, wbiegając do sklepów i z nich wybiegając, rzuciła kapelusz do Desa, Des do Franca, Franco znalazł Lindę, a Linda, no tak, ta gruba niemota, upuściła go, Ann podniosła, potknęła się, prawie upadła i została złapana przez Chrisa, przylgnęła do niego, dyszała, śmiała się i śmiała, i nie mogła przestać.

Zrobili to na schodach domu towarowego, ona na piątym piętrze, a Linda i Franco na szóstym. Podobało jej się, jak ją całował, a gdy ją pieścił, wariowała z podniecenia, ale może to była kwestia techniki, bo była niższa i musiała stać jeden stopień nad nim ze ścianą wpijającą się jej w plecy, a może to przez widok znajomej pary kochanków trzymających się za ręce na tle zachodzącego słońca na opakowaniu gumki „Erotika”, który przypomniał jej Lawrence'a. Co by to nie było, chciało jej się płakać, a potem nagle poczuła taką pustkę, że miała ochotę wyć na schodach.

— W porządku? — spytał.

— Tak.

Podciągnęła majtki i rajstopy.

Gdzieś ktoś uruchomił samochód. Chris podniósł kapelusz i założył go na tył głowy.

— Patrzę na ciebie, maleńka.

Uśmiechnęła się do niego, ale szybko musiała się odwrócić, bo poczuła, że zaraz się rozbeczy. Wyciągnął dwa marlboro i zapalił je, gdy schodzili po schodach. Na dole Des i Shoes kłócili się o jakieś pieniądze, a gdy ich mijali, Des podał coś Lizie, która wpakowała to do śmietnika. Ledwo ich zauważyła, bo przy wyjściu z domu towarowego zobaczyła szare montego, takie jak jej ojca. Gdy znalazła się bliżej przystanku autobusowego, uświadomiła sobie, że *to jest jej* ojciec. Ogarnęła ją ślepa panika. Pewnie dowiedział się, że nie ma jej u Lindy ani nigdzie w Ashminster, i przyjechał jej szukać. Rzuciła pospieszne cześć Chrisowi i obie dziewczyny pobiegły na przystanek.

Była za kwadrans dziewiąta. Żółto-zielony autobus już czekał, a kierowca zmieniał tablicę przednią na „Ashminster — Ash Valley”. Powolny strumień ludzi obładowanych wypchanymi torbami z zakupami wtaczał się do środka. Ani śladu po NKWD.

Chris ostrożnie przyszedł za nią.

— Może cię nie szuka. Może poszedł się napić.

Montego stał zaparkowany niedaleko „Jokera”, nad drzwiami którego zapalał się i gasł neon złożony z czterech asów i dzokera. Czy przeszła przez jezdnię tylko przez ciekawość? Nie, była to raczej potrzeba, pragnienie, wyzwanie. Już budziło się w niej to okropne, martwe uczucie pustki.

— Gdzie idziesz? — krzyknęła Linda.

— Zapytać, czy tatuś mnie nie podwiezie — odparła Ann.

— Ann, proszę cię, nie wygłupiaj się, proszę! Autobus odjeżdża za pięć minut!

Czy nie był to moment podobny do tego, gdy weszła do domu Janet Travers? Chciała dać nogę, przebiec przez jezdnię i chichocząc, wpaść z Lindą do autobusu, ale została wciągnięta. Jego samochód, co niezwykle, pokryty był cienką warstwą pyłu. Napisiała: BRUDAS. UMYJ GO. To go wkurzy.

Nadrabiała teraz za dziesięć dni bycia grzeczną dziewczynką, i to jak!

— Ann! Ja jadę! Mówię serio! Zabiją mnie!

Zdawkowo machnęła do Lindy. Nie była w stanie powiedzieć, co w nią wstaąpiło. Im bardziej ktoś reagował tak jak Linda, tym bardziej ona musiała robić swoje. Podeszła niedbale do pubu, którego drzwi w tej chwili się otworzyły. Odskoczyła na kilometr, ale to tylko wychodziła jakaś para. Mężczyzna przytrzymał drzwi, a ona je złapała.

— Dosyć tego! Koniec z nami, Ann! — darła się Linda.

— Daj spokój. Ona tam nie wejdzie — powiedział jeszcze Chris, odwracając się.

Pchnęła drzwi na oścież, wypuściła parę osób i weszła.

— O, jasna cholera, jednak wlaźła, idź po nią! — słyszała Lindę, gdy zamykały się za nią drzwi.

Była podniecona, odurzona nagłym hukiem muzyki i mocnym zapachem piwa i dymu. Linda i Chris nie wiedzieli, że NKWD za nic na świecie nie chciałby dać się złapać w miejscu takim jak „Joker”. Podobnie jak reszta Towarzystwa Budowlanego Downshire.

Pub był tak zatłoczony, że w ogóle nie widziała baru. Od okienka gdzieś z boku kelnerzy w fartuchach z logo „Jokera” nosili drinki na przeładowanych, ociekających tacach. Jeden powiedział coś do niej, ale ona nie słyszała. Jakiś mężczyzna uśmiechnął się szeroko i dotknął jej ramienia. Odwróciła się, wprawiając w drzenie szklanki, które zastawiały każdy centymetr kwadratowy stołu. Dzień wypłaty w Stoke Prior.

Za sobą poczuła powiew chłodnego powietrza i dostrzegła wchodzącego do pubu Chrisa. Przeciskała się przez tłum, obok toalet oznaczonych obrazkami karcianych królów i dam. Uśmiechnęła się. Miała dwie minuty do odjazdu autobusu. Mogła przemknąć się koło baru obok i wyjść innymi drzwiami. Powiedziałyby im, że rozmawiała z NKWD, który nie wybierał się jeszcze do domu.

W tym barze obok grał zespół, który Chris nazywał „Gerry and the Geriatrics”*, sypiący się lysole, których poddano hibernacji w czasach Beatlesów. Mężczyli akurat „Rave on”. Zaczynała właśnie rozumieć, czemu NKWD tak się z tym skrywał, kiedy go zauważyła.

* Geriatric (ang.) — stare próchno.

Stanęła jak wryta, a kelner prawie wpadł na nią z pustą tacą. Za zespołem znajdował się aneks, który wedle zamierzeń projektanta miał być stylizowany na salon gier ze złożonymi lustrami i nisko wiszącymi zielonymi lampami. Przez kłęby dymu unoszące się pod zniszczonymi zielonymi abażurami dostrzegła go w jednym z lusterek, w ciemnym prążkowanym garniturze i firmowym krawacie. Już miała uciekać, gdy zauważyła, kto mu towarzyszył.

Ktoś ją dotknął. Podskoczyła i prawie krzyknęła. Chris.

— Idiotka... — zaczął.

Pokazała głowę.

— To on?

Potaknęła bez słowa.

— NKWD?

Znów potaknęła, choć to wcale nie był NKWD. Ten mężczyzna był młodszy, nieco niezręczny, dziwnie uśmiechnięty; nigdy go przedtem nie widziała.

— Przyszli oboje?

— To nie jest moja matka.

Była pewnie młodsza od Eileen, ale niewiele. Miała na sobie raczej skromną grafitową garsonkę, stonowaną żabotami białej bluzki wokół szyi i przy mankietach, oraz czarne, krótko ścięte włosy. Stuknęły się ich szklanki i złączyły ręce. On wyszeptał coś do niej i pocałował szybko. Jego dłoń wślizgnęła się pod jej zakiet. Wyjęła ją i ścisnęła.

Nieświadoma tego, co robi, Ann odsunęła się od Chrisa i szła już w stronę aneksu.

Chris krzyknął odruchowo: — Ann! — po czym zakrył dłonią usta. Pech chciał, że jego okrzyk wydobył się akurat w chwili, gdy „Gerry and the Geriatrics” dobrnęli do końca „Rave on”.

Co ona mu powie? Co zrobi? Nie miała pojęcia. Temu człowiekowi, który był i nie był jej ojcem, a ona szła w jego stronę i tyle. Szła w stronę jego pleców, twarzą zwrócona do lustra, a on na pewno słyszał okrzyk Chrisa i być może zobaczył ją w lustrze, wszystko działo się tak szybko i było takie zagmatwane, że niczego nie była pewna, i na pewno doszłaby do niego, gdyby Chris jej nie chwycił, a w tej samej chwili zobaczyła, jak mężczyzna w lustrze się zmienia i staje się NKWD ze znaczącą czołą znajomą zmarszczką, i przeraziło ją to, co robi, i pozwoliła Chrisowi wyciągnąć się stamtąd, i przeciskali się przez tłum, ludzie na nich klęli i podnosząc wysoko, chronili swoje drinki, a oni już mijali zespół rozpoczynający akurat „Love Me Do”, potem drzwi i znaleźli się na świeżym powietrzu, i razem z Lindą pognali do autobusu.

— Wariatka jesteś! — wrzasnął Chris.

— Wiem!

— Szłaś do niego!

— Wiem!

— Kretynka!

— Wiem!

Krzyczała do niego w jakimś uniesieniu. To było życie, wspaniałe, ich nogi waliły o ziemię, spódniczki unosiły się, a powietrze smagało im twarze, gdy piszczwały w stronę autobusu, który zbierał się do odjazdu.

— Niech pan zaczeka...! Niech pan zaczeka...!

Franco wcisnął im worek chipsów, gdy bez tchu gramoliły się na stopnie autobusu. Kiedy szarpnął i ruszył, Ann poleciała na jednego z pasażerów, a na innego Linda wysypała chipsy. Dwa rzędy twarzy patrzyły na nie z jednomyślną dezaprobatą. Starły się zachować powagę, gdy przeproszały wylewnie, po czym opadły na siedzenie i wybuchiły tłumionym śmiechem.

— O rany, czy on naprawdę...?

— No! Trzymał rękę na jej...

— Na jej pipce?

— Nie, głupia, na, cyckach!

— Gadasz!

— Serio, sama widziałam!

Zarzuciły jedna drugiej ramiona na szyje i uściślały się w związku z tym niewiarygodnym zdarzeniem, osuwając się w wysokich siedzeniach tak, że znalazły się w swego rodzaju grocie, wciskając kolana w siedzenia przed sobą, niedbale pozwalając spódniczkom zjechać na biodra, z ustami błyszczącymi od tłuszczu i zapachem octu unoszącym się dokoła, gdy dzieliły się chipsami.

— Widział cię?

— Nie wiem. Może.

— O kurczę! O kurczę!

Znów się do siebie przytuliły, gdy światła miasta zostały za nimi, a autobus wjechał na ciemne wiejskie drogi Ash Valley.

DZIESIĘĆ

Od przystanku do Chalkbank musiała iść pieszo. Czy to rozmowa o morderstwie pozbawiła ją spokoju ducha? Czy widok ojca do cna wytrącił z równowagi?

Wokół domu było ciemno, najbliższa lampa znajdowała się kawał drogi stąd. Kładąc dłoń na furtce, usłyszała jakiś ruch, ciche puknięcie gdzieś obok domu. Czemu akurat w tej chwili usłyszała sobie, czego brakowało w jej teczce, gdy zwróciła ją policja?

— Nic nie zginęło?

— Nie... są wszystkie książki... nie...

Było to coś tak oczywistego, że nawet nie zauważyła. Aż do tej chwili, gdy nawet na to nie patrzyła.

Jej nazwisko i adres. Pieczołowicie przyklejone taśmą klejącą pod spodem klapy: Ann Devenish, Shipton Way 29, Chalkbank, Ashminster.

Jej serce zaczęło walić boleśnie. Mocno ścisnęła bramkę. W ciemnościach wokół domu nie widziała nic. O tej porze frontowe drzwi zawsze były zamknięte na klucz. Między ich domem a polami, które biegły aż do głównej drogi, niczego nie było. Czyż on nie wybierał domów takich jak ich, zawsze wchodząc od tyłu?

Była taka wystraszona, że cofnęła się od bramki i pomyślała nawet, żeby pójść do pani Fisher po drugiej stronie ulicy i stamtąd zadzwonić.

Zsunęła się z krawężnika i nieomal wykrzyknęła, gdy drzwi od kuchni otworzyły się i wypuściły na dwór snop światła.

— Ann? — Jej matka zasłaniała oczy od jasności. — Czemu, u licha, tam stoisz?

— Och, mamó!

— Co się stało? O co chodzi?

— Zdawało mi się, że kogoś widziałam.

Eileen ścisnęła gumową latarkę, wystarczająco wielką, by mogła służyć do obrony, jak i do oświetlenia terenu, i wyszła. Pod jej stopami zagrzecotała puszcza.

— Dobrze widziałaś. To znów ten przeklęty lis.

Kopała puszczyki i kartony, nadeptując na obierki wysypujące się z przepelnionego śmietnika.

Jakiś lis, przystosowując się do braku żywych kur (farmy w dolinie były strzeżone jak twierdze), przychodził przez pola i szperał w śmietnikach. Stał się ekspertem od ich wywracania i zdawał się dokładnie wiedzieć, która rodzina jadła w danym dniu kurczaka.

— I nie ma tam człowieka?

— Człowieka? Gdzie?

— W ogrodzie!

Eileen wciągnęła ją do środka i zapaliła latarkę, której światło zafalowało nad umazaną w zupie paczką po płatkach pszennych, bokiem altany, suszarką do bielizny pokrytą kropelkami wody, mgłą w dole ogrodu.

— On chyba zna mój adres.

— Kto? O czym ty mówisz? Wchodź do środka!

Eileen włączyła lampy w ogrodzie, ale oświetliły one jedynie rządki kości z kurczaka, które ciągnęły się ścieżką pomiędzy różami, obok jabłoni, w dół do płotu. Ann wpatrywała się w gnaty. Jej lęki okazały się tak głupie, bezpodstawne.

— Przez chwilę naprawdę mnie wystraszyłaś. Wchodź do domu, nic dziwnego, że masz zwydy, skoro o tej porze jesteś jeszcze na dworze. Gdzieś ty była?

— U Lindy.

— Nieprawda! Dzwoniłam! Zamartwiałam się na śmierć! Masz wracać do domu, zanim się ściemni... słyszysz mnie, Ann?

— Tak, tak, tak.

— Chyba nie byliście w Stoke?

— Oczywiście, że nie. Byliśmy w Ashminster...

- Gdzie?
- Głodna jestem...
- Czemu nigdy nie jesz o normalnych porach?
- Bo o normalnych porach nie jestem głodna.
- Jak chcesz coś zjeść, Ann Devenish, przygotuj to sobie sama.
- Muszę odrobić lekcje.
- Trudno.

Ale matka zawarła z nią układ, którego Ann się spodziewała:

- Odrób lekcje, a ja pomyśle...

Eileen przygotowała jej tradycyjną awaryjną kolację: grzankę z serem i z jajkiem, przy czym ser nie był w plasterku rzucony na kawałek chleba, jak zrobiłaby to Ann, lecz starty i stopiony z kawałeczkiem masła i przyprawami, i przybrany zieloną pietruszką z ogrodu.

Ann zaczęła mówić jak Melissa Barnett. Melissa była klasową snobką i Linda pękała ze śmiechu, gdy Ann ją naśladowała.

— Mamo — rzekła, nakłuwając jajko, z którego popłynęła rzeka żółtka, otaczając pietruszkę i doskonale opieczony ser.

- Słucham?
- Czy mówiłam ci kiedyś, jaka jesteś cudowna?
- Ja ci tu pocudownię!

Objęła jednak córkę ramieniem i ucałowała ją.

- Myślałam, że masz zamiar być grzeczna.
- Byłam grzeczna.
- Doprawdy?
- Przeważnie...

Na stole leżała torebka na mrożonki z resztkami rozmrożonego dania. Dla jej ojca. Od jak dawna w każdy czwartek czekała na niego taka porcja? Odłożyła sztucce. Głupi strach, jakiemu uległa przy bramce, wywiąt z jej pamięci to, co widziała w „Jokerze”.

- Nie zjesz jednak? — spytała matka.
- Jest pyszne.

Eileen jednym okiem zerkała na wiadomości w małym przenośnym telewizorze, mówiąc jednocześnie o przedświątecznych kolejkach u Brandona i łatając dzinsy Bena.

Czy poszli gdzieś, ojciec i tamta kobieta? Była to dla niej tak całkowicie nowa myśl, że któreś z rodziców mogło być jeszcze zainteresowane seksem, nie mówiąc

już o seksie z innymi osobami, że doznała nagłego przyływu dziwnych uczuć. Odsunęła talerz, podeszła do matki i uściskała ją.

— Coś ty zbroiła, Ann?

— Nic.

Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że może powiedzieć matce. Wstała i wyłączyła telewizor.

— Nie powinnaś go włączać, jeśli nie oglądasz.

— I kto to mówi...?

Matka skończyła szyć i jak zwykle, odkąd tylko Ann mogła pamiętać, odgryzła nitkę, pytając jednocześnie: „Nie widziałaś nożyczek?”. Nie była starsza od tamtej kobiety z pubu, może nawet młodsza. Włosy miała byle jakie, ale cerę doskonałą, niemal świetlistą.

Tyło wysoka temperatura w pomieszczeniu wywołała rumieniec na jej szyi i dolnej części policzków. Myśl o powiedzeniu matce o tym, co widziała, zbyt szybko przeistaczała się z nieopierzonego pomysłu w mus, by mogła usiedzieć spokojnie. Poderwała się i nastawiła czajnik z wodą.

— Co się z tobą dzieje? — spytała Eileen.

Nie wiedziała, co robić, co powiedzieć. Co dziwne, czuła się z tego powodu okropnie winna, znacznie bardziej winna niż zwykle, gdy sama coś zmalowała. W końcu, żeby odłożyć decyzję, a jednocześnie zwrócić na siebie uwagę matki, pomyślała o grze w karty.

— Może byśmy zagrały w oszusta? — zaproponowała.

Kiedyś była to ulubiona gra całej rodziny i rzuciła tę nazwę bez chwili zastanowienia, lecz związek z jej dylematem był tak bezpośredni, tak oczywisty, jakby to jakiś diabeł w jej wnętrzu kazał to powiedzieć. Pomyślała, że matka musi wiedzieć, o czym myśli, i policzki ją zapiekły, kiedy z przepastnej kuchennej szuflady, zawalonej papierowymi serwetkami, guzikami, zdjęciami i kawałkami sznurka (znanej w domu po prostu jako „szuflada”), wyciągnęła karty.

— Powinnaś być już w łóżku...

— Tylko raz...

— Dziwne z ciebie dziecko...

Nie były sobie tak bliskie od długiego czasu i palce jej stały się niezręczne, nieporadne, gdy rozdawała lepkie, wymięte karty, które były gadzetem reklamowym Towarzystwa Budowlanego Downshire i na spodach nosiły wizerunek

uśmiechniętej rodziny stojącej przy nowiuśkim domu oraz podpis „Bezpieczni jak nasze mieszkania”.

— Jest cała talia?

Te same pytania, miła karciana rutyna, ten sam brakujący karowy walet nabazgrany na zapasowym kartoniku. Nie grali może od roku, ale jej zdawało się, że to całe życie.

Eileen zerknęła na zegarek i wstawiła danie dla NKWD do lodówki. Podeszła do Ann z tyłu.

— Ty coś zbroiłaś...

— Po prostu chcę z tobą zagrać, mammo!

Wzięła do ręki swoje karty. Usłyszały, jak w ich ulicę wjeżdża samochód i obie zrobiły się spięte, automatycznie odwracając głowy i wyęzając słuch, lecz wóz pojechał dalej.

Ann położyła dwie dwójki figurami w dół.

— Dwie dwójki — rzekła.

Żeby grać dalej, Eileen musiała położyć, także figurami w dół, dowolną liczbę sąsiadujących kart: trójek albo czwórek.

— Jedna trójka.

Jeśli nie miało się właściwych kart, można było oszukiwać. Ann nie miała więcej dwójek ani żadnych czwórek, więc bez wahania położyła ósemkę i króla.

— Dwie czwórki — powiedziała.

— Oszust! — zawołała Eileen.

Choć matka była tępawa w innych dziedzinach, zdawała się stworzona do gry w karty i zawsze wiedziała, co mają inni. Ann była pewna, że Eileen miała dwa asy, kiedy tak twierdziła, lecz gdy zebrała karty, okazało się, że mama przemyciła parę królów.

Przez dłuższy czas żadna nie ryzykowała zawołania „oszust”, bo fałszywe oskarżenie oznaczało, że trzeba zebrać to, co na stole.

— Jedna dziewiątka — rzekła matka.

Ann wzięła do ręki nieco wygniecioną dodatkową kartę, która miała zastępować waleta karo.

— Jedna dziesiątka.

— Oszust — powiedziała matka.

— To niesprawiedliwe! — wykrzyknęła Anna. — Wiesz, że to walet!

— Wiem, co mówi mi twoja twarz, kochanie — śmiała się matka.

Ann zrzuciła karty na podłogę.

— Nic nie wiesz! — zawołała. — Byłam w Stoke.

— Wiem.

— Skąd?

— Nie jestem głupia. Co się stało?

Tym razem nie wiedziała, co powiedzieć. Siedziała tam wśród rozrzuconych kart i zaciskała żałośnie ręce.

— No, powiedz mi.

— Nic się nie stało! Mogłabyś przestać wciąż powtarzać „co się stało, co się stało”, jak papuga! Pojechałam tylko, kurwa, na jakąś kawę.

— Nie klnij przy mnie.

— Będę, kurwa, klęła, jak mi się będzie chciało!

Matka wstała, rozsypując więcej kart, na jej twarzy gniew walczył z niepokojem.

— Posłuchaj, nie wolno ci tam jeździć o tej porze... słuchasz mnie?... Słuchaj, Ann, co się dzieje?

— Nic się nie dzieje!

— Czemu jesteś taka zdenerwowana?

— Nie jestem.

— Jesteś. Znam cię.

— Jezu Chryste, to co, ja już nie wiem, kiedy jestem zdenerwowana, a kiedy nie? Do kurwy nędzy!

Trzasnęła drzwiami, pobiegła na górę i podparła zaraz kłamek krzesłem.

Przez dłuższy czas siedziała na łóżku po ciemku. W pewnym sensie czuła się, jakby była znowu na zewnątrz. Tam był inny świat. Przez cały czas miała zamiar włączyć światło, ale nie ruszała się. To dziwnie, jak w tym świecie zjawiały się w jej głowie myśli, tworzyły niezwykły schemat, któremu, jak czuła, nie powinna się poddawać, ale nie potrafiła się oprzeć.

Gdzieś ponad polami od czasu do czasu migały światła samochodów. Gdzieś bliżej wzgórz czał się lis. Przycisnęła twarz do zimnej szyby. Widziała niebieskie światełko, jak błędny ognik z bajki, który wiódł ludzi na śmierć na bagnach. Chwilę później dźwięk syreny powiedział jej, że to radiowóz albo karetka zmierza wzdłuż Stoke Road do Lynford.

W tym świecie to wcale nie musiało być wytworem jej wyobraźni, że ktoś obserwował ją w lesie, zabrał jej teczkę i teraz wiedział, kim jest i gdzie jej szukać.

Przyszło jej do głowy coś jeszcze. W hallu szkoły, przy wejściu znajdowała się osiemnastowieczna mapa, na którą nigdy nie patrzyła, aż do niedawna, kiedy to dotarło do niej, że las, w tamtych czasach znacznie większy, miał nazwę: Gaj Jennera.

Syrena, która już ucichła, była słyszalna znowu, tym razem znacznie słabiej.

Jenner. Gaj Jennera. Teraz, gdy go nazwała, stał się prawdziwy, niezależnie od tego, czy był częścią jej wyobraźni, czy nie. Jenner.

Zadrżała i zaciągnęła zasłony. Nie włączała światła, jakby bała się, że stanie się ono jak latarnia morska, ale znalazła piżamę w ciemności. Gdy ją zakładała, usłyszała samochód ojca. Zaczęła się trząść przekonana, że zaraz wejdzie na górę, otworzy na oścież drzwi i zapali światło.

Niesamowitość kruchego nocnego świata za oknem wyblakła w porównaniu z tym strachem. Błyskawicznie się przebrała, rzucając części ubrania gdzie popadło, i drżała w zimnej piżamie, naciągając na siebie kołdrę.

Nie przyszedł.

JEDENAŚCIE

Żle spała i obudziła się, nie chcąc nawet zaczynać myśleć o poprzednim wieczorze. Otumaniona, ciągnąc za sobą kołdrę, powlokła się do łazienki, lecz stanęła jak wryta, słysząc śpiew NKWD. Był to jeden z kawałków ze starej płyty Jamesa Lasta, którą od czasu do czasu sobie puszczał. — „Życie to nie droga usłana różami... chociaż swe uroki ma...” Pewnie usłyszał, jak złapała za klamkę, bo zawołał radośnie: — Sekundę!

Jego wesołość przepłynęła przez nią jak fala prądu. Jasne. To dlatego ostatnio był dla niej taki miły. Ta kobieta w pubie. Jasne. Ogarnęła ją panika. O Boże, nie mogła mu spojrzeć w oczy, nie mogła w ogóle na niego patrzeć. Wczoraj nie wiedziała, co powiedzieć matce, a dziś tym bardziej nie miała pojęcia, jak zachować się przy nim. Ubierze się i wyjdzie, zanim on zejdzie na dół. Gdy gnała korytarzem, dotarł do niej zapach smażonego bekonu i usłyszała, jak matka woła, że śniadanie już prawie gotowe. Jajko sadzone z boczkiem i grzybami! Tego też nie mogła zobaczyć. Miała coś krzyknąć na dół, ale nie zdążyła, bo drzwi

łazienki otworzyły się, więc wpadła do swojego pokoju.

Gdy zeszała potem na dół i zobaczyła zawartość skwierczącej patelni, załamała się. Zwykle matka nie robiła tego dla niej.

— To chyba nie dla mnie?

— Wieczorem prawie nic nie jadłaś.

Eileen zsunęła grzyby na bok i połała tłuszczem jajko. Nie patrzyła na córkę. NKWD też na nią nie patrzył, składając „Daily Mail”. Choć raz nie czytał na głos.

— Dzień dobry, moja panno.

— Dzień dobry, tato.

Tego ranka nikt na nikogo nie patrzył, nie licząc Bena, który czuł, że coś się święci, i gapił się na wszystkich tymi swoimi jasnymi, iskrzącymi się oczami.

NKWD założył najlepszy garnitur, grafitowy w czerwone prążki, z jedwabną czerwoną chusteczką w kieszonce. Na nogach miał buty barwy burgunda z metalowymi łańcuszkami, które pobrzękiwały lekko, gdy chodził. Co chwilę chrząkał, jak zawsze, gdy chciał coś powiedzieć. Panowała bolesna cisza. Coś wisiało w powietrzu, bez dwóch zdań. Pragnęła, jak bardzo pragnęła stamtąd wyjść!

Eileen postawiła przed nią jajko i dwa kawałki chleba.

— Nie zjem tego, mamó.

— Zjedz, ile zdołasz.

— Rośniesz —dodał NKWD.

Chrząknął i popatrzył na nią. Dokładnie w chwili, gdy chciał się odezwać, Ben wyskoczył zjedna ze swoich idiotycznych zagadek.

— Jak jest po islandzku „wracać”? — spytał.

Oczy Ann zaszklily się. NKWD pozostał z na wpeł otwartymi ustami. Potem jakby spapugował ton Bena: — Nie wiem, synu. To jak jest po islandzku „wracać”?

— Yo-yo — odparł triumfalnie Ben. — Nie wiedzieliście?

Puścił w stronę Ann swojego bączka tak, że prawie wylądował na jej talerzu.

— Yo-yo! Yo-yo!

Ann zanurzyła skórkę od chleba w jajku, położyła na wierzch kawałek bekonu i włożyła do buzi.

— Byłaś wczoraj wieczorem w Stoke Prior — rzekł ojciec.

Poczuła, jak ją skręca. Pewnie widział ją w pubie. Nie. Po wymianie spojrzeń między nimi i po błagalnym zerkaniu na nią matki, poznała, że to ona mu powiedziała. Cóż, przynajmniej jej nie widział i nie wiedział, że ona go widziała, chociaż przez to nie musiała brnąć.

Posłała matce gorzkie, zdradzone spojrzenie. Eileen żałośnie wykręciła ręce i powiedziała: — Przepraszam...

— Nie przepraszaj jej, Eileen, za co, u licha, ją przepraszasz?

— Nie posłuchałaśbyś mnie — ciągnęła Eileen — a ja tak się boję, że coś ci się stanie, naprawdę.

— Nic mi się nie stanie, mammo!

— Tu masz rację — wtrącił się ojciec — bo na pewno już tam sama nie pojedziesz.

— Nie byłam sama!

Podniósł obie dłonie.

— Nie mam zamiaru się z tobą spierać. Tu nie ma nad czym dyskutować.

Błysnął okularami, gdy podnosił filiżankę, po czym odstawił ją, nie pijąc.

— I nie chcę słyszeć żadnych więcej kłamstw.

— Nie kłamałam.

Ręka Bena zakradła się do jej talerza. Gdy brał w palce dwa grzyby, przygwoździła mu dłoń widelcem. Wrzasnął z bólu.

— Nie chciałaś jeść!

— Przestań! — krzyknęła na niego Eileen.

Ben wycofał się w obliczu niespodziewanego jadu w głosie matki, która zwróciła się do Ann.

— Jedz, kochanie.

A więc taki był cel tego śniadania: rozejm i pokuta. To sprawiło, że jedzenie stało się jeszcze bardziej przykre. Pogubiła się w ich twarzach, jednej oskarżającej, a drugiej kochającej i pełnej wyrzutów sumienia, osaczona nimi i posiłkiem, którego nie chciała, a który, jak czuła, teraz musi łykać, żeby uniknąć kolejnej awantury.

— Nie kłamałam. O jakie kłamstwa tobie chodzi? — obstawała przy swoim.

— Mówiłaś, że będziesz z Lindą — odparował ojciec.

— I byłam!

- U Lindy!
- Nie mówiłam...
- Powiedziałem, bez dyskusji, Ann! Nigdy tam już nie pojedziesz!

Wbiła wzrok w talerz i zjadła kawałek bekonu. To było straszne, nie znosiła tłuszczu z samego rana, ale przełknęła. Nie wolno jej już nic powiedzieć, nie wolno, a jednak ta myśl nie dawała jej spokoju.

Ona kłamała!

W kuchni słychać było tylko skrobanie jej widelca i noża po talerzu i łykanie kawy przez NKWD, który pochłonał płyn dwoma haustami naznaczonymi lekkim sapnięciem i westchnieniem. Czarna masa grzybów wymieszała się na jej talerzu z jajkiem i pomidorem tak, że wyglądała jak rysunek zachodu słońca wykonany przez przedszkolaka.

Ona, to ona kłamała!

Nóż piszczał, widelec skrobał. Włókno bekonu utknęło jej między zębami. Wydłubała je paznokciem. Zegar zabuczał lekko, jakby chciał odchrząknąć przed wybiciem wpół do. Na ten sygnał matka zaczęła się podnosić, a NKWD wydmuchał nos i wytarł usta jednym oszczędnym ruchem chusteczki.

— Widziałam cię — wymamrotała pod nosem, co było tym bardziej przekonywające, im mniej związane z poprzednim dialogiem.

- Gdzie?
- W Stoke Prior.
- Gdzie?
- W „Jokerze”.
- W pubie?
- Tak.
- Co tam robiłaś?

Do tej chwili mówili jak w transie, jak dwaj tenisiści odbijający piłeczkę zawsze na tę samą odległość. Matka zawiśła pólśdząc nad krzesłem, zaś ojciec zwyczajnie odepchnął swoje do tyłu. I w tych oto szybkich ruchach, które stanowiły prawdopodobnie koniec jej dzieciństwa, zobaczyła w nim oszusta, zobaczyła w jego zbyt rozmyślnej postawie, że ją widział, lecz nie wiedząc, co ona widziała, nic nie mówił. Doznała poczucia straty, którego nie potrafiła wyjaśnić, poczucia ogromnej straty.

— Co tam robiłaś? — pytał zimnym, wyrachowanym głosem.

Chciała krzyczeć, co *on* tam robił, lecz odpowiedź padła z ust posępnej, choć lubiącej żarty uczennicy, która powiedziała:

— Poszłam na wielki dżin z tonikiem.

— Piłaś...?

— Zobaczyłam twój samochód! — krzyknęła rozpaczliwie. — Na zewnątrz! Zobaczyłam twój samochód i weszłam, żeby...

— Po co?

Zająknęła się. W ustach miała kluchę jedzenia, której nie mogła połknąć ani wypluć.

— Nie wiem... Chciałam do ciebie podejść...

Odłożyła sztucce. Było jej niedobrze. Ben, który podczas całej rozmowy był wyraźnie obecny tylko ciałem, zaczytawszy się w nowym numerze „Beano”*, który wyciągnął po burze od matki, podniósł wzrok i wyskoczył: — Kim będzie kanibal, który pożarł drobnego przemytnika? Mrówkojadem. Mrówko-jadem... Kapujecie?

* „Beano” — popularny brytyjski magazyn komiksowy dla dzieci, pełen zabawnych historii i żartów, ukazujący się co tydzień.

— Idź na górę i wyczyść zęby — poleciła matka. — W tej chwili! — dodała ostro, ciągnąc go za rękę.

Gdy Ben, zdumiony drugą już zniewagą, wyszedł z kuchni, ojciec zapytał: — Czemu tego nie zrobiłaś?

— Czego?

— Nie podeszłaś.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Nie byłeś sam.

Zamurowało ją jeszcze bardziej, gdy zobaczyła, jak uśmiecha się od ucha do ucha.

— To żadna tajemnica. — Zwrócił się do Eileen: — Byłem z panią Hedges, głównym negocjatorem od Collinsa i Dentona.

— Całowałaś ją! — rzuciła Ann.

Zobaczyła minę matki i serce prawie jej pękło. Co ona narobiła? Dałaby wszystko na świecie, żeby to cofnąć, ale czuła się jak na zjeżdżalni, z której nie sposób zsiąść, która prowadziła ją coraz prędzej i prędzej ku jakiejś katastrofie, którą dało się przewidzieć, ale nie uniknąć.

Ojciec się śmiał.

— Masz rację, że ją całowałem — mówił. — Sama byś ją ucałowała, gdyby zawarła taką transakcję.

Znów zwrócił się do Eileen:

— Sprzedała tamten blok na Windermere i spłaciliśmy hipotekę.

Był tak pewny siebie, tak przekonujący, że zawahała się, lecz zaraz przypomniała sobie lustro i jego rękę dotykającą piersi tej kobiety.

— To nie był taki pocałunek — powiedziała.

I właśnie wtedy, gdy uśmiech ojca na stałe przyrósł do jego twarzy, zdecydowanie wkroczyła matka.

— Dość tego — rzekła z dłońmi zaciśniętymi na oparciu własnego krzesła.

— Dość czego?

— Wystarczy. Jest w tobie jakaś podłość, jakieś zło, Ann. Tylko dlatego...

Eileen nie dokończyła. Pierwszy raz zdawała się nie wiedzieć, dokąd iść we własnej kuchni, płątała się po niej jak ślepa. Później Ann mogła się domyślić, przez jakie męczarnie przechodziła matka, ale nie w tamtej chwili, na pewno nie w tamtej chwili.

— Tylko dlatego co?

Żadne z nich nie chciało tego ciągnąć, lecz żadne też nie mogło przestać.

— Tylko dlatego co? — dopytywała się Ann.

— Dlatego, że zostałeś przyłapaną!

— Zostałam...!

— Dość! Dość tego!

Pięści matki były zaciśnięte, a klatka piersiowa falowała mocno.

— Kończ śniadanie — dodała.

Ann odepchnęła talerz.

NKWD popatrzył na jego zawartość.

— Po co o nie prosisz, skoro nie zamierzasz jeść? — rzekł.

Owa ostatnia nędzna, niesprawiedliwa uwaga oskarżająca ją o to, że nie je czegoś, czego nie chciała i o co nie prosiła, i co i tak zostało przygotowane bardziej dla złagodzenia poczucia winy matki niż dla jej żołądka, ta uwaga sprawiła, że Ann zgrzytnęła zębami, a wszystko, wszystkie oszustwa i wyrzuty sumienia skupiły się w jakiś sposób na talerzu, na odrażającym bałaganie na talerzu, który podniosła i cisnęła prosto w ojca.

Przez ledwie ułamek sekundy trudno było w to uwierzyć, ale śniadanie, odebrane od talerza i frunące nieco przed nim, zostało naprowadzone niczym przez radar na swój cel.

Jajko, bekon i w końcu naczynie trafiły go prosto w klatkę piersiową. Grzyby i pomidory, lecąc niżej, rozchlapały się na spodniach. Kawałek bekonu zwiślał z

mankietu. Kleks z jajka uformował się w żółty wykrzyknik na okularach.

Talerz, o dziwo nie stłuczony, zadrżał i zatrzymał się na wyłożonej winylowymi płytkami podłodze. Nastąpił moment zszokowanej ciszy, po czym Ben, który wrócił właśnie do kuchni, wydał okrzyk niezmaconej radości i klasnął w ręce z rozkoszy.

Eileen złapała go i wyprowadziła. W tym samym momencie ojciec rzucił się na Ann.

Czmychnęła dokoła stołu. Gdy on gonił ją w jedną stronę, ona ruszała w przeciwną. Wszystko to bez słowa. Cała złość, cała jego energia skupiła się na dorwaniu jej. Miski po płatkach śniadaniowych spadły na podłogę, gdy odsunął stół pod ścianę, żeby ją uwięzić. Gdy śmiertelnie przerażona dała nura pod meblem, dostał ją w swoje ręce. Zdarzało mu się wcześniej tracić panowanie z jej powodu i to wiele razy, ale nigdy nie tak. Matka, która już wróciła, próbowała go powstrzymać. Odepchnął ją.

— Zabiję ją! Zabiję!

Przewróciło się krzesło. Interwencja matki sprawiła, że stracił równowagę, a Ann zebrała się, ciskając krzesło pod nogi ojca i chwytając teczkę w drodze do drzwi.

Nacisnęła na klamkę. Drzwi były zaryglowane. Szlochając z lekka, odemknęła je. Stały otworem. Gdy przez nie wychodziła, kopnął ją, unosząc trochę nad ziemię. Teczka wyslizgnęła się jej z dłoni i poturlała się po kamieniach.

Odwróciła się, warczące małe zwierzątko: — Zabiję cię! — krzyknęła.

DWANAŚCIE

Na pierwszej przerwie w szkole panna Rainier, sekretarka, powiedziała Ann, że jej matka chce, by zadzwoniła do niej do sklepu. Jasne, niech ją cholera weźmie, jeśli zadzwoni! Podłość i zło! To było takie niesprawiedliwe, niesprawiedliwe, niesprawiedliwe! A ojciec był naprawdę przerażający, i w pubie, i wtedy, gdy się na nią rzucił. Przeraził ją też własny wybuch, ten okrzyk na ścieżce przed domem!

Była bliska łez i nieskładnie próbowała porozmawiać z Lindą, powiedzieć jej, jak się czuła, ale choć Linda widziała, że jest zdenerwowana, najpierw wyszedł

z tego żart, który powalił ją ze śmiechem na ziemię, z policzkami trzęsącymi się jak różowa galareta.

— Powiedz jeszcze raz, jak rzuciłaś tym talerzem...?

I tak to wkrótce po stołówce krążyła kolejna opowieść o odwadze, opowieść z cyklu „Słyszałaś, co zrobiła Ann Devenish?”. Dziewczyny odsuwały od niej swoje talerze.

— Uwaga, miotaczka naczyń!

A ona w to weszła!

Potem, gdy tak sobie myślała, stwierdziła, że się pogubiła. Bawiły ją te historie — sama je nawet podsyciała — a jednocześnie czuła się nimi dotknięta, niekiedy do głębi.

Najgorzej było po incydencie w lesie. Po szkole zaczęły krążyć najróżniejsze pogłoski. Aresztowano ją w szatni. Kilku policjantów goniło ją po lesie. Znaleziono przy niej pięćdziesiąt, sto, dwieście funtów. Ostatecznie te niestworzone opowieści przycichły i stały się nieco bliższe prawdy, pozostało jednak wrażenie, że ma ona coś wspólnego z tamtymi kradzieżami. Nie, to nie było aż tak oczywiste. Były tylko spojrzenia. Poszturchiwania. Szepty. A może to tylko jej obraźnia?

Około lunchu wyglądało na to, że odzyskała już równowagę. Po pierwsze była głodna jak wilk i pozwoliła sobie na pieczoną kielbasę z sosem pomidorowym, podczas gdy Linda spoglądała z zazdrością znad swojego talerza niskokalorycznej sałatki. Potem zjadła własną bułkę z dżemem i krem, na który zwała większość sałatki i lodów protestującej Lindy.

— Wzięłaś to za mnie — rzekła.

— Nie wszystko! — jęczała Linda.

— Robię to dla ciebie — wymamrotała Ann z buzią pełną bułki, pomarańczy, brzoskwini, lodów i kremu. — To jest naprawdę ohydne.

— Właśnie widzę.

Linda wsadziła palec w mieszankę o barwach tęczy, nim Ann zdążyła odsunąć talerz.

— O Boże. Niebo w gębie. Po prostu niebo w gębie.

Wciąż się śliniła, gdy Ann zeszkrobywała z talerza resztki. Jedzenie przywróciło ją do życia i poszła z Lindą korytarzem zadzwonić do matki. Po kłótni w domu Eileen zawsze wysyłała kogoś po Bena, a sama przyjeżdżała po nią. Wygadają

się, pokłóćą jeszcze, posprzecząją, lecz w końcu się dogadają. Eileen i NKWD będą mieli kilka cichych dni. Taki był schemat.

Jednak Ann nie zadzwoniła. Do zmiany decyzji przywiodła ją naprawdę błahostka, coś jak uwaga ojca na temat jej śniadania, przez którą rzuciła w niego talerzem. Podchodziła już z Lindą do jednego z telefonów, wyciągając z teczki kartę telefoniczną. A Melissa Barnett, stojąca przy innym aparacie, rozejrzała się, zobaczyła, że Ann ma skorzystać z sąsiedniego telefonu i zabrała swoją teczkę, w której spoczywała portmonetka, na drugą stronę, z dała od koleżanki.

To mógł być całkowicie niewinny gest. Może nawet chciała zrobić więcej miejsca dla Ann. Lecz to spojrzenie, ten ruch miały zupełnie inny skutek: zagołowały wszystko razem i połączyły w jedną masę oskarżenia o kradzież po zajęciu w lesie, te głupie opowieści, które potem krążyły, kłamstwa, oszustwa przy śniadaniu. Co gorsza, nie mogła się do niczego przyczepić. Zwykle przesunięcie torby? Spojrzenie? To jakaś paranoja!

Ale też nie mogła dłużej znieść życia w paranoi!

Odeszła, nie odzywając się nawet do Melissy Barnett. Linda popędziła za nią.

— Nie dzwonisz?

— Spadam stąd — odparła Ann.

— Dokąd?

— Możesz się za mnie odezwać? Mamy teraz z Franco.

Panna French, nauczycielka geografii, miała sprawdzać obecność po południu. Grube szkła okularów sprawiały, że widziała jak przez zabrudzone szyby, a do tego słuch miała równie kiepski jak wzrok.

— Gdzie idziesz?

— Wyślę ci pocztówkę.

Rozległ się dzwonek. Obróciła się i ruszyła pod prąd strumienia dziewcząt wchodzących do klasy, minęła szatnię, skąd zabrała kurtkę, i wyszła bocznymi drzwiami. Dziwnie było znaleźć się tam samej, poza harmidrem złożonym z szurania nóg, paplaniny i uporczywego dzwonienia. Szła na żywioł, rzecz jasna. Nie miała pojęcia, co chce zrobić, nie licząc zapalenia papierosa i uniknięcia spotkania z Eileen. To ją nauczy. To im pokaże.

Wyjęła paczkę marlboro. Była pusta. Cisnęła ją przez dziedziniec. W środku, na całą szkołę opadł gruby koc milczenia — najpierw ucichł dzwonek, potem ustało szuranie krzesel, aż w końcu zamilkły rozmowy.

Kracząc przeraźliwie, nad boiskiem przeleciał gawron, ciężko i powoli uderzając skrzydłami po drodze do dębowej alei. Czy to wtedy przyszła jej do głowy ta myśl? Mimowolnie zadrzała, tak jak wtedy, gdy Eileen mówi „Ktoś mnie woła zza grobu”.

Cisza była tak absolutna, tak przesywająca, jakby to była noc.

Przez chwilę żałowała, że nie jest w klasie. Zdobędzie gdzieś papierosa, a potem zjawi się na następnej lekcji. Weszła do głównego budynku, minęła aulę, gdzie odbywały się apele, i stołówkę. Dała nura w boczny korytarz, gdy usłyszała zbliżające się kroki i głos woźnego Goeffa marudzącego pannie Rainier, że dziewczęta jedzą w bibliotece.

Ostry zapach środka do dezynfekcji dotarł do jej nozdrzy sporo wcześniej, nim doszła do szatni. Serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Co ona ma zamiar zrobić? Zupełnie jak w tym domu, gdzie widziała martwą kobietę, jej nogi zdawały się ją gdzieś prowadzić, robić coś, a ona nie miała pojęcia co.

Chciała pożyczyć papierosa, jasne. Zobaczyła kurtkę Lindy, ale ona nie była chyba na tyle głupia, żeby zostawić paczkę w kieszeni? Nie była. Znalazła jedynie pudełko wypalonych zapalek. Linda miała denerwujący zwyczaj wkładania każdej wypalonej zapalki z powrotem do pudełka.

Gdy odwróciła się od kurtki Lindy, odkryła, że znajduje się kilka centymetrów od boksu Holly Porter.

Boksy zostały wprowadzone przez pannę Montrose i miały stanowić namiastkę szafek, co Ann uznała za głupotę. Były zrobione z twardej siatki ogrodzeniowej i zamykane na kłódki. W boksie Holly Porter znajdowała się jej torba, a w torbie Ann ledwo dostrzegła cienki czerwony pasek wystającej portmonetki.

Nagle mocno poczuła, że w szatni jest ktoś jeszcze. Schowała się w łazience, ale nikogo nie zobaczyła. Otwierała drzwi kabin. Pusto. Jedne były zablokowane zużytym papierem wetkniętym między skrzydło a framugę. W środku kapąca spluczka, powoli, regularnie. Choć ogrzewanie było tu wyłączone i panował raczej chłód, po plecach Ann popłynął pot.

Nagle poczuła, że musi się stąd wydostać. Wrócić do klasy. Nieważne, że był środek lekcji. Jednak miała wrażenie, jakby jakiś tajemniczy magnes ciągnął ją do czerwonej portmonetki w boksie. Siatka była umocowana na stalowych prętach. Na drzwiczkach wisiała ciężka kłódka. Nie było sposobu, żeby ją wydostać, chyba żeby pchnąć torbę tak, by uderzyła w ściankę boksu.

Zrobi to, zrobi tylko to i koniec, nic więcej, z czystej ciekawości, żeby udowodnić, że to niemożliwe, najzupełniej niemożliwe. Udowodnić komu? Nie wiedziała. Nasłuchiwała. Nie dotarł do niej żaden dźwięk, tylko kapanie wody ze spłuczki. Pchnęła torbę długopisem. Nie dość, że opadła na jedną ze ścianek boksu, to jeszcze portfel wyślizgnął się i wcisnął w oczka siatki. Na pewno będzie za duży, żeby przejść przez ten otwór, są w nim karty kredytowe i inne sztywne przedmioty.

A jednak był giętki, zrobiony z najlepszej, miękkiej świńskiej skórki, jako że rodzice Holly Porter mieli mnóstwo pieniędzy i tylko jedno dziecko, na które mogli je wydać. A palce Ann były chude, takie chude i wyjątkowo zręczne; mogła wcisnąć je razem z nadgarstkami tam, gdzie nikt inny nie dałby rady, na przykład za grzejnik, żeby wyciągnąć chusteczki do nosa i skarpetki nie do pary, które kiedyś tam wpadły.

Wciągnęło ją to zadanie, maleńka bitwa między jej palcami, siatką i portfelem. Oczywiście nie mógł się precyzyjnie przesuwać. Firma produkująca siatkę przewidziała by przecież możliwość takiej kradzieży. Kradzieży? Czemuż u licha użyła tego słowa? Była tylko ciekawa, czy da się to zrobić.

To było bardzo dziwne, naprawdę, bardzo dziwne. Czy oni nie uważali, że to właśnie robiła?

Już prawie go miała, trzymała między kciukiem a palcem wskazującym, lecz nie mogła ścisnąć na tyle mocno, by przeciągnąć przez dziurę, i portfel zsunął się w głąb boksu. No to koniec. To nie było możliwe! Jednakże wciąż próbowała. Leżał teraz w pobliżu wygiętego oczka i gdyby wygięła drut jeszcze trochę bardziej... Zerknęła na zegarek i serce jej podskoczyło. Dziewczyny będą zmieniać klasy, będą tu za dziesięć minut, nawet mniej. Prawie się poddała. Ale jej palec wskazujący i kciuk, który mogła wyginać, jak tylko chciała, i który mógł się wedrzeć do boksu, ścisnęły portfel jak imadło. Był już w połowie na zewnątrz. Ale utknął, a wraz z nim utknęły jej palce. Coś z niego wystawało i blokowało go, jakaś moneta czy plakietka, czy co tam. Pierwszy raz przyszło jej do głowy, że złodziejski fach to wcale niełatwy kawałek chleba.

Kroki. Głosy. Ktoś szedł hallem głównym. Nie. Usłyszała, jak dźwięki odbijają się echem w korytarzu bocznym i zbliżają się do szatni. W panice usiłowała wyciągnąć rękę. Utknęła ponad knykiami.

- Zdziwiłaby się pani, co one wrzucają do sedesów.
- Wolę nie wiedzieć, dziękuję.

To był woźny Goeff i panna Rainier, sekretarka. Ann stłumiła w sobie okrzyk bólu, gdy metal wbił się jej w ciało.

— Panno Rainier...

Słowa woźnego zatrzymały sekretarkę. On sam stał przy drzwiach.

— Lepiej zaczekam, żeby mnie pani wpuściła — powiedział.

Ann widziała brzeg jego marynarki. Była w drugim rzędzie boksów i gdyby się odwrócił, musiałby ją zobaczyć. Gwałtownym szarpnięciem uwolniła palce, zadrapując się od kosteczki aż po paznokcie. W dłoni ścisnęła portfel. Czy miał to być eksperyment, czy prowokacja — nie miało to teraz znaczenia. Teraz jedyną rzeczą, jaka się liczyła, było wydostanie się z szatni. Bez dalszego zastanowienia przemknęła między rzędami boksów i wślizgnęła się do łazienki.

— Zobaczą tylko, czy nikogo tam nie ma — mówiła panna Rainier, gdy Ann wspinała się już po umywalce na parapet.

Na szczęście okno otworzyło się z łatwością, a za nim rosła trawa. Była na tyle przytomna, by zamknąć je za sobą na ułamek sekundy przed tym, jak dostrzegła, że drzwi łazienki się otwierają i wchodzi panna Rainier. Szczęście jej nie opuszczało. Dziewczęta powychodziły akurat z sal i szły na następną lekcję, przemieszczając się między budynkami, więc zdołała się wmieszać do swojej klasy i oznajmić Lindzie, że wyskoczyła tylko na fajkę. Nikt poza przyjaciółką nie zdawał się zauważyć jej nieobecności.

Przez resztę lekcji trzymała portfel pod bluzką. Ta sytuacja nie tylko nie wystraszyła jej ani nie zdenerwowała, ale zdawała się wręcz jakoś pobudzać. Była wyjątkowo uważna i dokładnie odpowiadała na zadane pytania, choć raz uzyskując od panny DuBois, nauczycielki religioznawstwa, pochwałę za wypowiedź na temat hinduizmu.

Miękka, nieco gąbczasta skóra kleiła się jej do ciała, odlepiając się, gdy się poruszyła, jakby wierciło się jej tam jakieś malutkie zwierzątko. Czy miała zamiar go zwrócić? Podrzucić gdzieś? Nim zdążyła podjąć jakiegokolwiek działanie, zabrzmiał ostatni dzwonek i rozeszła się pogłoska, że dokonano kolejnego włamania. Dziewczęta stały dokoła, szepcząc w małych grupkach. Dzwonek, który zawsze wywoływał dreszcze, dołożył się jeszcze do ogólnego uczucia napięcia. Ktoś widział Monty z woźnym i panną Rainier. Ktoś inny słyszał od Judy Brown, która była gospodarzem szkoły, że znów tu był, ten włamywacz. W szatni odkryto otwarte okno, choć wszystkie były dokładnie pozamykane po ostatnim włamaniu.

Na umywalce i parapecie znajdowały się ślady. Goeff nie miał wątpliwości, że widział mężczyznę biegnącego w stronę lasu. Wezwano policję, a w międzyczasie wszyscy powinni sprawdzić swoje rzeczy.

Plotka dotarła do czekających na zewnątrz rodziców, którzy dowiedzieli się, że w szkole był morderca, i w te pędy ruszyli szukać swoich pociech w narastającej panice, nad którą nawet panna Montrose nie była w stanie zapanować.

Pstryk — tak nazwała to po wszystkim Ann Devenish — wyraźne, ostre pstryknięcie w jej głowie, jakby ktoś wyłączył światło.

TRZYNAŚCIE

Jeśli istniał jakiś schemat, to Gates nie potrafił go wykryć. Przez minione dwa tygodnie dokonano pięciu kolejnych kradzieży, od rabunku na kwotę dziesięciu tysięcy po kradzież portfela z trzydziestoma funtami — znów — ze szkoły Bishop Griffith's. Jedno z pozostałych włamań, w czasie których zginęła podobnie niewielka kwota, wyglądało, jakby dokonał go morderca Laury Travers, który ukrywał się przez jakiś czas, by znów wypłynąć przy okazji naprawdę bezczelnej kradzieży w Lynford, gdzie sprawił, że sąsiad sam wyłączył alarm!

Jakby tego było mało, zaginęła dziewczynka — rzecz jasna, nie kto inny, jak Ann Devenish. Nie miał pojęcia, najmniejszego pojęcia, czy wiązało się to jakoś z zaginięciem pieniędzy w szkole. Mogło to być włamanie. Woźny był absolutnie pewny, że widział, jak ktoś ucieka, metr osiemdziesiąt wzrostu, potężnie zbudowany, w dżinsach, jak mu się zdawało, i skórzanej kurtce. Mógł to być człowiek pracujący na pobliskim polu, lecz woźny temu zaprzeczył. Tamtego rolnika przecież znał. Okno było otwarte, a na parapecie znajdowały się ślady, ale nikt go nie wyważył. Albo zostało otworzone od wewnątrz, albo woźny kłamał, że w ogóle je zabezpieczył. Rodzice pędzący po swoje dzieci zatarli wszelkie ślady przed przyjazdem policji.

Dziewczynki nie było już od dwudziestu czterech godzin. Wcześniej zdarzyło się jej uciec na jedną noc po podobnej kłótni z ojcem, ale wtedy wylądowała w domu przyjaciółki, Lindy Stone, i wróciła nazajutrz.

Była nieokielznana, ale było w niej sporo zdrowego rozsądku, może nawet wyrachowania. Gates przypomniał sobie przesłuchanie w szkole i składny, precyzyjny opis tego, co widziała w domu, gdzie popełniono morderstwo. Wiedział, jak zachowywała się jego własna córka, gdy uciekła z domu krótko po śmierci matki. Claire uciekła, bo nie mogła już dłużej znieść tej sytuacji, bo chciała ukarać matkę za to, że nie żyje, a jego za to, że nie potrafił temu zapobiec. Cudownie działające skutki samotności — zimno i głód — przywiodły ją z powrotem do domu.

Black widział się z jej rodzicami. Na pewno by zadzwoniła, twierdzili. To zupełnie do niej niepodobne, że tego nie zrobiła.

Niczego się nie dowiedział.

Pani Devenish, kobieta o bladej twarzy, odmawiała przyjęcia środków uspokajających.

— Czemu miałabym chcieć spać? — mówiła.

I nie spała od chwili, gdy nie doczekała się córki przed szkołą. Pani Devenish obwiniała się, bo powiedziała, że Ann jest zła, i dlatego musiała uciec.

Do policyjnych protokołów trafiały nieraz dziwne rzeczy, które miały niewielką wartość dla wszystkich poza osobami, których dotyczyły.

— Wiem, kto jest zły — rzekła tajemniczo — jeśli już w ogóle ktoś. — Ale nie dokończyła.

Znaleziono pamiętnik Ann — obok rozczłonkowanego misia, którego pani Devenish, na wpół obłąkana po przesłuchaniu, zaczęła z powrotem zszywać.

Wciąż nawiązywała do dnia, w którym Ann pocięła go na kawałki, jedyną zabawkę, jaką sobie zachowała; kolejna rzecz nie związana z tematem. Dziennik niczego nie ujawnił: zadania domowe, chłopak, który się nie zjawił, kłótnie z bratem.

— Niech pan jej nie mówi, że pan to czytał — płakała pani Devenish. — Nigdy by mi nie wybaczyła.

Potem podniosła oczy na Gatesa i zapytała: — Czy ona żyje, inspektorze?

W innej serii wpisów do pamiętnika znalazł się wizerunek Humphreya Bogarta wycięty z „TV Times Magazine”. Pod nim widniało imię Chris. Żadne z rodziców nie znało nikogo o tym imieniu.

Pan Devenish jeździł po okolicy, bezskutecznie szukając córki, lecz także, myślał Gates, trzymając się jak najdalej od żony. Oskarżał policję

o niekompetencję, której przejawem miało być wpuszczenie dziewczynki do domu, gdzie popełniono morderstwo, i o brak wrażliwości w obchodzeniu się z nią po tym zdarzeniu.

— Od tamtej pory już nigdy nie była taka sama — mówił.

Zapytany, co ma na myśli, nie zdołał podać żadnych konkretów.

W końcu wrócił do tego popołudnia, kiedy to Ann pocięła swojego misia.

— Była naprawdę wystraszona...

— Czym?

— Nie mam pojęcia. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale była przerażona... Dopiero gdy teraz o tym myślę...

To normalne. Gdy coś szło nie tak, ludzie czepiali się poszczególnych zdarzeń, przerabiali je w kółko od nowa, usiłując wyciągnąć z nich coś, co postrzegali jako ukryte znaczenie.

— Może byli jacyś inni chłopcy...?

— Nie wiem! Nie wiem, czy ma pan córkę, inspektorze... Przyjaciółka Ann, Linda Stone, mówiła, że jej matka miała podwieźć Ann, bo Eileen nie miała samochodu, ale zgubiły ją w zatłoczonym hallu. Tam widziały ją po raz ostatni. Linda Stone podała opis „Chrisa”, z którym Ann spotykała się w Stoke Prior.

Przeszukano las i brzeg rzeki aż po Lynford, ale niczego nie znaleziono.

Z jednej doby zrobiło się półtorej. Każda godzina była jak dzień, tydzień dla oszalałych rodziców.

W sobotę późnym popołudniem zadzwonili z policji w Wolverhampton. Kierowca ciężarówki, Peter Needham, podwiózł dziewczynkę odpowiadającą opisowi Ann Devenish do Stoke Prior. Była raczej w świetnym humorze, bez przerwy się śmiała i mówiła, że jedzie na spotkanie z ojcem i jego nową dziewczyną. Po chwili Needham przestraszył się, bo nie wolno mu nikogo ze sobą zabierać, i przyznał, że podał jej numer telefonu w Birmingham, pod który mogła do niego dzwonić. Ale nie dzwoniła.

W tym samym czasie strażnik z „Raju Zakupów”, Geoff Towers, rozpoznał Chrisa na fotografii, podejrzewając, że może być członkiem bandy, która na dzień przed zniknięciem Ann ganiała po centrum, wpadając na klientów i kradnąc różne rzeczy, w tym portmonetkę i torbę z zakupami.

Towersowi zdawało się, że rozpoznał Ann Devenish, ale nie był pewien.

Chris Barnham, bezrobotny osiemnastolatek, miał na swoim koncie wyroki za kradzież i posiadanie marihuany. Wytropiono go w Tent City na obrzeżach Ashminster Royal, gdzie włóczędzy ustawili kilka przyczep kempingowych, mieszkalnych samochodów i namiotów, tocząc nieustającą walkę z radą miejską i policją.

Całe obozowisko patrzyło wrogo i podejrzliwie. Policja nie otrzyma tu żadnej pomocy. Jeśli dziewczyna tu zaginęła, to dlatego, że chciała zginąć. Rodzice, rodzice ze swoim domem znajdowali się w tej samej kategorii co rada miejska i policja: wrogowie.

Dorwano Chrisa Barnhama. Najpierw zaprzeczał, że w ogóle tam był. Po naciskach ze strony Blacka — jeśli znajdą ją martwą, może się to okazać przesłuchaniem w sprawie morderstwa, a jeśli będzie utrudniał pracę policji, poprawczak, w którym miał zaszczyt przebywać, wyda mu się piknikiem w porównaniu z tym, co go czeka — przyznał, że ją tam zabrał. Zaprzeczył, że z nią spał. Pomagał jej. Martwił się o nią. Oczywiście wiedział, że ma przeszło szesnaście lat, ale nie była w jego typie...

— Ona ma czternaście lat... — rzeki Black znużony.

— Nie... żartuje pan...

Drwina na twarzy Barnhama i jego kapelusz — tego już było dla Blacka za wiele. Gates pedantycznie przestrzegał zasady nietykalności świadka, ale Gatesa tu akurat nie było. Black podciągnął Barnhama w górę, rozrywając mu koszulę, i rzucił nim o ścianę.

— Zaginęła dziewczyna... nieletnia... co się stało... zaginęła dziewczyna... co się stało...?

Luz Barnhama wyparował, gdy Black wytrząsnął z niego ostatni dech. Walił nim jeszcze długo po tym, jak Barnham gotów był przemówić. Jego kapelusz leżał na podłodze. Koszulę miał rozdartą na barku. Strużka krwi ciekła z wargi tam, gdzie wbił się ząb.

Nieskładna historia popłynęła w tle syczącego oddechu Blacka i szlochu Barnhama. Zabrał ją do obozowiska. No, najpierw to do sklepu z używaną odzieżą, gdzie kupiła sobie kurtkę i plecak. Mieli małą imprezkę...

— Prochy?

— Nie!

— Bez prochów?

Barnham skulił się, gdy Black znów się do niego zbliżył.

— Tylko amfa i jabol... Nie miałem z tym nic wspólnego... Ten facet...

— Kto?

— Tosh... Nie znam jego prawdziwego nazwiska, naprawdę... przystawiał się do niej... była... no, umalowała się... naprawdę świrowała... Nigdy jej takiej nie widziałem.

— I?

— Poszła...

— Dokąd?

— Nie wiem... była awantura... bili się... ona uciekła... on poszedł... potem nie widziałem już ani jej, ani jego... przysięgam...

Z opisem Barnhama Black sporządził pilny list gończy za Martinem Toshakiem, lat trzydzieści jeden, przebywającym na zwolnieniu warunkowym po odsiedzeniu ośmiu lat za gwałt.

Podczas gdy Black przestuchiwał Barnhama, człowiek spacerujący z psem po wzgórzach w okolicy Pijaka znalazł pusty portfel pasujący do opisu tego skradzionego w szkole. Była sobota wieczór. Gates, chcąc zidentyfikować przedmiot, dowiedział się, że jego właścicielka znajduje się w domu panny Montrose.

Z początku poczuł się jak mroźny wicher w domu, gdzie panna Montrose wydawała przyjęcie dla absolwentek Bishop Griffith's, które były obsługiwane przez aktualne uczennice, w tym Holly Porter, która natychmiast rozpoznała portfel.

— Znaleźliście ją?

Gates nie cierpiał tej wypisanej na zszokowanej, wystraszonej twarzy sugestii, że Ann nie żyje, chociaż w zupełności ją rozumiał.

— Nie.

Panna Montrose kazała dziewczynce odejść.

— Daj tam więcej grzanego wina, Holly... — Po czym zwróciła się do Gatesa: — Myśli pan, że to ona zabrała ten portfel?

— Nie mam pojęcia.

Musiała wyczuć chłód w jego głosie, po dodała odrobinę za szybko: — Choć nie ma to znaczenia... w gruncie rzeczy.

Nie miał ochoty zostawać, ale ona nalegała, a on nie jadł nic poza kanapką z serem na lunch, zaś zapach vol-au-vent z grzybami i paski bekonu nadziewane

małżami okazały się zbyt kuszące. I właśnie tam po raz pierwszy natknął się na Valerie Miles.

Miała około trzydziestu lat i pamiętał ją później jako bystrą, atrakcyjną kobietę, której dobrze ostrzyżone włosy bujały się wokół kości policzkowych i kończyły się równo nad szarymi oczami, które z rosnącym niepokojem co rusz spoglądały na męża rozmawiającego z panną Montrose. Powiedziała Gatesowi, że urodziła się w dolinie i oboje wrócili tu po tym, jak John porzucił pracę nauczyciela, a ona otrzymała chyba niezłą posadę analityka komputerowego w Stoke.

John Miles, który był mniej więcej w tym samym wieku i miał kręcone, nieco rzednące włosy, wetknął akurat rękę do kieszeni brązowej sztruksowej marynarki i oparł się o tekstylną tapetę, uśmiechając się szeroko do panny Montrose. Zgiął się, a jego wybuch śmiechu dotarł nawet do jego żony i rozmawiającego z nią Gatesa.

— Ciekawe, co ona, u licha, knuje? — rzekła Valerie Miles.

Poruszyła się, jakby chciała dołączyć do męża, lecz spojrzenie panny Montrose przykuło ją do podłogi. Duszkciem wypłała wino, czując się nagle mocno i boleśnie dotknięta, i kazała Holly Porter ponownie napełnić kieliszek.

— Myślałam, że zaprosiła nas tutaj, żeby wydebić ode mnie jakieś pieniądze.

— Pieniądze?

— Jestem skarbnikiem absolwentek Griffith'sa.

— Proszę się nad tym zastanowić... — dobiegł ich głos panny Montrose.

— Och, z pewnością...

John Miles twarz miał poważną, ale ledwo mógł się opanować, ściskając po chwili żonę za ramię.

— Zastanowić się nad czym...? — spytała.

Mówiąc, tryskał śliną do swojego kieliszka wina.

— Zaproponowała mi pracę.

Valerie Miles się nie śmiała. Wzrokiem ciskała pioruny w stronę panny Montrose.

— Wie, że przestałeś uczyć!

— A to czemu? — zapytał Gates.

John Miles, który wyglądał, jakby wypił za dużo grzańca, powiedział: — Straciłem powołanie.

I porwał z umykającego im właśnie talerza vol-au-vent.

— To pańska działka, inspektorze — rzekła Valerie Miles. — Został ugodzony nożem.

— Inspektorze?

Vol-au-vent zatrzymał się w połowie drogi do ust Milesa, a kropla sosu spadła na dywan panny Montrose. Gdy żona ich sobie przedstawiała, Miles butem wtarł plamkę we włosie i rozejrzał się dokoła jak niesforny uczeń.

— Kryminalna zagadka rozwiązana, przykro mi — powiedział. — Mało ważny incydent na boisku. Chłopiec, który nie lubił szkoły.

— Uczył w tym londyńskim domu wariatów przez osiem lat — mówiła Valerie Miles z goryczą. — A w zamian dostał tylko trzy miesiące w szpitalu...

Objął ją ramieniem.

— Już w porządku, kochanie. Ona tylko szuka zastępstwa za jakąś ciężarną, a ja nie mam zamiaru się tego podejmować...

Gates miał właśnie powiedzieć, że mało prawdopodobne, by ktoś dźgnął go nożem w Bishop Griffith's — choć w dzisiejszych czasach niczego nie można do końca wykluczyć — gdy przy drzwiach dostrzegł wołającą go pannę Montrose.

Gdy ich opuścił, John Miles znów parsknął śmiechem.

— Ale jaja... twoja stara buda!

W pokoju nastała cisza, gdy przechodził przezeń Gates, i podążyły za nim wszystkie spojrzenia. Wcześniej sam słyszał dzwonienie telefonu w innej części domu.

Był to wielki wiktoriański budynek. Panna Montrose poprowadziła go przez hall, gdzie płonął ogień na kominku, a obok niego stał olbrzymi kosz świeżo narąbanego drewna. Wciągnął w nozdrza słodko-drażniący zapach sosnowego dymu, a panna Montrose zaprowadziła go do swojego gabinetu. Nie zamknęła drzwi i Gates czuł niejasno, że kręci się gdzieś po hallu. Odgłosy przyjęcia dochodziły do niego stłumione.

Słuchawka leżała na jakichś papierach na biurku. Mówiąc, przyglądał się zdjęciu klasy szóstej zrobionemu jakieś trzydzieści lat wcześniej. Dopiero później stwierdził, że dziewczyna wychylona nieco do przodu z zaciśniętymi rękami, wpatrzona śmiało w obiektyw aparatu, musiała być panną Montrose.

Dzwonił Black.

— Znalazła się.

Niepokoił się bardziej, niż sam chciałby przyznać.

- Żywa?
- Tak.
- Gdzie?
- W domu... zapytała...

Ktoś roześmiał się w tle.

- No mów.
- Zapytała „Co na kolację?”...

Gates westchnął, usiadł na brzegu biurka i wpatrywał się w stare zdjęcie szóstoklasistek, z których większość dobiegała już pewnie pięćdziesiątki. Ton głosu Blacka zmienił się. Nie udało mu się ukryć podniecenia.

— Prawdę mówiąc, jest trochę wytrącona z równowagi... Twierdzi, że wie, kto zabił Laurę Travers.

CZTERNAŚCIE

Co dziwne, kobieta z Lynford nie była tego wieczora zdenerwowana. Minęły prawie trzy tygodnie od włamania do jej domu. Nie robiło to większego wrażenia, włamanie, zwykły temat do rozmowy, jak korki na autostradzie, dopóki nie przydarzyło się tobie. Najkoszmarniejszą rzeczą było to, jak się tu dostał. Uruchomił alarm, a potem spokojnie sobie czekał, aż ten kretyn Reg Brothers go wyłączy! Cóż, nie należało go winić, chociaż po wszystkich tych włamaniach powinien dwa razy pomyśleć...

Reg Brothers nie pomyślał nawet raz. Dość ostro na niego napadła. Wybelkotał jakieś przeprosiny, choć widać było, że nie całkiem szczerze. Była pewna, że uzna to za dobrą anegdotę, którą będzie mógł zabawiać kolegów z klubu golfowego.

Kobieta nazywała się Jackie Newton. Tego wieczora — właśnie wieczór był jej ulubioną porą dnia — zabrała ze sobą na górę dzin z tonikiem, żeby sprawdzić kostium, który miała włożyć nazajutrz. Akurat skończyła rozmawiać przez telefon i ustaliła czas ich rendez-vous — zabawne, że użyła tego słowa, które wyrażało dokładnie, co jej chodzi po głowie — czas *spotkania*, i życie znów było cudowne, ekscytujące, i sama nie wiedziała, czego się wcześniej tak bała.

Człowiek z „Beacon Alarms”, firmy, która robiła złoty interes w całej dolinie, tak że musieli czekać dwa dni, mimo iż było to zlecenie pilne, był prawie rozba-
wiony całym tym włamaniem.

— Sprytnie... — stwierdził.

Sprytnie!

Nawet Alan, jej mąż, powiedział: — Trzeba mu to oddać...

Oddać mu? Co mu oddać? Gdy Alan to powiedział, miała ochotę krzyknąć, ale drżąc, wyszła zaraz z pokoju, bo czuła, że zachowuje się głupio; mieli już swoje włamanie, jak mówił Alan, i mieli szczęście, że nie okradziono ich nawet na pięć tysięcy, zaś Alan dość sprytnie podał firmie ubezpieczeniowej sumę wyższą, żeby pokryć koszty naprawy alarmu, jak mówił, więc nie stracili nic, absolutnie nic.

Nie licząc jej spokoju ducha.

Skoro wszedł raz, mógł wejść ponownie. Każdy mógł wejść. Taka była prawda. Urok tej posesji, którą nabyli, gdy zaczęły napływać pieniądze, ulotnił się w ciągu jednej nocy. Życie na skraju lasu miało być cudowne, jakby posiadało się na tyłach niekończący się ogród, a stało się uciążliwe. Chciała się przeprowadzić. Ale ceny domów spadły. Taka przeprowadzka byłaby katastrofą, mówił Alan.

Alan miał zawsze rację.

Potem zaniepokoiły ją klucze. Teraz na myśl o tym uśmiechała się do siebie, wlewając do dzinu ostatnie krople toniku i zastanawiając się, w co się jutro ubrać, ale gdy pierwszy raz spostrzegła, że brakuje kompletu kluczy, wydało się jej to bardzo niebezpieczne. Udało się jej znaleźć tylko jeden zapasowy komplet zamiast, jak się jej zdawało, dwóch. Alan ze swoim cierpliwym uśmiechem, który sprawiał, że czuła się jak małe dziecko, twierdził, że drugi dali Regowi Brothersowi. Były cztery komplety. Zdawało się jej, że było pięć, ale nie była pewna. Alan, którego cierpliwość zaczęła się wyczerpywać, oznajmił, że sprawdzi w firmie, która montowała zamki. Chciała je wymienić? Jasne, że nie! Chciała tylko wiedzieć...

Czy sprawdził? Nic na ten temat nie mówił. Z początku nie mogła zrozumieć jego podejścia. Wydawał się niemal cieszyć z tych włamań.

— Dobrze zrobią interesom — mówił.

To zdanie często gościło na jego ustach. Pieniądze zaczęły im napływać, gdy wraz z dwoma współnikami, po ostrej walce z przeciwnikami tego pomysłu, otworzyli między rzeką a autostradą na drugim końcu doliny Bush Animal Park.

Jego główną atrakcją nie były jakieś tam zawzione zwierzęta, ale przejażdżki toboganami dla dzieci. Morderstwo i włamania sprawiły, że Ashminster zaistniało na mapie kraju.

Na początku myślała, że Alan żartuje, ale on mówił poważnie.

— Za każdym razem, jak gazety wspominają o nie rozwiązanej sprawie morderstwa... o włamaniach... piszą też o pięknej, spokojnej Ash Valley... Turystów pociąga piękno, ale tak naprawdę potrzeba im herbaciarni, toboganów i spojrzania na dom, w którym dokonano morderstwa... Tego lata w Ashminster będzie więcej turystów niż kiedykolwiek przedtem...

Pomyślała, że to chore, makabryczne. Lecz potem, gdy kolejne dni i tygodnie mijały, jej niepokój osłabł i zaczęła czuć się nieco śmieszna. Alan miał rację, jak zwykle. Zbrodnia była dla wielu ludzi czymś niezwykłym. Więcej osób bało się jej, niż tak naprawdę doświadczało.

Skończyła dżin i postanowiła nie depilować nóg. Były wystarczająco gładkie. Powodem wszystkich tych myśli był Gerry. Gerry był pisarzem. Nowym klientem. Zajmowała się komputeropisanem, bardziej z potrzeby zajęcia niż dla pieniędzy. Dla odmiany od nudnych sprawozdań i prac magisterskich, które stanowiły jej zwykłe zlecenia, zadzwonił ktoś, kto przeczytał jej ogłoszenie, które wywiesiła w oknie u Brandona, i poprosił o przepisanie scenariusza dla radia.

Gerry był od niej trochę młodszy, ale o tym nie wiedział. Uważała, że jego dzieło jest dość dobre, by znaleźć się w telewizji — znacznie lepsze od tego chlamu, który tam puszczają — i powiedziała mu o tym. Tego dnia dokończyła poprawianie scenariusza i gdy do niego zadzwoniła, zaproponował wspólny lunch dla uczczenia tego faktu, zapraszając ją do „Waterfront”, jednej z ulubionych restauracji Alana, którą ona zmieniła na „Dragona” w Charborough — tej akurat Alan nienawdził.

Wszystko było jeszcze niedopowiedziane, gdzieś między wierszami, etap związku, który ona lubiła najbardziej. Dzwoniła do niego kilka razy w sprawie układu tekstu, wyrażień, których nie mogła odczytać, albo udawała, że nie może.

Tego popołudnia wspomniała Gerry'emu przez telefon o swoim niepokoju związanym z włamaniami, traktując swe lęki raczej żartobliwie. Ku jej zaskoczeniu, on wziął to zupełnie na poważnie i kazał jej założyć łańcuch na drzwi. Taka troska dała jej rozkoszne poczucie, że komuś na niej zależy, mimo iż wiedziała, że to tylko część zwykłej rozmowy. Jak na przekór jednak, jego sugestie odniosły

skutek całkiem przeciwny od zamierzonego, a ona rozluźniła się, śmiejąc się z niego i przyjmując wyluzowaną postawę Alana.

— Mieliśmy już nasze włamanie...

Co do niej niepodobne, naląła sobie drugą wielką porcję dżinu, a lód sprawił, że bąbelki z sykiem uszły z toniku. Zadrżała przez moment, mijając drzwi i biorąc wręcz do ręki łańcuch, ale myśl o drwinach Alana powstrzymała ją, i sama się uśmiechnęła, wyobrażając sobie jego reakcję, gdyby przyszedł do domu i zastał drzwi zamknięte na łańcuch!

Na dworze było już ciemno, ale z okna na półpiętrze zobaczyła w światłach ogrodu Rega Brothersa, który wracał z lasu z psem, co oznaczało, że jest szósta i Alan będzie w domu za godzinę.

Nie jadła nic poza herbatnikami i serem na lunch, kiedy to zaczęła drukować scenariusz, poprawiając jeszcze strony, na których znalazł się jakiś błąd, i czuła się teraz trochę ogłupiała od drinka. Prawie nieświadoma tego, co robi, przebrała się w kremowy kostium, przymierzając go przed jutrzejszym lunchem. Boso pobiegła do łazienki i włączyła halogenowe oświetlenie. Tak. Bardzo poważnie. Tylko interesy. Choć wielkie srebrne kolczyki w kształcie skarabeusza sugerowały co innego. Pomarańczowa jedwabna apaszka byłaby już przesadą. Lepsza będzie zwykła biała bluzka. Piła — dobry Boże, skończyła już drugiego drinka? — i wspominała fragmenty rozmowy, pozując przed lustrem, tak że zgrzyt zamka dotarł do niej dopiero po kilku sekundach. Nie zauważyła, że nie był poprzedzony, tak jak zwykle, odgłosem samochodu Alana jadącego po żuźlowej drodze.

Przestraszyła się jedynie, że mąż może się w jakiś sposób domyślić, co się dzieje. Oto stała wystrojona, z drinkiem, prawie pijana, z tekstem, nad którym spędziła tyle czasu, rozłożonym na łóżku...

Wnioski nasunęłyby mu się same!

W poczuciu winy wygramoliła się z kostiumu i, by usprawiedliwić brak stroju, odkręciła krany w wannie, dlatego gdy mężczyzna wszedł, zastał ją w halce i obłokach pary, chwiejącą się lekko po alkoholu, ze zwisającymi z uszu srebrnymi skarabeuszami.

Nie uwierzyła w to, co ujrzała. Takie rzeczy się nie zdarzały.

Nie był wysoki, ale barczysty, tak że wypełniał całe przejście. Ubrany był cały na czarno, w grubą, skórzaną kurtkę z wysokim kołnierzem, rękawice i wysokie buty. Na głowie miał czarny kask z barwioną zasłoną, co przez ten moment, kiedy tak stał, dało wrażenie, że jest robotem.

To jakaś pomyłka. Musi być jakieś inne, całkiem oczywiste wyjaśnienie. Jasne! To jeden z Marsjan, jak nazywali dostawców na motorach, którzy niekiedy przywozili Alanowi jakąś paczkę. Ta myśl sprawiła, że przez moment się zawahała, chciała nawet sięgnąć po ręcznik, jakby coś zagrażało jedynie jej skromności, dopóki nie podszedł do niej, a ona otworzyła sparaliżowane usta, ale było już za późno, a jej krzyk został zdławiony, zanim zdążył się uformować.

Klucz, myślała. Ten klucz. *Było* pięć kompletów kluczy. Zawsze wiedziała, że było pięć. Alan się mylił.

To nie zawsze się zdarzało innym ludziom.

Klucz. Ten klucz. Alan nie miał racji. Zawsze się mylił w tej i w innych sprawach, w sprawie życia, jej życia...

Wydruk, nad którym spędziła tyle czasu, by był gotów na jutro, leżał pognieciony, pomięte kartki papieru rozrzucone dokoła ich dwojga...

Jutro. Klucz. Wydruk. Boże, to się nie dzieje naprawdę, to jakiś koszmar, Boże, proszę, to się nie dzieje. Wydruk. Klucz. Zawsze się mylił. W połączeniu ze ślepym przerażeniem, takie były jej ostatnie myśli.

Woda wciąż leciała, przelewając się z bulgotem za wannę. Mężczyzna przeszedł przez gęstą, przesyconą wilgocią mgłę i zakręcił kran, zaplątując się butem w rozrzucony kostium kobiety. Zdawało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk i natychmiast wrócił do sypialni. Kartka, która wisiała idealnie na krawędzi łóżka, sfrunęła na podłogę.

Nic poza tym nawet nie drgnęło. Kobieta leżała na łóżku z rozchylonymi nogami, pogniecioną halką i wybałuszonymi oczami.

To się zaczęło, kiedy zobaczył te nogi wciągane do samochodu ze spódniczką wędrującą w górę szczupłych bioder.

Nienawidził siebie.

Para osiadła na masce jego kasku, która zachodziła mgłą, jak tylko ją przetarł.

Dość już narobił. Już nigdy nie wolno mu do tego dopuścić. Nigdy. Czy naprawdę musi robić tak odrażające rzeczy?

To wszystko przez jej widok tamtego dnia, gdy się włamał. Nie miał zamiaru... cóż, w takim razie jaki miał zamiar?

Zszedł na dół. Nie powinien myśleć. Musi działać. Spojrzał na zegarek. Chciał już wyjść, ale poddając się obsesji, otworzył lodówkę i wyjął butelkę

mleka. Bardzo zimne — w lodówce było za zimno — i lekko słodkawe. Uspokoiło go jak zawsze. Opłukał butelkę i kapsel, odstawiając je na żółty kuchenny stół obok pustej butelki po toniku.

Wrócił na górę. Leżała dokładnie w tej samej pozycji. Obciągnął jej halkę. Usłyszał odgłos samochodu. Światła rozlały się wokół domu, wpływając na budynek w dalszej części drogi.

Zdjął łańcuch, na który przez ostrożność zamknął frontowe drzwi, i wysłizgnął się z domu, ruszył przez las, aż dotarł do Greenway, poruszając się dalej nie po szosie, ale równoległe do niej.

W dole leżało Ashminster z oświetloną wieżą kościoła jak drogowskazem, ciemną łatą pośród ornamentu światła, na którą składał się most i las.

Znał każdy centymetr tych szlaków jak nikt inny. Przy wszystkich tych drogach, ogrodzeniach, płotach, budynkach i zaoranych polach, można było przemierzyć tę część Anglii pewnie aż do wybrzeża, pozostając niezauważonym, chyba że przez lisa albo borsuka. A powód był taki, że ludzie byli jak barany. Paraliżowały ich samochody. Na jego szczęście auta unieruchamiały także policję. Popelniali oni ten błąd, że ścigali go na czterech kółkach. Równie dobrze można by gonić samochodem za lisem.

Sporo polował w tych okolicach, świetnie strzelał, zwłaszcza do szkodników, do tego, co trzeba było odstrzelić; stanowił część tych drzew i pól, i zwierząt; aż okolica, w której pracował, skurczyła się przez zabudowania, przepisy, a głównie przez farmerów wyprzedających swoją ziemię bogaczom, co to nie umieli strzelać, ale mogli im zapłacić, i konsorcjom, jakie nabywały coraz większe połacie lasu, by hodować niewyrośnięte bażanty, które ledwo potrafią latać, i sprzedać nowym złudzenie, że potrafią strzelać.

Potem zdarzył się ten wypadek. Zabrali mu licencję. Jemu, który naprawdę potrafił strzelać, zabroniono to robić. I tak się to wszystko zaczęło. A może nie? Wszystko było takie skomplikowane, że już sam nie wiedział, o co chodzi.

Na dole było teraz całkiem ciemno, tam gdzie droga odchodziła od rzeki i prowadziła przez Lanston Wychwood.

Na początku nie myślał o zabijaniu, ale czyż nie był to ostatecznie element tego schematu? Tak jak kiedyś strzelanie do szkodników. Takie jest życie. Czym niby jedna forma brutalnej śmierci miałaby się różnić od innej, czemu jedno zwierzę miałoby być lepsze od drugiego? To oni byli szkodnikami, ludzie, którzy

się tu sprowadzili, którzy zajęli i zniszczyli tę ziemię.

Czytał o postaci, która skradała się po okolicy (jak ujęła to gazeta), rozmawiał o tym, dyskutował w pracy, jak gdyby ów mężczyzna był obcy, jakby był wspomnieniem, snem.

Wyglądało na to, że ta postać była potrzebna. Stanowiła część tej okolicy, jak ten tam — podążając za jego myślami, drzewa rozrzedziły się i zobaczył go, jak odbijał od siebie blask księżyca — Pijak, który jak zawsze sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz spaść w dolinę. Księżyc zaszedł i kredowa figura znikła. Została wyrzeźbiona Bóg wie kiedy i Bóg wie po co. Mężczyzna uklonił się dziwnie w jej stronę, prawie przyklęknął, jak to zawsze robił, schodząc ze wzgórza.

Jego kawasaki stał w gęstwinie, gdzie sam go schował. Błotnisty szlak przez pole, a dalej publiczna droga często stawały się torem wyścigowym dla miejscowych motocyklistów, więc huk motoru nie był tu niczym niezwykłym. Po kilku minutach minął już most w Kingston i znalazł się na autostradzie, kierując się na zachód w bezkształtnym strumieniu pojazdów.

Zazwyczaj smaganie wiatru i ryk silnika przenikały go na wylot, oczyszczając z tego, co się stało, z napięcia, z tego obcego, który zajął jego ciało, odsuwając jego postać z powrotem na wzgórze, do Pijaka.

Ale nie tego wieczora.

Gdy przyspieszał, mijając jeden samochód za drugim, widział szczupłe nogi kobiety i unoszącą się spódniczkę, gdy wsiadała do saaba.

Unicestwił ten obraz. Jak to możliwe, że wciąż tam istniał? Czy to dlatego, że pozwolił sobie na odwrócenie uwagi? Poszedł tam nie tylko po to, żeby okraść, żeby...

Obrzydzenia nie budziło w nim zabijanie, ale ten akt, popęd, potrzeba. Kiedyś wyrzucił klucz od tamtego domu, ale zadziwił sam siebie, odnajdując go i umieszczając w pęku własnych. Robił swoje, ale za każdym razem, gdy użył kluczy...

Przyspieszył do stu czterdziestu, stu sześćdziesięciu. Jakiś samochód zahamował, zjeżdżając na środkowy pas, a kierowca mrugnął długimi światłami.

Czy ona nie żyła? Sprawdził to? Jasne, że sprawdził, zawsze sprawdzał. Jednak spokoju nie dawała mu myśl, że ona żyje. Widział ją, jak wstaje z łóżka, kołyszącymi się nogami dotykając podłogi. Wduśił gaz do dechy, chyląc się na

boki jak szalony i wyprzedzając środkowym pasem. Zawył klakson, grzmiąc w jego uszach, gasnąc równie nagle jak jej krzyk.

Za nim jechał saab, szary saab. Czy to nie ich samochód?

Czuł się, jakby go ścigała, rzucała się na siodełko, obejmowała go ciasno ramionami. Pochylił się w przód, lecz ona nadal go ścisnęła rękami lodowatymi od wiatru.

Jadący przed nim wóz nie zjechał na środkowy pas, a potem szarpnął nagle w bok, gdy chciał wyprzedzić go po wewnętrznej.

Zahamował i wpadł w poślizg, i uderzyła w niego ciężarówka, i szarpnął kierownicą, i spadł z maszyny, szybując w powietrzu, o mały włos nie uderzając w samochód i własny, ślizgający się po jezdni i syjący iskrami motor, aż w końcu rąbnął na ziemię, odbił się, potoczył i leżał bez ruchu.

Dopiero po kilku dniach odzyskał przytomność. Nie pamiętał nic z wypadku i niewiele poza nim. Był zagubiony i z początku zdawał się wierzyć, że nie żyje, że ktoś go zabił. Wciąż pytał, czy ta kobieta nie żyje, choć nie wioził ze sobą żadnego pasażera.

Miał wstrząs mózgu, złamania kilku żeber i lewej ręki w dwóch miejscach. Policja przesłuchiwała go, chcąc wytoczyć sprawę o niebezpieczną jazdę. Wciąż pytał ich, czy kobieta z saaba, która próbowała go zabić, nie żyje, lecz nikt nie był w stanie ustalić, o czym mówił. W końcu pozostawili go własnym omamom i stwierdzili, że jego obrażenia stanowią dla niego dostateczną karę.

PIĘTNAŚCIE

Pooch został z powrotem zszyty przez matkę Ann Devenish i przez całą rozmowę dziewczynka ścisnęła go, ze smutkiem przesuwając palcem po bliznach. Nie wiem. Nie pamiętam. Te zdania padały najczęściej, poprzedzone długimi chwilami ciszy.

Gates czuł się, jakby przyszedł na podwieczorek. Pani Devenish bez przerwy parzyła herbatę i kroїła babkę cytrynową. Trzymała się blisko córki, jakby bała się, że jej ją odbiorą. Pan Devenish był bardziej opanowany, lecz siedział nieznacznie oddalony i robił notatki z tego, co notowali policjanci.

Od czasu do czasu pani Devenish dotykała córki, jak gdyby nie mogła uwierzyć, że ta wróciła.

Sytuacja była nie do zniesienia. Black najchętniej zabrałby ją na posterunek, ale Gates nie chciał jej tam ciągnąć. W każdym razie spotkanie w domu w obecności rodziców dawało mu większą szansę, jak sądził, by oddzielić rzeczywistość od fantazji, prawdę od kłamstw.

Niczego nie wiedziała o zaginionym portfelu. Była niewzruszona i naprawdę bardzo przekonująca, choć wyraźnie dość mocno zdenerwowana. Gates poczuł ukłucie winy, niepokoju; może jej ojciec miał poniekąd rację, że policja zachowała się karygodnie, najpierw pozwalając jej zabłąkać się do tamtego domu, a potem przesłuchując ją w taki sposób. Najwyraźniej miała teraz obsesję na punkcie tego, co zobaczyła, a nawet nadała mordercy jakieś imię. Była przekonana, że on zna jej nazwisko i adres.

Jenner. Tak go nazwała. Gdy w tamto piątkowe popołudnie rozeszła się po szkole pogłoska, że znów był w budynku — tak jej ktoś powiedział — spanikowała.

Dlaczego nie przyszła do domu?

Z powodu tego, co zaszło rano! I dlatego, że Jenner wiedział, gdzie mieszka! Zabrał karteczkę z adresem z jej torby!

Dlaczego nie zadzwoniła?

Nie wiedziała, nie wiedziała! Nie wiedziała, co robi... szok... panika w szkole... coś się stało...

Usiłowała coś powiedzieć, lecz zaczęła się płatać, aż w końcu zamilkła.

Historia, jaką opowiedziała o Tent City, była równie zawiła, choć w jakimś stopniu potwierdzona przez Barnhama. Tam spotkała Toshacka czy też, jak go sama nazywała, Tosha. Z początku myślała, że jest w porządku. Krótki śmiech. Przyjechał na południe szukać pracy, jak mówił. Był ojcem, miał syna i córkę, trochę młodszą od niej, a gdy Chris poszedł po wino... Przygryzła wargę.

— Nie miałam pojęcia, że tacy są mężczyźni — rzekła.

— Jacy? — spytał Black.

Siedziała skulona na kanapie w pokoju dziennym, w podomce, z zarzuconą na ramiona kołdrą, a nad nią troskliwie krążyła matka. Jej oczy zaczęły błyszczeć od łez.

— No... jak powiedział, że jest ojcem...

Czy jej żal był szczery, czy też przez lży błysnął promień złośliwości wycelowanej we własnego ojca? Bez wątpienia Eileen rzucała gorzkie spojrzenia męzowi, podczas gdy on sam koncentrował się na notatkach albo wpatrywał się w dywan, lub też skubał ostre jak brzytwy kanty swoich spodni.

Co do szyderstwa w kolejnej wypowiedzi nie było już najmniejszych wątpliwości.

— Mogę zapalić...?

Gdy ojciec podniósł wzrok, dodała na pociechę, wskazując na Gatesa: — On mi ostatnio pozwolił.

Posłała inspektorowi drżący uśmiech wdzięczności.

Mała diablica, pomyślał Gates, mała diablica. Zaczynał nieco lepiej rozumieć Normana Devenisha, którego szyja i twarz pokryły się purpurą.

— Ty nie palisz — orzekł.

— Wiem, tato — odparła — ale po tym wszystkim, co się stało, dali mi jednego czy dwa papierosy w obozowisku...

Posłała mu nikły uśmiech i wysunęła stopę, żeby przyciągnąć plecak, prawdopodobnie ten, który kupiła w sklepie z używaną odzieżą w Ashminster Royal, i wyjęła paczkę marlboro.

Zapaliła jednego i pstryknęła zapałką, która minęła ojca i spadła na palenisko kominka, po czym wypuściła wprawnie smużkę dymu.

Black stał pochylony, zachwycony jej popisem, usiłując zachować powagę.

— Co się wydarzyło w obozowisku, kiedy Barnham poszedł po wino?

Zmieniła się w jednej sekundzie. Tak jak wcześniej miał pewność, że w jej oczach migotała złośliwość, tak teraz Gates zobaczył w nich autentyczny strach. Co chwilę uciekała wzrokiem od otaczającego ją kręgu twarzy w ciemny kąt pokoju, gdzie nie docierało światło lampy, i mocno ścisnęła misia.

Matka postawiła na oparciu kanapy popielniczkę. Pewnie pierwszy raz paliła otwarcie w obecności rodziców, lecz początkowe rozbawienie tą sytuacją uszło, a ona automatycznie strzepnęła popiół do podanej popielniczki, skurczyła się i otuliła kołdrą. Jej głos stał się monotony, mechaniczny.

— Było zimno... Poszłam do namiotu po kurtkę... Podłożyłam sobie plecak pod głowę zamiast poduszki... Był na nim kawałek papieru... Pomyślałam, że to wiadomość od Chrisa...

Wzdrygnęła się i upuściła papierosa. Matka podniosła go, zgasiła i objęła córkę ramieniem.

— To była kartka z adresem, którą ten człowiek zabrał z mojej teczki.

Zaczęła trząść się jak oszalała, próbowała mówić, ale nie była w stanie. Matka siedziała z nią na kanapie. Ojciec wstał, bezradny.

— Już dobrze, kochanie, już dobrze — powtarzała matka bez przerwy.

Lecz gdy ona to mówiła, dziewczynka odsuwała się, wytrzeszczając oczy, i mówiła: — Gdy podniosłam kartkę, do namiotu wszedł Jenner...

— To znaczy Toshack? — odezwał się Gates.

Wydawała się go nie słyszeć. Zdawała się przebywać zupełnie gdzieś indziej.

— Krzyczałam... ale tam była impreza... Nikt mnie nie słyszał... Część tego cholernego namiotu zawałiła się... Znalazłam pręt... metalowy pręt... Wbiłam mu go... chyba w ramię... Nie wiem... I uciekłam...

— Dokąd?

— Nie wiem! Po prostu biegłam i biegłam...

— Gdzie spędziłaś noc?

— Nie wiem!

— Na dworze?

— Nie wiem! — krzyczała.

Matka pocieszała ją, osłaniając od Gatesa, który wziął do ręki plecak. Był stary, miał z boku małą dziurę, lecz wciąż nadawał się do użytku. Tuż pod zamkiem znajdowała się kartka, na której było napisane: Ann Devenish, Shipton Way 29, Chalkbank, Ashminster.

— Czy to ta kartka?

Patrzyła na nią bezmyślnie. Miś spadł na dywan, niezauważony.

— Nie! Mówię o tej, która była w mojej teczce!

— Co się z nią stało?

— Nie wiem! Ja tylko biegłam.

— Kiedy włożyłaś tę plakietkę?

— Jak kupiłam plecak.

— Więc mogłaś...

— Ja nie pomyliłam się!

Wyrwała mu plecak i wpatrywała się w kartkę.

— Widziałam tamtą plakietkę, nie tę! Tę z mojej teczki!

- Czy poza winem zażywałaś coś...?
- Wiem, co pan sugeruje, ale widziałam ją, mam, widziałam tę plakietkę! Wtuliła się w ramiona matki i już nic więcej z niej nie wyciągnęli.

Ostatecznie, nie mając żadnych dowodów, Gates pomyślał, że może ukradła portfel, a potem zmyśliła i dopracowała tę bajkę, by stanowić zasłonę dymną, wybawiła ją z kłopotów i wzbudziła współczucie, którego otrzymywała aż nadto. Bez wątpienia była wystraszona — przerażona — ale to nic nadzwyczajnego w takich okolicznościach, a do tego być może sama zaczynała wierzyć we własną fantazję.

Jednak gdy dorwali Toshacka, odkryli, że rzeczywiście został ugodzony ostrym narzędziem, dość mocno, w ramię, dokładnie tak, jak opisała Ann Devenish (twierdził, że ktoś napadł na niego z nożem w pubie). Gates w końcu nie wiedział, w co wierzyć — poza jedną rzeczą. Toshack nie był Jennerem, jak nazwała go dziewczynka. W chwili morderstwa Laury Travers miał najlepsze alibi na świecie: znajdował się w więzieniu.

SZESNAŚCIE

Po powrocie do szkoły Ann Devenish wiedziała, że Monty zamierza się jej pozbyć, ale co z tego? Z ulgą wyniosłaby się z tej budy. Poszłaby do państwowej szkoły w Stoke Prior, jeździłaby autobusem, pozbyłaby się tego cholernego mundurka, wyrzuciła tę durną czapkę. Super!

Teraz, jak już sobie to wszystko poukładała, zatrzymała swe myśli tylko dla siebie, niewiele gadając nawet z Lindą, wyraźnie zestresowaną perspektywą jej odejścia.

Najpierw długo rozmawiała z nią Monty, a potem NKWD. Poszedł spotkać się z dyrektorką, a potem powiedział do Ann:

— Próbuje tylko wyrzucić na nas jakąś presję... Nie ma powodu, żeby cię wyrzucić...

— Ja chcę odejść — odparła Ann.

— Nie martw się, już ja jej pokażę — ciągnął NKWD.

Nie słuchali siebie nawzajem, ale to nie miało znaczenia. Ann wiedziała, że

Monty powzięła decyzję, i tylko to się liczyło.

Tak naprawdę denerwował ją jednak fakt, że teraz, gdy nic nie robiła, ludzie zmyślali na jej temat niestworzone rzeczy. W Lynford popełniono to przerażające morderstwo, gdzie kobieta została zgwałcona i uduszona. Co dziwne, ona się nim nie przejęła. Nie odczuwała tego strachu co wtedy przy furtce, gdy była pewna, że Jenner zna jej adres. Odkąd wróciła, od rozmowy z Gatesem, który wytknął jej głupią pomyłkę z kartką z adresem, czuła, że mało ją to wszystko interesuje, że stoi z boku, jak gdyby to wszystko przydarzyło się komuś innemu.

A tu teraz Jenny, jedna z pracownic NKWD, powiedziała mu, że widziała ją w Lynford nazajutrz po morderstwie!

— Co tam robiłaś? — pytał ojciec.

— Nie byłam w Lynford! Nie byłam tam od lat.

— W porze lunchu. Widziała cię.

— Musiała widzieć kogoś innego.

— Powiedziałaś jej dzień dobry.

— Nie wygłupiaj się, tato, jak mogłam powiedzieć jej dzień dobry, skoro nie byłam nawet w pobliżu tego miejsca?

Jakimś cudem po szkole rozniosła się opowieść, że Ann była także w domu, gdzie popełniono to nowe morderstwo. To było chore. Ale co tam. Wkrótce jej tam nie będzie. A to oznaczało, że choć panna Phillips, miała nad nią niewielką kontrolę, to John Miles, nowy wychowawca, nie miał jej w ogóle. Miles, który przejął zajęcia panny Phillips na czas jej urlopu macierzyńskiego, był nudziarzem, który bez przerwy odrzucał włosy do tyłu i recytował wiersze, jakby sam je napisał. Ann potrafiła go naśladować kropka w kropkę.

Unosiła głowę i deklamowała: — „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy...” — podrzucając podbródek w charakterystycznym geście, który sprawiał, że Linda i kilka innych dziewczyn pękało ze śmiechu.

— Zwróćcie uwagę na rytm tej villanelli... — mówiła, wciskając ręce do nieistniejących kieszeni.

Pewnego dnia przyłapał ją na tym. Zmieszała się, lecz patrzyła na niego zuchwale.

— Mów dalej — rzekł.

— Dalej nie pamiętam... proszę pana.

— „Starość u kresu dnia niech płonie, krwawi” — kontynuował najwyraźniej nieporuszony. — A następny powtarzający się wers...?

W górę z entuzjazmem wystrzeliła ręka Melissy Barnett.

— „Buntuj się, buntuj, gdy światło się mroczy”.*

* Fragment wiersza „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy” Dylana Thomasa w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Nie kazał jej pójść na swoje miejsce, tak jak inni nauczyciele, lecz pozostawił ją tam jak statek na mieliźnie. Jej twarz musiała stanowić niezły widok, bo cała klasa się śmiała. Wściekła się okropnie, czując, że śmieją się z niej, nie z niego. Zagotowało się w niej i wróciła do ławki ze świadomością, że po raz pierwszy od lat straciła swój słynny luz w stosunkach z nauczycielem. Nie stało się to tyle przez niego, co przez Melisse Barnett i całą tę zgraję, która najwyraźniej śliniła się na jego widok, sprawiając, że jej chciało się rzygać.

To, jak wpatrywały się w niego z podziwem! Wyciągały łapy aż do sufitu, żeby tylko przyciągnąć jego uwagę! Śmiały się z jego dowcipów! Biły się o zaszczyt pozbierania zeszytów, by oddać mu je do sprawdzenia!

Na górze obok pokoju nauczycielskiego wisiała wielka, pokryta rypsem tablica, na której dziewczęta mogły zostawiać nauczycielom wiadomości. Zwykle były to prośby o zwolnienie z zajęć pozalekcyjnych, takich jak próby chóru czy treningi. Dwukrotnie pojawiły się tam złożone kartki z zeszytu z podpisem PAN MILES. Wewnątrz wielkimi literami bez nazwiska autorki widniała krótka treść: KOCHAM PANA.

Podobno darł je i wrzucał do kosza, ale Ann w to nie wierzyła. Był typem człowieka, który takie rzeczy wklejał sobie do albumu. Nie potrafiłaby powiedzieć, czemu tak nim gardziła, bardziej niż panną Big Cyc, nawet bardziej niż panną Montrose. Było w nim coś z lizusa, coś nieprawdziwego, obłudnego. Za nim odejście, obsesyjnie zapragnęła dowiedzieć się, co to było — żeby odnaleźć dawną siebie, odzyskać swój luz.

Bez wątpienia zrobiłaby wszystko, by wylecieć z hukiem, lecz trudno jej było wydzwignąć się z apatii i zniechęcenia.

Pewnego popołudnia, gdy siedziała przy grzejniku, ospała po lunchu, jej uwagę przyciągnęła Holly Porter czytająca swym dość piskliwym, kompletnie nie pasującym głosem:

„Gdy grób, gdzie spoczną moje kości,
Otworzy się dla nowych gości [...]
I grabarz w nim dostrzeże
Kość z bransoletką z jasnych włosów wkoło...”**

** Fragment wiersza „Relikwia” Johna Donne’a w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Były to jakieś bzdury o facecie, którego pochowano z kosmykiem włosów dziewczyny owiniętym wokół jego ręki, a jednak przyłapała się na tym, że słucha tak, jakby oglądała telenowelę. Włosy stanowiły relikwię, a katolicy czcili relikwie, wierząc w moc zęba jakiegoś świętego czy kawałka płótna, które spowijało ranę męczennika. Był to przedmiot magiczny, który miał pozwolić (sprawdziła dalej w wierszu napisanym przez Johna Donne'a): „w tłoczny Dzień Sądu poznać się, spotkać przy grobie i mieć się wzajem jeszcze przez chwilę przy sobie”.

— Czym jest Dzień Sądu...? — Miles opierał się o biurko, odrzucając do tyłu spadające włosy. — Tak jest, zmartwychwstaniem. Wszystkie dusze zaczynają się pętać i szukać swoich ciał... tu ręka, tam noga...

Przez klasę przemknął śmiech, nieco hamowany i niepewny u Molly Porter i innych dewotek, które nie całkiem wiedziały, co myśleć o Milesie, gdy sypał takimi dowcipami.

— W czasie egzaminów jesteście zmuszone do wyduszania z wierszy ich znaczenia, gdy tymczasem jest to ostatnia rzecz, jaką powinnyście robić...

— W takim razie jak mamy zdać egzaminy? — dopytywał się głos zrozpaczony — nie rozzuchwalony — Penny Nicholls, która zawsze sporządzała tony notatek i lubiła, żeby wszystko wyłożyć jej jak kawę na łąwę.

— Dostrzegając wielorakie znaczenia... Donne sam nie wiedział, co czuje... Przeżywał życiowe zawirowanie... Był katolikiem, lecz katolików prześladowano, więc został zmuszony do porzucenia Kościoła, by móc kontynuować karierę... W końcu i tak ją zniszczył przez wzgląd na miłość...

Melissa odłożyła kosztowne wieczne pióro i wpatrywała się w niego bałwochwalczo. Zdawał się rozkoszować tą sytuacją; wetknął ręce do kieszeni, zakrzywiając kciuki na zewnątrz.

— Ten wiersz jest jednocześnie religijny i antyreligijny... Musicie widzieć oba te aspekty... Nawet podczas zmartwychwstania będzie miał przy sobie tę relikwię, bransoletkę jasnych włosów, tak więc nawet w chwili ostatniej z ostatnich ich ciała będą mogły się spotkać i uszczknąć trochę czasu, by spędzić go razem...

Oczywiście był to bełkot, ale ona słuchała, została wciągnięta, gdy za oknem lał się deszcz, a w grzejniku bulgotało powietrze. Penny, siedząca obok niej, najwyraźniej usiłowała zapisać każde słowo, wkładając zapisane kartki do wielkiego segregatora.

Co się stało? Nic szczególnego. A jednak już zawsze pamiętała wcześniej zapalające się światła, ciemniejsze okna, pyrkający kaloryfer, Milesa, jak siada, odgarnia włosy, bierze do ręki długopis i każe im opisać swoje wrażenia związane z wierszem.

Ona, rzecz jasna, żadnych wrażeń nie miała. Wszystkie dziewczyny dokoła niej pisały pilnie. Ona coś tam bazgrała. Nagle poczuła przyływ gniewu. Co on tam wiedział? Co mógł wiedzieć facet, który umarł czterysta lat temu? Kość z bransoletką jasnych włosów!

„Ciekawa jestem, czy poeta widział kiedykolwiek zwłoki?” — napisała. „Roztrzaskaną czaszkę. Kości i krew. Ja na pewno nie napisałabym o tym wiersza”. Długopis jej przerywał, lecz ona nadal stawiała litery. „Myślę, że on wiedział, że tam wtedy byłem”. Deszcz ucichł i słyszała teraz kapanie z rynny, jakby krople spadały z wyschniętego drzewa w środku lasu. „Myślę, że widział mnie w tamtym domu. Jestem tego pewna. Myślę...”

Czuła się, jakby ktoś prowadził jej długopis, jakby to wszystko pisało się samo.

Wpatrywała się w kartkę, w litery stawiane wypisującym się długopisem i widziała tylko tusz na białym papierze. Skąd to się wzięło? Po szybie spływało coraz mniej kropel, a kapanie stawało się coraz wolniejsze. Było duszno, grzejnik parzył ją w nogę, ale ona nie poruszyła się, pisząc wciąż automatycznie, tak jak automatycznie prześlizgnęła się pod ogrodzeniem i wkroczyła między drzewa ze skradzioną portmonetką.

Pisała o morderstwie, o tej kobiecie, o jej włosach, które wyglądały tak świeżo, tak żywo, i o rozłupanej kości, wokół której się zawinęły. Miała właśnie napisać o zagubieniu teczki, gdy tusz w długopisie skończył się wreszcie. Przez klasę przebiegł chichot. Wszyscy na nią patrzyli. Książki były już spakowane. Co się z nią działo, co, do diabła, robiła, gdzie była? Nad nią stał Miles. Chciała wszystko zabazgrać, podrzeć kartkę, lecz on odszedł z jej pisaniną, nim Ann zdążyła otworzyć usta.

Nazajutrz po lunchu szła na papierosa, gdy zatrzymała ją Penny Nicholls.

— Pan Miles chce, żebyś odebrała zeszyty z pokoju nauczycielskiego.

— Czemu ja?

— Mogę pójść, jeśli chcesz — rzekła z zapalem Penny. — Tylko że ja mam muzykę i...

— Pójdę sama.

Najpierw zapaliła, ale była taka ciekawa i zniecierpliwiona, że zdusiła papierosa, zaciągnąwszy się kilka razy, i weszła po kamiennych schodach, minęła bibliotekę, której okna wychodziły na fontannę, a w której pilne uczennice pracowały podczas przerwy na lunch, przez co obie z Lindą nazwały to pomieszczenie stajnią kujonów.

— Gdy się gdzieś wchodzi, zazwyczaj należy zapukać — powiedziała panna Tracey, durne babsko od języków obcych, z gębą umazaną od bułki z serem.

— Ja do niego — odparła Ann, pokazując na stojącego przy oknie Milesa.

W byciu na wylocie ze szkoły najlepsze było to, myślała sobie, że gówno ją oni wszyscy obchodzili. Przechodząc obok biurka panny Tracey, trąciła je, a papierowy kubek z kawą zatrząsł się i uрониł kilka kropelek ciemnego płynu na jej spódnice.

— Och, tak mi przykro, panno Tracey — zawołała z żalem, wyciągając z rękawa zszarganą chusteczkę.

— Nic się nie stało, Ann — warknęła nauczycielka, chwytając szybko kubek, by usunąć go z zasięgu Ann, i rozlewając jeszcze więcej kawy.

— Ojejku... pani spódnica...

— Poradzę sobie, dziękuję. Pan Miles czeka.

Patrzył przez okno, zwrócony do niej tyłem, i jakoś tak podejrzenie wyglądał, jakby się śmiał. Ann poczuła, że robi się czerwona jak burak i to bez najmniejszego powodu. Patrzył na te żałosne bzdury, które wypisała.

— To się zdarzyło naprawdę, czy tak? — Wskazywał na jej zeszyt, leżący na stosie innych.

— Tak.

— Dużo o tym rozmawiałaś?

— Dużo..?

— Z początku pewnie sporo się o tym mówiło, co? Twój rodzice, policja, panna Phillips?

— Tak.

— A ostatnio już niewiele?

— Tak.

— To musiało być przerażające.

Czemu nagle zachciało się jej płakać?

— Tak.

— I nadal jest?

— Tak.

Zapytał ją, czy chciałyby gdzieś pójść i o tym porozmawiać, a ona pokręciła głową: chciała tylko stąd wyjść. To było okropne. Prawie się rozplakała. Czowała, że lada moment nie wytrzyma.

— Usiądź, Ann.

Panna Tracey mocno się pilnowała, żeby na nią nie patrzeć. Uczennice nie miały prawa siadać w pokoju nauczycielskim. Może nie znał zasad, a może, ponieważ był tu tak samo tymczasowo jak ona, postanowił je zlekceważyć. Przeszli do stolika w rogu, z dala od innych nauczycieli. Usiadła na krześle z wygiętym oparciem i rozdartym skórzany siedzeniem, które natychmiast zaczęła skubać.

— Kim on jest?

— Kto?

— Jenner.

Musiała wymienić jego imię, choć wcale tego nie pamiętała.

— Nie wiem.

— Widziałś go?

Zawahała się.

— Nie.

— To wytwór twojej wyobraźni?

— Tak.

— A mimo to wydaje się tobie prawdziwy?

— Tak. Tak.

Spodziewała się, że będzie mówił dalej, ale on zamilkł, patrząc na nią bez mrugnięcia swoimi szarymi oczami. Spojrzała na niego, po czym wbiła wzrok w wykładzinę, zmieszana. Nagle zapragnęła o wszystkim mu opowiedzieć, o wszystkim, co wydarzyło się tamtego popołudnia, kiedy uciekła, gdy ukradła portmonetkę, o wszystkim — to szaleństwo, totalne szaleństwo, ale czuła nieodparte pragnienie, by mu ulec.

— O co chodzi?

— Słucham?

— Chcesz mi coś powiedzieć?

Podskoczyła, choć mówił bardzo zwyczajnie, nawet na nią nie patrząc. Kilka stolików dalej, na wpół ukryta za stertą zeszytów, poprawiała zadania domowe panna French. Nad wszystkim unosił się zapach kawy z automatu stojącego przy tablicy ogłoszeń, gdzie panna Tracey nalewała sobie kolejny kubek. Inna nauczycielka, panna Weston, weszła i powiesiła płaszcz na wieszaku, wokół którego

ociekały parasole. Ann wpatrywała się w Milesa siedzącego po drugiej stronie stołu.

— To tylko jakaś tam historyjka, proszę pana — rzekła.

— Mówiłaś, że się boisz.

— Och, wszyscy się boją, proszę pana, czyż nie? Kręcą się po okolicy jacyś dziwni ludzie.

Nieświadomie nadała głosowi brystolski akcent swojej matki. To przywróciło jej luz, a nawet prawdziwie zainspirowało, gdy bezbłędnie zmałpowwała obrzydliwie bałwochwalczy uśmiech Melissy Barnett, uniosła podbródek, jakby nie mogła patrzeć na niego dłużej niż przez ułamek sekundy, żeby nie paść zemdlona na miejscu.

To był właśnie sposób, żeby się do niego dobrać! Podniosła poprawione przez niego zeszyty, które miała odebrać.

— Czy to wszystko, proszę pana? — spytała, błyskając spojrzeniem pełnym uwielbienia i gmerając w zeszytach z idealną dozą nerwowości: dokładnie na granicy drwiny i szczerości.

Panna Weston, druga nauczycielka angielskiego, podniosła wzrok, lecz zaraz skryła się za książkami. Czy tym razem nie ona się śmiała? Czy Ann nie dokuczyła w taki czy inny sposób im wszystkim? Może panna Weston nie lubiła go bardziej niż Ann przez całe to uwielbienie dla bohatera, jakim go darzono. Podniósł resztę zeszytów i wyrównał w jej ramionach, gdy jeden miał zamiar spaść.

— Och, dziękuję panu.

Zatrzepotała rzesami, by tym razem nie było wątpliwości co do zamierzonej kpiny. Tak! Panna Weston walczyła ze sobą, zasłaniając twarz chusteczką i głośno dmuchając nos. Nareszcie udało się jej upokorzyć wszystkich nauczycieli! Sposób na ośmieszenie go był taki oczywisty, aż dziwne, że nie wpadła na to wcześniej!

Miała już odejść z kolejnym sztucznie adorującym uśmiechem na twarzy, gdy rzekł:

— Świetnie to napisałaś.

Tylko tyle. Czemu to ją powstrzymało, wstrząsnęło nią tak, że tym razem całkiem niechcący upuściła zeszyt? Znów zapadła w przygnębienie, lekceważąc swe nabazgrane wypracowanie, a żeby całkiem ją zawstydzić, nauczyciel otwarcie powiedział jej, co myśli.

— To nie ma nic wspólnego z wierszem — odparła.

— Ale to w związku z nim akurat tak się poczułaś?

Przewrócił kartkę. Zobaczyła kłębowisko zdań, których pisania nie pamiętała.

— To naprawdę niezwykle pisarstwo — dodał.

Łzy nagle napłynęły jej do oczu i wybiegła z pokoju, nim on zdążył je zobaczyć.

Tydzień później Miles spotkał się po szkole z jej matką i ojcem. Ona też miała tam być, ale nie mogła już znieść wałkowania w kółko od nowa tych samych tematów; niech we własnym gronie ustalą termin jej relegowania. Poszła do „Copper Kettle”, a potem włóczyła się do szóstej, kiedy to miała już pewność, że będą w domu. Nie byli. Znalazła tylko wiadomość, że Ben jest u sąsiadów, i poszła go odebrać.

Wrócili dopiero o siódmej. NKWD miał na sobie swój najlepszy garnitur w czerwone prążki — ten sam, w który rzuciła śniadaniem, i dwa razy trzeba było oddawać go do czyszczenia, żeby plamy wreszcie zeszły. Eileen założyła rękawiczki i wzięła pasującą do nich granatową torebkę. Ann spodziewała się awantury o to, że nie przyszła. Gdy odeszli Bena do jego pokoju, była przekonana, że będzie kłótnia nie z tej ziemi.

— On chce, żebyś została — oznajmił ojciec.

— Co takiego?

— Mówi, że musisz zostać.

— On nie ma nic do gadania!

— Mówi...

— On jest tylko tymczasowo! A ja tam nie zostanę!

Eileen tak przeżywała to spotkanie, tak się nim napawała, że nawet zapomniała nastawić czajnik z wodą na herbatę. Ścisnęła Ann za ramię.

— Mówił o tobie takie miłe rzeczy, kochanie.

— Bzdura kompletna — orzekła, grzmocąc pięściami w stół. — Jak może mówić o mnie takie miłe rzeczy, skoro jestem taki paskudny gatunek!

Zabrzmiało to tak komicznie, że wszyscy troje parsknęli śmiechem, chociaż, podobnie jak w pokoju nauczycielskim, nie wiedzieć czemu, była bliska łez. Walczyła, by nad nimi zapanować. Gdyby zaczęli się na niej wyżywać, tak jak zwykle, nic by ją to nie obchodziło, ale na samą myśl, że ta trójka rozmawiała o niej w ten sposób...!

— Ma zamiar porozmawiać z panną Montrose.

— Niech się do tego nie miesza!

- To twój wychowawca!
- Ile razy mam jeszcze powtarzać, mamó: nie chcę tam zostać!
- Ależ chcesz.
- Skąd wiesz, czego chcę, tato?
- Wiem to lepiej od ciebie!
- Bzdura!

Już prawie uwikłali się w jedną ze swych zwyczajnych kłótni, wszystko wracało do normy, gdy Eileen powstrzymała NKWD, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Ustaliliśmy...

Oni ustalili? Co oni ustalili? Wyglądało na to, że wszyscy ustalają coś w związku z jej przeszłością, tylko nie ona!

— Cóż, zrobisz, jak zechcesz, kochanie, tak jak zwykle — rzekła Eileen po cichu, robiąc wreszcie herbatę — ale on mówi, że byłaby wielka szkoda, gdybyś odeszła ze szkoły z takim talentem.

Ann zrobiła się czerwona jak pomidor.

— Nie powiedział tego!

Chciała wybiec z pokoju, a jednocześnie chciwie chłonęła każde słowo i pragnęła je słyszeć wielokrotnie.

— Twierdzi, że to twoje zachowanie tłumi twój talent...

— Na pewno tak nie powiedział! Wręcz przeciwnie! Mówił...

Zaczęli kłócić się o to, co powiedział. Była coraz bardziej zagubiona, czuła podekscytowanie, ale i żal; to tak, jakby zobaczyli w niej całkiem inną osobę, lecz czy ta osoba nie żyła tam od zawsze? Czy ów żal nie był spowodowany faktem, że widzieli ją teraz jego oczami, zaś ona tak rozpaczliwie pragnęła, by patrzyli na nią własnymi? W krótkich przeblyskach wciąż chciała, by postrzegali ją po dawnemu, jako nieopanowaną, zwyczajnie złą, bo taka była prawda.

Czyżby? Czy aby na pewno? Prawda? Och, tak już się jej wszystko pomieszało, że nie była w stanie do niczego dojść. Siedziała po ciemku w swoim pokoju i wpatrywała się ponad polami w samochody mrugające na odległej drodze, ściskając Poocha, czego nie robiła od powrotu z ucieczki. Kręciło się jej w głowie, jakby właśnie zsiadła z diabelskiego młyna w wesołym miasteczku, i nie mogła ustać na nogach.

Poszła do łóżka, ale nie mogła spać. Wszystko już było postanowione, a teraz znów wszystko się pogmatwało.

*

Co tu miał do rzeczy lis? Nie wiedziała. Było to jakieś dwa tygodnie później, pod koniec grudnia. Odrabiała akurat zadanie domowe — pisała wypracowanie — nie dlatego, że tego chciała, lecz dlatego, że straciła własną wolę. Zdawało się jej, że wszyscy o wszystkim decydują za nią. Brakowało jej werwy i pewności siebie. Wyglądało na to, że łatwiej było pracować, niż tego nie robić. Linda nawet ją z tego powodu wyśmiewała: — Nie mów mi, że ty też dołączyłaś do miłosnego chóru piejącego na cześć Milesa!

Nie miała dość energii, by odpowiedzieć. Przez ponad tydzień ciągnęła jej się grypa. A któregoś wieczora, gdy wcześniej poszła do łóżka, Eileen, zaciągając zasłony, popatrzyła na ciemne pola.

— Wiesz, że zastrzelili tego lisa?

— Słucham?

— Rice go dopadł. — Rice był właścicielem pól. Od czasu do czasu przybył do bramy martwego gawrona mimo protestów ludzi z Chalkbank, że straszy tym dzieci. — Mówił, że był stary, miał około dwunastu lat i stracił większość zębów. Dlatego zawsze szperał w śmietnikach.

— Biedne zwierzę — rzekła ospale.

— Nareszcie! — odparła Eileen, odbierając od Ann kubek, który wyslizgiwał się z jej sennych palców.

Po polach hulał wiatr, grzechocząc bramką, a ona myślała o lisie.

Kiedyś widziała jednego. Musiała zbliżyć się do niego z wiatrem, bo oboje przestraszyli się siebie nawzajem, stając w odległości nieco ponad metra. Wcale nie był rudy, tylko czarno-brązowy, a gdy umykał, dostrzegła rzepy i zeschniętą trawę zwisającą mu z sierści pod brzuchem. Może był to ten sam, który przychodził grzebać w śmietnikach. Pewnie miał swoją trasę ze wzgórz, przez drogę, wzdłuż rowu melioracyjnego. Pewnie znał też wszystkie dziury w płotach i pewnie nauczył się, że od wywrócenia kosza do wyszperania jedzenia ma co najwyżej dziesięć sekund, nie więcej. Aż któregoś dnia...

Krzyknęła wystraszona. Musiała zasnąć, bo matka wyłączyła światło, które teraz próbowała jednak znów zapalić.

— Telefon.

— Co?

— Pan Miles.

— Co?

Światło rozbłysło. Przetarła oczy, w zamieszaniu wciąż myśląc o lisie, który być może został oślepiiony przez takie samo światło.

— Już ją proszę.

Eileen przemówiła z szacunkiem zarezerwowanym u niej wyłącznie dla lekarzy i nauczycieli, po czym wcisnęła przenośny telefon w szukające po omacku palce Ann.

— Halo?

— Mówi John Miles.

Matka stała w wejściu. Wiedząc, że to absurd, Ann zaczęła się trząść, niemal wypuszczając z dłoni telefon. Spiorunowała wzrokiem Eileen, która wyszła z pokoju, lecz nie zamknęła za sobą drzwi.

— Halo? — rzekł.

— Może pan chwileczkę zaczekać...?

Pomyślała, że to nie on, tak dziwnie brzmiał jego głos, ale nie była pewna. Wskoczyła z łóżka, rzucając telefon, i trzasnęła drzwiami. Potem z trudem odnalazła słuchawkę zaplątaną w wymiętą kołdrę. I zaczęła mówić do niewłaściwego jej końca.

— Przepraszam... — wybełkotała, gdy już ją odwróciła.

— Cóż, to ja przepraszam, że dzwonię do ciebie o tej porze, ale właśnie przeczytałem twoje wypracowanie...

To, które oddała mu tego samego dnia, chaotyczna bazgranina.

— Jest doskonałe.

Nauczyciele nie dzwoniли nigdy do domu, ale on nie był zwyczajnym nauczycielem, więc wciąż na wpół pogrążona we śnie wyjąkała: — Dziękuję... Dziękuję...

— Naprawdę musiałem... zadzwonić...

Głos zadławił się w połowie zdania i wybuchł niepohamowanym chichotem, a w tle słychać było teraz ryczącą ze śmiechu Lindę. Cisnęła słuchawką, a chwilę później Linda zadzwoniła raz jeszcze.

— Przepraszam, nie wiedziałam, że już będziesz w łóżku, kotku. Myślałaś o swoim ukochanym?

— Odpieprz się! — wrzasnęła.

W głosie Lindy zabrzmiała skrucha. — Ejże, Ann, nie chciałam cię zdenerwować...

— Nie jestem zdenerwowana! — krzyczała, trzęsąc się w furii.

Linda znów parsknęła śmiechem. — Naprawdę myślałaś, że mój brat to...

— Wcale nie! Też się z was nabijałam! Cały czas wiedziałam...

— Ty kłamczucho! Dosłownie się czołgałaś...

Znów rzuciła słuchawkę. A rano już była sobą. Śmieszne wyrażenie, być sobą. Oznaczało bycie lepszą. No cóż, była lepsza, a może nie? Pokłóciła się z Benem. Spytała NKWD, czy dobrze się bawił w „Jokerze” poprzedniego wieczora — wrócił bardzo późno. To go wkurzyło, a matka odwróciła się i nic nie mówiła. Wyglądało na to, że płakała. Dobrze. Dobrze.

W szkole Linda była jeszcze gorsza — o ile to możliwe — niż przez telefon:

— Właśnie sprawdziłem pani wypracowanie, panno Devenish... Muszę powiedzieć, że jest wprost genialne...

Ann z wrzaskiem zaczęła gonić ją po podjeździe, złapała w końcu i walnęła nią o ścianę. Powtórzyłyby to, ale nadeszła panna Montrose.

Czując się bezpiecznie, podczas apelu Linda postanowiła się pogodzić, a jednocześnie znów dokuczyć.

— Dałaś mi niezłe w kość.

— To dobrze.

— Naprawdę mówiłaś, jakbyś na niego leciała.

— Tak?

— Chwała! Chwała! Chwałą Królowi Wiecznemu! — śpiewała szkoła.

Głęboki bas Milesa wyróżniał się jak zwykle na tle dziewczęcych sopranów. Krążyły słuchy, że panna Phillips, urodziwszy chłopca, nie miała zamiaru wrócić i Milesowi zaproponowano właśnie stałą posadę.

— Pokażę ci, czy faktycznie na niego lecę — odrzekła Ann.

Jak zwykle udawała odważną. Nie miała w głowie absolutnie żadnego pomysłu. Ale gdy gęsiego udawały się do klas, wiedziała dokładnie, *co* zrobi. Nie było wątpliwości, że znów była sobą, o tak. Z pokoju nauczycielskiego, rzecz jasna, przeciekły pewne informacje na temat Johna Milesa. Nikt nie znał szczegółów, ale wszyscy wiedzieli, że pracował kiedyś w szkole w jakiejś szemranej dzielnicy Londynu, gdzie uczeń zaatakował go nożem. Melissa Barnett знаła kogoś, kto znał kogoś, kto mówił, że ledwo z tego wyszedł i miał zamiar już nigdy nie uczyć.

Tak się złożyło, że pierwszy był angielski. Miles omawiał „Wielkie nadzieje” Dickensa.

— Jaki nastrój cechuje pierwszy rozdział?

— Melancholia.

To Melissa Barnett, oczywiście. Podparła tę swoją owalną twarz dłońmi i tak gapiła się na Mileisa.

— I cóż tam widzicie?

— Surowe równiny wrzosowisk... gnający od morza wiatr.

— Magwitcha...

— Tak... nagle pojawienie się skazańca natychmiast wprowadza nas w jedno z zagadnień... tak, Ann?

Ann wstała. Linda powiedziała później, że zna to spojrzenie, że wiedziała, iż coś się wydarzy, ale siedziała tam, zaczarowana, podobnie jak reszta klasy, w bezruchu, nie licząc powoli obracających się głów i spojrzeń podążających za Ann posuwającą się pomiędzy ławkami.

— Tak, Ann...?

Uśmiech powoli znikł z twarzy Mileisa. Obrócił książkę i położył ją okładką do góry na biurku, nie spuszczać z oczu Ann. Jej spódniczka otarła się o czyjś zeszyt i prawie zvaliła go z ławki, nim zahipnotyzowana właścicielka go złapała. Wtedy też dało się zauważyć, że zeszyt prawie spadł, bo jej dłoń ukryta w kieszeni spódnicy trzymała coś, co sterczało przez tkaninę na zewnątrz.

— Ann.

Jego głos stał się twardszy, bardziej ostry. Nie zareagowała, lecz pewnie, powoli zmierzała ku nauczycielowi. On sam stał nieruchomo.

Jedna z dziewcząt — Penny Nicholls — powiedziała później, że jej twarz była zła, nie było na to innego określenia, wiedziała, co się za moment stanie, i straszne było to, że nikt nic nie zrobił — później wszystko było wiadomo, rzuciła urok na całą klasę, to było jak próba, wiedziała o tym, potem to powiedziała, powinni byli coś z nią wtedy zrobić.

Ann Devenish znalazła się niecałe pół metra od niego, gdy wreszcie się cofnęła. Jego twarz miała brudnoszary kolor.

— Daj mi to.

Gdy wyjmowała dłoń z kieszeni, cofnęła się, podnosząc ręce, wpadł plecami na biurko, zrzucając na podłogę książkę i jakieś papiery. Dziewczeta wstały. Melissa Barnett i Linda rzuciły się do przodu.

Ann Devenish popatrzyła na niego, a potem na dziewczyny, wyraźnie zdumiona i zbita z tropu, kładąc na biurku biały pisak do tablicy.

— Znalazłam to na podłodze, proszę pana — rzekła.

SIEDEMNAŚCIE

Miles natychmiast wyszedł z klasy, poszedł do domu i już tego dnia nie wrócił. Zastąpił go ktoś inny. Ann Devenish nie stawiała się na lekcje po lunchu i nawet nie zadała sobie trudu, by namówić kogoś, żeby zgłosił się za nią podczas sprawdzania obecności. Gdyby ktoś ją obserwował, zobaczyłby, jak idzie dębową aleją, mijając znaki zakazujące wstępu do lasu. Popatrzyła na gawrona kołującego, lądującego, a potem drepczącego po polu mokrej rędziny.

Obeszła las dokoła i dotarła do mostu. Minął miesiąc od morderstwa w Lynford, a ona natychmiast pomyślała o Jennerze, lecz to jej nie powstrzymało; wręcz przeciwnie, coś ciągnęło ją na siłę do lasu, tak jak wtedy, gdy ukradła portfel.

Ktoś zbliżał się z naprzeciwka — jakiś biegacz — drogą od strony wsi. Z niejasnego dla niej samej powodu ważne było, by nikt jej nie widział. Zgramoliła się nad rzekę, upadając w wysoką trawę i pokrzywy.

Leżała tak, niepomna z początku na klujące rośliny, potem nie zważając na pieczenie twarzy, oczu. Gdy w końcu wstała, twarz miała spuchniętą i obolałą, więc klękła nad rzeką i polewała ją wodą, szukając ulgi. Kiedy próbowała znaleźć chusteczkę, żeby się wytrzeć, jej ręka zamknęła się na jakimś nieznanym przedmiocie w kieszeni. Marszcząc lekko brwi, wyciągnęła go. Był to mały damski Rolex ze złotą bransoletą, zakończoną przy tarczy dwoma łukami. Wpatrywała się w niego tępo, obracając w dłoni. Czy ktoś włożył go jej do kieszeni? Absurd.

Mogła, myjąc ręce, wziąć go przez pomyłkę zamiast swojego zegarka... Nie. Stary Timex na postrzępionym pasku, który rodzice kupili jej na dwunaste urodziny, nadal tkwił na jej nadgarstku.

W ustach miała sucho i nieświeżo. Wyszła ze szkoły po lunchu. Czy zjadła coś? Była zapiekanka z mięsa i ziemniaków, to pamiętała, bo widziała nazwę zapisaną na tablicy, oddzieloną małymi czerwonymi kwiatkami od sałatki owocowej i herbatników z serem. Ale nie pamiętała, czy coś jadła. To też był absurd! Musiała przecież wiedzieć, czy jadła, czy nie!

No dobrze, czy była teraz głodna? Nie potrafiła stwierdzić, czy czuje łaknienie. Wstała, mocno wciskając zegarek w złości i rozpaczycy we własne ciało, we

własne ciało za to, że nie potrafiło jej udzielić informacji, której potrzebowała. Mijali ją jacyś ludzie, a ona odwracała się, chowając przedmiot, choć oni i tak nie mogli go zobaczyć. Rzeka huczała niezwykle głośno, tak głośno jak wodospad, dzieląc się i pieniać wokół wielkich głazów pośrodku. Drzewa zdawały się jej przybliżać, zwiśać tuż nad jej głową.

Pamiętała, jak zabrała portfel. Ucieczka wprowadziła takie zamieszanie i rozmawiało z nią o niej tyle osób, że powstało w jej wyobraźni — jak sama sobie wmówiła — wspomnienie. Tym razem o żadnym takim wmawianiu czy udawaniu nie mogło być mowy.

Ścisnęła zegarek tak mocno, że wbił się jej w rękę. Dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem.

Nie pamiętała. Od momentu, gdy położyła pisak na biurku Milesa, wszystko było czarną dziurą.

Wiatr sprawiał, że było jej coraz zimniej, ale nie poruszyła się.

Czuła się tak, jakby zabierając zegarek, pozwoliła ukraść coś samej sobie, coś znacznie cenniejszego od tego przedmiotu, znacznie cenniejszego niż cokolwiek na świecie.

Ruszyła się w końcu i poszła w stronę szkoły. Musiała oddać ten zegarek. Jeśli zanieś go z powrotem, wróci jej pamięć i wszystko będzie dobrze. Szła bardzo żwawo, skupiona na celu, i dotarła już do zakrętu drogi prowadzącej dalej wprost do szkoły, kiedy stanęła. Jak może zanieść go z powrotem? Powiedzą, że go ukradła. Zrobiło się jej bardzo zimno, a potem bardzo gorąco. Cóż, a nie ukradła? Ktoś inny go ukradł. O to właśnie chodziło. Ktoś. Kto?

Zawróciła na most i szła, zataczając się, jakby dostała obuchem w głowę. Była tamtego dnia w Lynford, nazajutrz po morderstwie. Nie pamiętała tego, ale wiedziała, że tam była, tak samo jak nie pamiętała przywłaszczenia sobie zegarka, choć trzymała go w garści. Chodziła to w jedną stronę, to w drugą. Ktoś minął ją, gapiąc się. Zeszła gdzieś na bok. Czuła, że musi coś pamiętać, cokolwiek, a jej umysł czepiał się, jakby już całkiem nie miał czego, lekcji angielskiego, poezji.

„Nie wchodź łągodnie... Buntuj się, buntuj...”

Dawno już minęła miejsce nad rzeką, gdzie zawsze wdrapywała się na górę, i szła do domu. Potykała się, raz nawet upadła. Wersy mieszały się z fragmentami innego, dawno zapomnianego wiersza.

— ...Pod majestatu pełnym niebem, gdzie Ash — święta rzeka — toczy wody swe...

Ash? Słowa, które mamrotała, pieniały się i burzyły jak rzeka po roztopach.

Zauważyła służę, która chwiała się na jej oczach, to w górę, to w dół, podczas gdy jej stopy trzęsły się na nierównym gruncie. Nie zaszła chyba aż tak daleko w dół rzeki?

Słowa wciąż napływały, gdy wyrzucała w górę i opuszczała w dół stopy, wiersze, które jak mniemała, dawno już w niej umarły, suche łuski pamięci na nowo tryskające zielonym życiem. Czyż nie było takich chwil — czy Miles nie miał racji — czyż nie było takich chwil, gdy zdumiona stawała przed magią słów, kolorytem ich obrazów? Co się z tym wszystkim stało, były tam, no jasne, to dzięki nim dostała się do szkoły, dlaczego temu przeczyła, czy może zostało jej to skradzione? Skradzione. Czy to nie szaleństwo?

Wciąż ściskając zegarek, jakby była do tego zmuszona, nie wkładając go nawet do kieszeni, kroczyła chwiejnie między spacerowiczami przy służbie, nie zważając na ich spojrzenia, ledwo ich dostrzegając, i chlapała błotem na ogrodzenie, gdy pierwszy wiersz, jakiego nauczyła się na pamięć, dopasował się do rytmu jej kroków. „Oto poranna poczta nadchodzi”.

Chwyliła za górną poręcz i przechyliła się nad ogrodzeniem, w dłoni nadal ściskając zegarek. „Czekają na nią starzy i młodzi”.

Rzuciła się do biegu, jakby od tego miało zależeć jej życie, oddalając się od rzeki, przekraczając rów, wpadając na drogę. „Dostaną listy biedni i bogaci, i sklepik za rogiem, i dwóch małych braci”.

Jej nogi były teraz kołami, stuk-puk, stuk-puk. Zapach dymu i wiatr na jej twarzy. Stuk-puk, stuk-puk. Było pięć po czwartej na jednym zegarku, a dziesięć po na drugim, gdy dotarła do Staunton. Staunton?

Musiała przebiec cztery i pół kilometra. Ubranie miała mokre, kleiło się jej do ciała. Wioska zbudowana była na zboczu wzgórza, a ona szła powoli pod górę, przystając co kilka kroków. Koło poczty zebrały się dzieciaki i gapiły się na nią w milczeniu. Wisiały tam jaskrawe blaszane tablice reklamujące napoje i lody. Pot na niej wysychał. Przez całą minutę nie była w stanie zrobić nic ponad gapienie się w ogłoszenia o pokojach do wynajęcia, roślinach rabatowych i wiejskiej zabawie, z której dochód miał być przeznaczony na Fundusz Odbudowy Kościoła. Znalazłszy się w sklepie, zapytała, gdzie znajdzie dom Milesów.

— Tych nowych?

Potaknęła. Każdy, kto mieszkał tu krócej niż pięć lat, był nowy.

— Na szczycie wzgórza.

Reakcja na konieczność zrobienia jeszcze choćby kroku pod górę wypisana była chyba na jej twarzy, bo człowiek wychodzący z wieczorną gazetą i paczką papierosów zaproponował, że ją podwiezie swoją furgonetką. Śmierdziało w niej mocno kreozotem, którego puszki brzęczały z tyłu.

— Jesteś z tej szkoły?

Jako że była w mundurku, nie musiała praktycznie odpowiadać.

— Dodatkowe lekcje?

Wyszczerył zęby w uśmiechu, zahamował i przechylił się przez nią, by ze zgrzytem odsunąć drzwi.

Z początku pomyślała, że wysadził ją przed niewłaściwym domem. Był znacznie większy, niż się spodziewała. Potem przypomniawszy sobie ojca, który omawiał każdą transakcję w okolicy, czy ktokolwiek go słuchał, czy nie, jak mówił, że „ona ma pieniądze”. Brązowy kamień, z którego zbudowano dwuszczytowy dom, nabrał żółtawego poblasku od południowego słońca, które pokazało się po raz pierwszy tego dnia.

Mogła się wycofać, ale zdawało się jej, że dostrzegła kogoś przy jednym z okien. Nogi niosły ją w dół podjazdu. W kontenerze na ganku stały puste butelki po mleku z krową, której ogon pokazywał objętość pół litra.

Słońce mrugnęło i schowało się, a z ganku znikły cienie, jakby ktoś wyłączył światło. Na błękitnych drzwiach znajdował się dzwonek i kołatka w kształcie osiemnastowiecznej wazy. Nacisnęła na dzwonek, ale nie doszedł jej żaden dźwięk.

Jeśli nawet ktoś ją widział, to nie miał zamiaru otworzyć drzwi. Zastukała kołatką. Była ciężka i uderzała głośniejszy, niżby chciała, odbijając się echem wewnątrz domu.

Ktoś nadchodził. Zobaczyła, jak odślania się dziurka wizjera, i drzwi się otworzyły.

Taka była pewna widoku Milesa, że gdy ujrzała jego żonę, stała, jak by jej mowę odjęło. Najwyraźniej podobne wrażenie wywarł jej widok na Valerie Miles, która przez kilka sekund tkwiła w drzwiach nieruchomo, przyglądając się jej.

Na początku nie potrafiła spojrzeć na Valerie Miles, lecz patrzyła obok niej, na pomalowany na zielono hall zawieszony obrazami kwiatów ze wzgórz, które znała tak dobrze; to były jej kwiaty: dzikie storczyki, astry, pięciorniki, wyka. Widząc w tym otoczeniu znajome kształty, zdawała się jeszcze bardziej tracić orientację.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć ani po co przyszła.

— Jestem Ann Devenish — rzekła.

— Tak myślałam.

Głos Valerie Miles był spokojny i opanowany, niósł się z manierą, którą Ann знаła aż za dobrze: tylko to pozostawało, gdy dziewczęta opuszczały szkołę, porzucały młodość i pogodę ducha i stawały się tym, czego oczekiwano po nich w Bishop Griffith's i do czego zostały przysposobione.

Ann Devenish ujrzała kobietę niewiele wyższą od siebie, trochę po trzydziestce, o gęstych jasnych włosach ściętych tak, że kołysały się na wysokości kości policzkowych, ubraną w białą bluzkę i błękitną spódnicę. Dostrzegła także w szarych oczach jak w lustrach to, co widziała Valerie Miles: jej czerwone policzki pokryte plamami od pokrzyw, spódnicę brudną po wspinaczce na brzeg rzeki, podarte rajstopy. A gdy odkryła, że te oczy wpatrują się w jej dłoń, dotarło do niej, że wciąż ściska zegarek, ale nie próbuje go ukryć.

— W czym ci mogę pomóc? — spytała pani Miles.

Ann była bezgranicznie zmęczona, lecz na tyle świadoma, by wiedzieć, że coś się skończyło.

Wciąż nie miała pojęcia, co chce zrobić czy co powiedzieć, do chwili, gdy słowa same popłynęły z jej ust.

— Przepraszam — rzekła.

Wyraz twarzy pani Miles zmienił się — nieznacznie, ale jednak się zmienił. Otworzyła drzwi szerzej, tak iż Ann zobaczyła więcej obrazów powieszonych wzdłuż schodów i usłyszała, że ktoś szykuje się do zejścia na dół.

— Wejdz — rzekła.

III

REPRYZA

repryza — powtórzenie wcześniejszego tematu
(od łacińskiego *reprehenderé*, mocno trzymać).

OSIEMNAŚCIE

Z początku nazwisko to nic Gatesowi nie mówiło: Valerie Miles, Hill House, Staunton... Potem przypomniał sobie, że poznał ją na przyjęciu u panny Montrose prawie dwa lata temu. Było to wkrótce po morderstwie w Lynford, gdy zaczynał już czuć, że wie wszystko o zabójcy — nie zna tylko jego nazwiska i adresu.

Morderstwo w Lynford dostarczyło Gatesowi pierwszego porządnego tropu. Jackie Newton stoczyła zaciętą walkę o życie, drapiąc i szarpiąc, upuszczając wystarczającą ilość krwi, by dało się określić, że napastnik ma grupę B — niezbyt powszechną wśród Europejczyków. Spod paznokci udało się wydostać cząstki, które zidentyfikowano jako czarną farbę i skórę, prawdopodobnie z kurtki.

Mógł już stworzyć sobie obraz mordercy. Znał jego grupę krwi, wiedział, jak się ubiera, dzięki godzinom włamań domyślał się, że był gdzieś zatrudniony i o jakich porach pracował, co oznaczało, że pewnie zdawał się wieść całkiem normalne życie. Dokładne planowanie włamań pozwalało przypuszczać, że prawdopodobnie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, zaś zwinność, jakiej wymagały,

że nie dobiegł jeszcze czterdziestki. Był pewnie opanowany, powściągliwy, pił niewiele i, co najważniejsze, znał każdy centymetr Ash Valley, od wielkiego klifu w Beacon Ridge aż po Shallows, gdzie rzeka zmieniała się w płataninę mniejszych strumieni.

Pracował w terenie, był wędkarzem, myśliwym?

Gates rozmawiał z farmerami, którzy pasowali do stworzonego przez niego wizerunku, z robotnikami rolnymi, wędkarzami i każdą osobą w Ash Valley, która posiadała licencję na używanie broni.

Przez cały ten czas przygotowywał się do przyjęcia wiadomości o kolejnym morderstwie.

Wiadomość taka nie nadeszła. Nie było też już więcej żadnego podobnego włamania.

Wielkie polowanie nie przyniosło efektów, nie licząc dziesięciu postępowań karnych za nielegalne posiadanie broni.

W lutym sprawę zamknięto. Katalog z sześciuset kartami umieszczono w aktach. Zawartość części kart wprowadzono do komputera, ale w systemie pojawił się wirus i trzeba było tej czynności zaniechać.

Alan Newton, człowiek, którego żona została zamordowana w Lynford, okazał się mieć rację w swoich przewidywaniach. Komisja do spraw Turystyki w Ash Valley zanotowała rekordowy wzrost liczby odwiedzających tego gorącego lata — niemal dwadzieścia pięć procent ponad to, co było przedtem. On sam jednak nie wyciągnął z tego korzyści, ponieważ wyprowadził się z okolicy, odsprzedawszy swoje udziały w Bush Animal Park.

Gates miał kontakt z Liz Stewart, prawniczką, którą jego córka Claire zaprosiła na kolację, ale dowiedział się, że spotyka się z innym prawnikiem. Lepiej szło mu w pracy — rozbił krąg dystrybutorów kokainy działający w Stoke Prior, a zaopatrujący West Midlands i Bristol.

Dopiero w następnym roku, pod koniec lata, otrzymał raport, że ktoś włamał się do stadniny w pobliżu Fielden, niewielkiej osady niedaleko obrzeży Ashminster. Zginęło kilka srebrnych pucharów i pieniądze. Na suszarce do naczyń stał dokładnie wyflukany karton po mleku.

Gdy dni stawały się krótsze, a wieczory chłodne, w ciągu miesiąca nastąpiło kilka podobnych włamań. W normalnych okolicznościach nie zostałyby uznane za nic poważnego; straty były zwykle mniejsze niż w tej — jak sami zaczęli nazywać — pierwszej serii. Jednak było w nich coś niesamowitego, niemal okrutnego. Wszystkie miały miejsce w odległości nie większej niż trzy kilometry

od Greenway. Dwa zdarzyły się w tych samych domach, do których włamano się w pierwszej serii.

Nerwy Gatesa były napięte jak postronki. Zaczął źle sypiać. Dolinę przemierzały dodatkowe patrole. A teraz, krótko przed szóstą tego wieczoru, zadzwonił telefon z wiadomością, której tak się obawiał.

B było mokro przez cały dzień, jakby chciało padać, a nie mogło. Mgła wisiała w dolinie, nad rzeką i w porozdzieranych łąkach nad polami.

Black zaparkował za radiowozem, który stał za granatową granadą doktora Collinsa. Po drugiej stronie ulicy zgromadził się niewielki tłum, a młodzież kręciła się na rowerach.

Gates zawahał się po drodze tylko raz, widząc dziewczynę stojącą nieco z boku tłumy, wysoką, schludną, w czapce z logo Bishop Griffith's i w czarnym płaszczu. Czy zatrzymał się, bo przywiodło mu to na myśl pierwsze morderstwo? Jeśli tak, musiało to być tylko najdelikatniejsze echo, bo uleciało mu z pamięci, jak tylko wszedł do domu.

— Kto odkrył ciało?

— Jej mąż.

Jak to on miał na imię, Peter...? Czy David?

— Gdzie on jest?

— Na górze.

— Zatrzymajcie go tam.

Tak jak w przypadku pierwszej ofiary, Valerie Miles została uderzona w głowę. Jasne włosy rozdzieliły się w miejscu zięjącej z tyłu głowy rany. Cios został zadany z taką siłą, że odłamki kości sterczały z zakrzepłej już krwi.

Zmusił się do zauważenia, zapamiętania wszystkiego, bo choć zrobiono wiele zdjęć i filmów wideo, nic nie było w stanie objąć całego obrazu tak dobrze jak ludzkie oko.

Leżała częściowo na dywaniku niedaleko kominka z wielkim marmurowym obramowaniem, ozdobnymi drzwiczkami i stojakiem, w którym znajdowały się cynowej barwy szufelka i pogrzebacz. W kominku ułożono drewno, podpalono, lecz ogień gasnął, wypaliwszy podpałkę, a nie zająwszy szczap.

Kominek wyłożony był niebieskimi holenderskimi płytkami, z których kilka przedstawiało sceny z kanałami i wiatrakami. Znajdowała się tam plama zaschniętej krwi zmieszanej z popiołem z wygasłego ognia. Przez ostatnie dni było

dość ciepło i pewnie miał to być pierwszy ogień w tym sezonie. Zapałki wysypały się z pudełka niedaleko ciała.

Collins ustalił czas zgonu na popołudnie, między czternastą a szesnastą.

Zaraz po wyjściu z pokoju Gates udał się do łazienki, gdzie musiał zwalczyć mdości. Wypił kubek wody i ruszył w stronę źródła strumienia chłodniejszego powietrza.

Powiew zaprowadził go do kuchni z jesiennymi różami w wazonie na stole, teczką rodzinnych fotografii i obitą rypsem tablicą, do której przypięte były numery telefonów, rozkład zajęć w szkole i notatka o spotkaniu absolwentek Bishop Griffith's. Technicy kończyli tu zdjęcia.

— Czy wszystko jest tak, jak to zastaliście?

— Tak.

Tyłne drzwi były lekko uchylone, tak jak zapewne tamtego popołudnia. We wszystkich tych włamaniach rzadko znajdowało się ślady użycia siły. Czemu ludzie myśleli, że aby dom był bezpieczny, wystarczy zamknąć drzwi od frontu? Na zmywarce do naczyń stała pusta butelka po mleku, dokładnie opłukana, z zatkniętym na miejscu aluminiowym kapslem.

Przy pomocy reflektorów wciąż przeszukiwano ogród na tyłach, kończący się dróżką, którą odgrodzono policyjną taśmą. Tak jak przez cały dzień, gęsta, ciężka mgła, nie całkiem mżawka, lśniła w snopach światła. Wyglądało na to, że włamywacz zawsze miał szczęście — bo zastał otwarte drzwi, bo padał deszcz, który teraz zaczął przybierać na sile i mógł pomóc zatrzeć choćby nieliczne ślady, jakie po nim zostały. Z tyłu ogrodu biegła ścieżka, która prowadziła wzdłuż domów. Gdzieś poza zasięgiem światła, w nieprzeniknionym mroku leżała Greenway.

Gdy skończyli w kuchni, sprowadzili Johna Milesa na dół. Nie trafił na stopień i Black musiał go przytrzymać. Zobaczył potem zamknięte drzwi do pokoju dziennego i zbladł, jakby miał zaraz zemdleć. Black zaprowadził go do kuchni.

Z początku Miles zdawał się nie pamiętać Gatesa, gdy siadał przy starodawnym, lecz odnowionym i pomalowanym wiejskim stole. Mówił beznamiętnym, opanowanym głosem, informując ich, że wyszedł po południu ze szkoły, wszedł tu tylnymi drzwiami...

— Dlaczego tylnymi?

Miles popatrzył, jakby nie rozumiejąc pytania.

— Zawsze wchodzę tędy. Przeważnie są otwarte...

— Która to była godzina, panie Miles?

— Która godzina?

Znów popatrzył, jakby nie rozumiał pytania. Wpatrywał się w rozkwitłe róże, z których kilka płatków opadło na stół, a potem na teczkę ze zdjęciami i Gates miał już powtórzyć pytanie, gdy odparł mechanicznie:

— Wpół do piątej... te szuflady były pootwierane... na podłodze leżało parę czeków...

— Jakich czeków?

— Od absolwentek Bishop Griffith's... Była ich skarbnikiem... Podniosłem je... zawołałem... i wszedłem do...

Głos mu się załamał. W międzyczasie podniósł teczkę z fotografiami i kilka obrazków przesunęło się po stole. Gates przez ułamek sekundy widział błyszczące, jasne zdjęcia. Jedno, które akurat wziął do ręki Miles, przedstawiało Valerie w dżinsach i swetrze, zbierającą drewno, trzymającą je triumfalnie w ramionach, być może to samo drewno, które miało zapłonąć dziś na kominku.

— Kocham ją — rzekł, jakby nie mógł pogodzić się z faktem, że nie żyje.

— Kocham ją.

Przycisnął twarz do fotografii i nagle wybuchł potężnym, niepoahamowanym szlochem.

Za każdym razem, gdy próbował przemówić, znowu się załamywał. Na zewnątrz buczał agregat prądotwórczy i dzięki reflektorom w ogrodzie było jasno jak w dzień.

Gates pozwolił Milesowi dojść do siebie bez żadnych nacisków. Nie sposób było nie pomyśleć o wieczorze, kiedy zginęła jego własna żona. Wtedy też padał lekki deszcz, czyniąc drogi niebezpiecznymi i przyczyniając się do poślizgu samochodu człowieka, który zbiegł potem z miejsca wypadku. W tamtej chwili nic nie czuł. Emocje miały przyjść później, nad ranem. Teraz tym bardziej drobniawo wykonywał swoją pracę.

— Miał pan na sobie te właśnie ubrania...?

Miles popatrzył na niego tak, jak patrzył już wiele razy, jak gdyby nie do końca rozumiał pytanie, a wchodząc tu tylnymi drzwiami trzy godziny wcześniej, wkroczył w świat, w którym nic już nie trzymało się kupy.

— Niestety, będziemy musieli poprosić pana, żeby się pan przebrał... Pańskie ubranie mogło przyciągnąć jakieś włókno... włos... Czy ma pan jakichś znajomych, którzy mogliby pana przenocować?

*

Choć schemat ten był znany aż nadto dobrze, pierwszą osobą, którą należało wyeliminować — bądź nie — był Miles. Nikt nie mógł potwierdzić, o której godzinie wyszedł ze szkoły, ale sąsiadka z naprzeciwka, Christine Dobson, wiedziała, jak przyjechał swoim samochodem o szesnastej dwadzieścia pięć. Nie miała wątpliwości *co* do godziny, bo usiłowała wtedy zdążyć z wysłaniem listu przed opróżnieniem skrzynki. Listu nie dokończyła, bo chwilę potem zjawił się Miles w okropnym stanie. Zadzwoiła na policję, poczęstowała go herbatą i została z nim, dopóki stróża prawa nie przybyli na miejsce.

Godziny, jakie podała, pasowały do wersji Milesa, który podczas drugiej rozmowy powtarzał bezustannie pełnym winy, zakłopotanym głosem, że nigdy nie przepadali za panią Dobson, a ona okazała się taka dobra, taka okropnie dobra.

Ustalenie przyczyny śmierci było czystą formalnością. Valerie Miles została popchnięta lub rzucona na wystającą krawędź marmurowego obramowania kominka z siłą, która doprowadziła do pęknięcia czaszki. Zabójca raczej nie mógł uniknąć śladów krwi na swoim ciele lub ubraniu. Jedyne plamy, jakie wykryto na Milesie, który wbiegł do pani Dobson zaraz po znalezieniu żony, znalazły się na nim prawdopodobnie na skutek dotykania żony.

Schemat był w zasadzie taki sam jak przedtem. Ukradziono biżuterię i kilkadziesiąt funtów z funduszu absolwentek. Zamazane ślady, znikające w deszczu, prowadziły w stronę Greenway. Valerie Miles nie została zgwałcona, ale też nie przydarzyło się to pierwszej z ofiar. Wszystko inne pasowało, łącznie z butelką po mleku i kapsłem. Ta osobliwa wizytówka nigdy nie została opublikowana.

Gates nie myślałby już pewnie o Milesie, gdyby nie jego własna córka Claire.

— Byli nieszczęśliwym małżeństwem — zapewniała go w niedzielny poranek po morderstwie.

— Doprawdy?

Znajdował się w piwnicy własnego domu, zastanawiając się, jak obrobić kawałek drewna, by zastąpić nim butwiejącą ramę okienną. Najprawdopodobniej i tak będzie musiał poprosić Dicka — złotą rączkę — żeby zrobił to za jakiś czas, ale przynajmniej — tak sobie myślał — postara się na jakiś czas zapomnieć o sprawie.

Powiedziała mu, że Penny Nicholls, która grała razem z nią w międzyszkolnej orkiestrze, a była w klasie Milesa w Bishop Griffith's, mówiła jej, że...

Przestał słuchać, zdmuchnął wiór drewna i popatrzył z ukosa.

— Myślisz, że jest prosta? — spytał.

— Nie.

— I ja tak sądzę.

Przyłożył poziomicę, umieścił deskę w imadle i szykował się do zheblowania dosłownie ułamka milimetra.

— On miał romans z jedną z uczennic. Strug ześlizgnął się i wyłobił kawałek drewna.

— Z kim?

— Nie wiem...

Zmieniła ton, gdy dostrzegła wyraz jego twarzy.

— To tylko plotka... ale połowa dziewczyn na niego leci, a ta szkoła to istny burdel...

Odłożył hebel. Przypomniało mu się, jak zajechał przed dom w Staunton w mokry, ciemny wieczór i jak potknął się, widząc dziewczynę w czapce z logo Bishop Griffith's i czarnym zimowym płaszczu. Czy zatrzymał się ze względu na zbieg okoliczności z tamtym pierwszym morderstwem? Zbieg okoliczności? W Bishop Griffith's było pięć setek dziewcząt! Nietrudno spotkać którąś w każdym tłumie. Wrzucił kawałek drewna do torby na odpadki.

— Chyba poproszę Dicka, żeby naprawił tę ramę.

Claire chrząknęła znacząco.

— Jest wolny w przyszłym tygodniu.

Chwycił ją za ramiona i okręcił.

— Już go zamówiłaś, co?

Tego samego dnia po południu, gdy próbowali pozbyć się kalorii po pieczonej baraninie przez spacer do śluzy w Lynford, wygląd czy może postawa dziewczyny sprzed domu w Staunton nie dawały mu spokoju. Z pewnością był to obraz, jaki pozostał mu z pierwszego morderstwa. Wszystko zaczynało mu się mieszać. Ta dziewczyna w niczym nie przypominała Ann Devenish. Zresztą, sądząc po ich ostatniej rozmowie, mało prawdopodobne, by nadal uczyła się w Bishop Griffith's.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Prawdopodobne czy nie, jednak się tam uczyła. Co więcej, niby przedziwny duch z przeszłości Gatesa, była tą dziewczyną stojącą przed domem w Staunton.

Nie poznał jej głosu. Zadzwoił do jej rodziców, żeby tylko sprawdzić, co się z nią działo, i wyprzeć ze świadomości dokuczliwy obrazek.

— Chyba nie inspektor Gates...?

— Tak?

Zaskoczyła go radość i gorliwość w jej głosie — jako policjant nieczęsto spotykał się z taką reakcją. Powiedziała mu, że owszem, była w Staunton owego przerażającego wieczora, oczywiście, że mogła mu pomóc, jak tylko będzie potrafiła, prawdę mówiąc, sama myślała — chodziło jej to po głowie — żeby się z nim spotkać. Wołałaby przyjść na posterunek, bo nie chciała denerwować rodziców.

Niektóre zwroty, jakich używała, brzmiały dziwnie formalnie jak na dziewczynkę, którą pamiętał. Rozpoznał zmianę w jej głosie: nie był to dosłownie ton panny Montrose, ale nabrał już charakterystycznej intonacji, wysokości. Wbrew wszelkim oczekiwaniom, szkoła Bishop Griffith's wycisnęła wreszcie i na niej swe ciężkostrawne piętno.

Pokój Gatesa znajdował się na trzecim piętrze, a jego okna wychodziły na „Raj Zakupów” i parking dla klientów. Widział, jak przyjechała niebieską sierrą prowadzoną przez wysokiego młodzieńca, który ścisnął ją za rękę, nim znikli w dyżurce.

Weszła do pokoju przesłuchań sama i podała mu rękę z taką serdecznością, że ku własnemu zaskoczeniu uśmiechnął się.

— Co słytać? — rzekła, witając się z nim jak ze starym znajomym.

Widział, jak Claire zmieniła się z gamoniowatej czternastolatki, lecz nic nie poraziło go tak jak Ann Devenish. Urosła wysoka, a w jej urodzie nie było nic konwencjonalnego: nic nie było w stanie zmienić skrzywienia na grzbiecie nosa czy wiecznie potarganych włosów, ale cerę miała tak białą, że prawie odbijała światło, nadając jej pociągłej twarzy, ciemnym oczom i nieco zbyt wydatnym ustom swego rodzaju moc, której nie mógł się oprzeć Black, gdy wszedł do pokoju.

Przywitała się z nim prawie tak serdecznie jak z Gatesem, a sierżant, przykuty do miejsca z zauroczenia, przytrzymał jej rękę odrobinę za długo.

— Nie będziesz mi potrzebny — oznajmił Gates.

Black stał się w tej chwili uosobieniem rozczarowania.

Miała na sobie szary kostium i białą bluzkę w cieniutkie czarne paski. Gdy to skomentował, powiedziała, że szóstoklasistki mogą nosić własne ubrania, lecz, „nie wiedzieć czemu”, zasada ta nie dotyczy nakrycia głowy. Położyła czapkę ze znajomym czerwono-żółtym gryfem na stole i rozejrzała się po brudnych kremowych ścianach. Podał jej przez stół poobijaną popielniczkę.

— Och, porzuciłam ten niemądry nałóg już dawno temu — rzekła.

Czekał, niepewny, jak zacząć. Nastąpiła chwila ciszy zakłóconej tylko nikłym szumem i turkotem przejeżdżających pod ziemią samochodów. Była całkowicie opanowana, nie licząc pocierania czubkami palców o czoło, co robiła od czasu do czasu w ciągu całej rozmowy. Miała doskonale wykonane manicure i paznokcie pociągnięte bezbarwnym lakierem.

— Co robiłaś w tamtym miejscu? — spytał.

— Szłam do domu.

Tak jak za pierwszym razem. Poczł dziwne mrowienie, jakby poraził go prąd. Zmarszczył brwi.

— Przez Staunton?

Przydarzyło się jej coś, czego nigdy nie widział u dawnej Ann Devenish: zarumieniła się.

— Ja... my... byliśmy na spacerze.

— My?

— Lawrence i ja...

— Młody człowiek, który cię tu dzisiaj przywiózł?

— Tak. Zobaczyliśmy grupę ludzi i przystanęliśmy, a... ktoś nam powiedział, że było włamanie...

Zamilkła i popatrzyła na stół. Zadał jej to pytanie znienacka:

— Co łączy cię z Johnem Milesem?

Podniosła oczy zdumiona.

— Jest moim wychowawcą.

— Czy coś poza tym?

Musiałaby być niezwykle dobrą, opanowaną aktorką, by wywołać na twarz tak kompletny brak zrozumienia. Zaraz po tym nastąpił krótki wybuch śmiechu.

— Ach, rozumiem. Chodzi panu o to, czy mam z nim romans?

— Tak.

— Nie — odparła. — Rozmawiał pan pewnie z Melissa Barnett. Albo z Penny Nicholls. Chyba nie myśli pan...

— Muszę zbadać wszystko.

Uśmiech znikł z jej twarzy i chwyciła za brzeg stołu.

— Uważam, że to wstrętne, że zmyślają coś takiego po wszystkim, co przeszedł; to cudowny człowiek, zrobił dla mnie więcej niż ktokolwiek inny, sam pan wie, jaka kiedyś byłam, i tylko dlatego, że mnie zachęca, że się mną interesuje, i jako jedyny... och, nie chcę o tym mówić, przykro mi!

Wzrok miała dziki, cerę jeszcze jaśniejszą, niemal przezroczystą.

— Czemu chciałaś się ze mną spotkać?... Mówiłaś, że chodziło ci to po głowie.

— Wciąż myślę o tamtym domu wtedy — rzekła. — Jak pan do niego wchodził i jak pan wchodził teraz do tego, i...

Westchnął w duchu. Cieszył się, że się z nią spotkał, był zdumiony i uradowany ogromną zmianą, jaka w niej zaszła, ale jego biurko zavalone było papierami i musiał przygotować się do trudnego przesłuchania w sądzie.

— Cóż, ty do tego chyba nie weszłaś? — spytał.

— Nie — roześmiała się. — Cóż, chyba nie.

Choć wciąż się śmiała, była w jej śmiechu jakaś nerwowość, a w wielkich oczach coś, co kazało mu się pochylić.

— Co znaczy, chyba nie?

Nagle skrzywiła się i przyłożyła dłoń do czoła. Gdy do niej podszedł, odwróciła się plecami.

— Dobrze się czujesz?

— Nie, prawdę mówiąc, nie.

Światło w pobliżu okna zdawało się kłuć ją w oczy i odwróciła się, opierając o stół. Próbowwała mówić, lecz słowa zlewały się w jeden bełkot i jedyne, co udało mu się zrozumieć, to migrena. Poszedł poszukać jakiejś policjantki, ale znalazł tylko Blacka, który przyniósł jej szklankę wody. Zaczęła po omacku szukać w torebce tabletek. Black znalazł jej listek i wyjął dwie pastylki. Nie chciała, by posłali po Lawrence'a, połknęła tylko proszki w łazience. Przejrzawszy materiał dowodowy dotyczący jutrzejszego przesłuchania, Gates wrócił i zastał ją siedzącą prosto.

— Co miałaś na myśli? — zapytał.

— Słucham?

Jej policzki nabrały nieco koloru, ale nie za wiele. W pewnym sensie, choć nie wiedział do końca w jakim, jej twarz, postawa stały się bardziej czujne, oczy jaśniejsze.

— Nie jesteś pewna, czy nie byłaś w tamtym domu?

— Cóż... kiedy tam stałam... miałam dziwne uczucie... przez tamten drugi dom...

Zaczynał już tracić cierpliwość.

— Gdzie byłaś o szesnastej trzydzieści tamtego popołudnia, Ann?

— W Belford.

Znów poczuł to dziwne lekkie mrowienie. Belford było osadą bardziej w głębi doliny, nie dalej jak dwa kilometry od Staunton.

— Z Lawrence'em?

— Tak... Wysiedliśmy z samochodu... Jest tam taki mały strumyk... las... widzi pan, nikt ze szkoły tamtędy nie chodzi.

Dopiła wodę i popatrzyła na szklanke, dopiero wtedy ją odstawiła.

— Ten las jest niedaleko od Greenway... Gdy z niego wyszliśmy, ciemności zdawały się unosić... No wie pan... Zobaczyłam mężczyznę. Niezbyt daleko. Nie myślałabym o tym więcej, ale on jakby dał nura między drzewa.

— Widziałaś jego twarz?

— Nie. Był za daleko.

— Która to była godzina?

— Za piętnaście piąta. Około. Nie jestem pewna.

— Jak był ubrany?

— Na czarno. Chyba w czarną skórzaną kurtkę.

— Czy to było na Greenway?

— Nie, bardziej w lesie. Na jednej z dróg równoległych do Greenway... Zdawało mi się, że słyszałam motor...

— Motocykl?

— Tak.

— Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

— Bo nie sądziłam, że mi pan uwierzy... po tym, jak ostatnio... twierdziłam, że znam mordercę.

Mówiła tak szczerze i otwarcie, że się uśmiechnął. Miała absolutną rację. Wcale nie był pewny, czyjej wierzy. Mimo nowego wizerunku i wpływu panny Montrose, wciąż wydawała mu się jedną z osób tak chorobliwie zainteresowanych zbrodnią, że zdolne byłyby zadzwonić na policję, bo *coś* widziały... albo

sąsiad podejrzenie się zachowuje... albo nawet żeby przyznać się do popełnienia przestępstw, których nie popełniły.

Zaprowadził ją do recepcji i zapytał jej chłopaka, czy może z nim porozmawiać.

DWADZIEŚCIA

Ann Devenish siedziała na sedesie w komisariacie z głową między nogami, widząc zbliżającą się do niej podłogę. Wciąż miała przed oczami minę Lawrence'a, gdy Gates zapytał, czy może z nim porozmawiać! Cały Lawrence. Poszedł za Gatesem jak robot, z winą wypisaną na twarzy. Było to, rzecz jasna, oczywiste, że będą chcieli go przesłuchać, a mimo to czuła się zaskoczona.

Od chwili, gdy dopadła ją migrena, nie pamiętała z rozmowy z inspektorem kompletnie nic. Mogła trwać minutę, choć zegarek, który zamazywał się jej przed oczami, pokazywał, że raczej dziesięć minut. Usiłowała zebrać do kupy, co powiedziała, gdy już to się stało, lecz wówczas zniemacka żołądek jej się ścisnął i poczuła, że zaraz zwymiotuje. Wciąż targały nią torsje, choć zwracała jedynie wodę, która zwisała z jej ust w maleńkich, zawieszistych stalaktytach.

Pastyłki, które zapisał jej doktor Collins, łagodziły pulsujący ból, lecz przyprowadziły ją o mdłości. Powiedziała mu o zanikach pamięci, których nie doświadczała już od prawie dwóch lat, od wydarzenia z Rolexem. John Miles zabrał go wtedy z powrotem do szkoły, gdzie został „znaleziony”. Inaczej, jak tłumaczył, relegowano by ją i nie miałyby możliwości robić tego, do czego, jak wierzył, miała niezwykły talent.

Doktor Collins bardzo ją pocieszył. Wyglądało mu to na stres i przemęczenie. Sam miał okropną pamięć i musiał wszystko zapisywać. Dokładna przyczyna migreny, wyjaśnił, wciąż pozostawała nieznana. Niewykłuczone, że zaburzenia wizji i nastroju z nią związane mogą dezorientować ją w dokładnie taki sposób, jak to opisała.

Torsze ustały. Co to była za ulga, klęczeć tam i przyciskać czoło do zimnej muszli.

O czym mówił im Lawrence? Pewnie żałuje teraz, że w ogóle zaczął z nią chodzić.

Wszystko zaczęło się pod koniec zeszłego roku, jej pierwszego roku bycia dobrą, jak nazwała to w swoim pamiętniku. Z całkowicie nieokiełznanej i zagubionej, popadła nagle w drugą skrajność, stając się opanowana i pracując w skupieniu i determinacji, które zdawały się zadziwiać wszystkich poza Johnem Milesem. Zbyt wiele czasu straciła, by uzyskać dobry wynik ogólny, ale panna Montrose uznała za zdumiewające to, że w ogóle coś osiągnęła — zdała egzaminy z siedmiu przedmiotów, przy czym doskonale jej poszło ze sztuki i angielskiego, za co otrzymała, jak to określiła pani dyrektor, „wielce pożądaną nagrodę Dorothy Richardson”.

Paradując w chwale swego osiągnięcia, udała się nie do „Copper Kettle”, lecz do nowo otwartej cukierni u Brandona, gdzie sam właściciel, widząc w niej być może po raz pierwszy potencjalną klientkę, podarował jej karton ciastek, pewnie z poprzedniego dnia, lecz mimo to, pomyślała potem, potęga dobra była zadziwiająca, znacznie, znacznie większa niżli moc zła.

W nowej sukience, jaką matka kupiła jej za zdane egzaminy, ściskając pudełko z łakociami, wpadła na wysoką, chuderławą postać wysiadającą z samochodu Teda Pearsonsa. Ted Pearson uczył jeździć połowę wioski, jak nazywała teraz Ashminster.

Niemal upuściła karton. Był przystojny jak zawsze, lecz żółtawe włoski porastające policzki zaczęły się formować w porządny zarost.

— Cześć — rzuciła.

— O, cześć — odparł. — Nie poznałem cię.

— Ludzie zwykle mnie nie poznają — powiedziała, dopasowując się do jego kroku i paplając o podarunku od Brandona. — Gdzie twój rower? — spytała.

— Ach — rzekł nieco dumnie i wyniośle. — Jeżdżę teraz sierrą. Przynajmniej dopóki nie zdam egzaminu.

Dochodzili do miejsca, gdzie droga rozwidła się, jedna odnoga prowadziła dalej przez wioskę, druga wiodła do Chalkbank.

— Ma szybko zdejmujące się koła? — zapytała.

Przez jego twarz przemknął jakiś nieokreślony szybki błysk, a potem Lawrence parsknął śmiechem i wziął ją pod rękę. Pokazał na ciasteczka.

— Spróbujemy? Koło mostu?

Popatrzyła na niego, a potem na karton z ukwieconym „B” w koronie, która, jak mówili ludzie, miała oznaczać królewskie poręczenie, jakiego Brandon nie posiadał. Już miała zamiar się zgodzić, gdy do głowy przyszło jej pewne wspomnienie czy może fantazja. Ale czemu miałyby to być tylko fantazja?

— Może przyszedłbyś na herbatę? — zaproponowała z najlepszą intonacją panny Montrose, na jaką ją było stać.

Było to precudowne wspomnienie, które warto było przywołać nawet w brudnej toalecie komisariatu w Stoke Prior.

— Na herbatę? — powtórzył, jakby to była ostatnia rzecz, jakiej mógłby się spodziewać czy pragnąć. — Po co... er... bardzo chętnie, dziękuję.

Wyplukła usta i poczuła się lepiej. Gdy przeszła do recepcji, zobaczyła przez okno, że Lawrence siedzi w samochodzie. Silnik miał już włączony, jakby nie mógł się doczekać, żeby odjechać. Rzucił jej piorunujące spojrzenie, gdy otworzyła drzwi. Głos mu się trząśł.

— Nie mogę powiedzieć, żeby mi się tam podobało — oznajmił.

— Powiedziałeś im?

— Jasne, że nie — odparł. — Wsiadaj.

— Lawrence, nie bądź...

Mówił teraz coraz głośniejsze i coraz bardziej niewyraźnie:

— Moja matka jest sędzią i nie podobało mi się już samo to, że mam tu przyjechać, a teraz czuję...

Zamilkł nagle i zbladł jak ściana. Z recepcji wyszedł Black i szedł w ich stronę. Ann stała, wpatrując się w niego, z ręką na otwartych drzwiach samochodu. Z jakiegoś powodu swym wyglądem, arogancką postawą wywołał wspomnienie człowieka, który powalił ją w lesie... czy możliwe, że było to zaledwie dwa lata temu?

— Nie zapomniałaś czegoś? — odezwał się.

Poczuła strach, którego nie potrafiła określić — jakby rzeczywiście miała na powrót stać się tą skuloną, płaczącą istotą w gabinecie Monty, oskarżoną o coś, czego nie zrobiła.

Black podrzucił w górę ręce jak magik i wyciągnął coś zza pleców, zaś ona uświadomiła sobie, że gapi się głupio na własną czapkę. Wystraszona mała dziewczynka znikła i Ann uniosła jedną brew.

— Jak mogłam o niej zapomnieć — rzekła.

— Nie zdarza ci się to?

— To najgorsze przestępstwo — odparła, zabierając czapkę.

Otworzył jej drzwi samochodu.

— Cóż, miło było znów cię zobaczyć... i to w takiej świetnej formie...

Roześmiała się, jakby podtekst tej wypowiedzi był najlepszym dowcipem, jaki kiedykolwiek słyszała, i kokieteryjnie założyła czapkę na potylicę.

— Dziękuję... Zapomniałabym własnej głowy, gdybym nosiła ją luzem!

Roześmiali się oboje i Ann zamknęła drzwi samochodu, szybko chowając nogi i spódniczkę.

Machając na pożegnanie, miała świadomość bladej, napiętej twarzy Lawrence'a. Samochód ruszył do przodu.

— To jednokierunkowa — powiedziała.

Zahamował i zawrócił pospiesznie, zgrzytając skrzynią biegów i o mały włos nie uderzając w policyjny radiowóz.

— Chcesz, żebym poprowadziła?

— Nie wolno ci, dopóki nie skończysz siedemnastu lat! — warknął. — Już nigdy nie usiądziesz za kierownicą tego samochodu.

Nagle, bez chwili zastanowienia, całkiem tak jak dawniej, Ann otworzyła drzwi. Zahamował gwałtownie.

— Co ty, u diabła, robisz?

— Idę im powiedzieć, że jestem nieletnia, a ty czytałeś mnie jeździć, że prowadziłam ten samochód feralnego popołudnia w Belford, no, czy nie tego się boisz? Złamaliśmy prawo, a ty, ty jesteś takim pedantem, tak się śmiertelnie boisz, bo nie powiedziałeś prawdy, całej prawdy...

Mówiąc to, odpięła pas i już prawie wysiadła z samochodu, gdy złapał ją za ramię.

— Wsiadaj.

— Powiem im. A co mi tam.

Black otworzył drzwi komisariatu i stał, patrząc na nich przez parking.

— Na litość boską, wsiadaj! — mówił Lawrence z wściekłością.

Posłała Blackowi kolejne spojrzenie z uniesioną brwią i wsiadła do samochodu. Uśmiechnął się szeroko i uniósł dłoń w geście pożegnania, gdy go mijali.

— Powiedziałaś im, że widziałaś mężczyznę — rzekł Lawrence.

— I co?

Zamknęła oczy. Migrena paraliżowała ją i sprawiała, że myślenie, nie mówiąc już o pamiętaniu, okupione było wielkim wysiłkiem.

— Był tam jakiś robotnik... i to nie był motor... tylko traktor... Przynajmniej... — Zmarszczył brwi. — Wydaje mi się, że to był traktor.

Była to jakaś pociecha, że on także miał problemy z przypomnieniem sobie pewnych rzeczy. Rozmawiali tak jeszcze trochę, odzywając się z rzadka, aż w końcu zamilkli na dłużej, będąc jeszcze daleko od Ashminster. Lawrence przemówił dopiero, gdy zatrzymali się przy zagajniku niedaleko szkoły. W jego głosie słychać było wyraźną skruchę.

— Myślałem, że znów wpakujesz się w kłopoty. My oboje — dodał.

— A to by oznaczało koniec? — powiedziała.

— Nie, alez nie, nie, nie, nic się nigdy nie skończy — zaczął się jąkać. — Kocham cię.

Czemu czuła się tak obca, oddalona od niego o tysiące kilometrów, gdy to mówił? To przez tę migrenę, jasne, przez migrenę, która w swej dogasającej formie przyłgnęła do niej podobnie jak nieswieży smak w ustach.

Pocałował ją, a ona ukryła twarz w jego szyi, w jego czystym, mydlanym zapachu, zarzucając ręce na kościste ciało, które kiedyś zdawało się istnieć poza jej zasięgiem, którego kiedyś pragnęła ponad wszystko, a teraz, choć sama tego nie rozumiała, nie rozumiała w ogóle, teraz był jak Pooch, coś, co można potrzymać, przytulić, pocieszyć się, a potem odstawić na półkę.

— Nie powiedziałaś, że też mnie kochasz... — wymruczał.

Przywarła do niego ciasno bez słowa.

— Ann?

— To takie tanie słowo — odezwała się w końcu. — Nie oddaje tego, co do ciebie czuję.

— A co do mnie czujesz? — pomrukiwał czule.

Słowa uwięzły jej w gardle i zaczęła drzeć jak osika. Lawrence wziął to za jej potrzebę bycia z nim, potrzebę bliskości, pożądanie i w przypiływie namiętności włożył rękę pod jej spódnice.

Odsunęła się.

— Nie przed całą szkołą!

— Nikogo tu nie ma oprócz kilku pieprzonych gawronów! Chodźmy do lasu!

— Nie tu — wzdrygnęła się.

— To gdzie? Kiedy? — Ścisnął jej dłoń. — Dostanę pierdolca, jak zaraz tego nie zrobimy!

Odepchnęła go i wysiadła z samochodu. Jakiś gawron odleciał kawałek dalej i opadł leniwie na stertę obumarłych liści. Usłyszała, że Lawrence ruszył za nią, kopiąc liście.

— Czemu nie chcesz? — spytał.

— Chcę, żeby było wyjątkowo — odparła. — Ty nie?

— Ja tylko chcę, żeby to się już stało.

Roześmiała się, uściskała go mocno i nim zdążył ją znowu złapać, pobiegła do szkoły.

Gdy szła podjazdem w stronę głównego wejścia, zobaczyła dziewczynkę z trzeciej klasy pędzącą bez czapki przez trawnik, ściskającą teczkę — Elizabeth Holder, czyż nie? Tak, miała rację. Zabawne, że to właśnie ona miała bodaj najlepszą pamięć do twarzy i nazwisk pośród wszystkich szóstoklasistek i dosłownie widziała swoje notatki za każdym razem, gdy tylko chciała je sobie przypomnieć.

— Elizabeth — zawołała.

Mała postać zachwiała się i stanęła z poczuciem winy. Ann zaczekała, aż podejdzie, i dopiero wtedy przemówiła.

— Dokąd idziesz?

— Do dentysty — odparła posępnie dziewczynka.

— Masz pecha. Gdzie twoja czapka?

— Zginęła mi, panno Devenish.

— Zgłosiłaś to?

— Nie.

— Zawiadom o tym rano, dobrze? — rzekła Ann z pobłażliwym uśmiechem.

— Tak, panno Devenish.

Ann Devenish wkroczyła do szkoły, z której nieomal została wyrzucona. Jej nazwisko widniało już złożonymi literami na jednej z tablic w auli. Zdobyła nagrodę. Była doskonała. Zdjęła czapkę i popatrzyła na nią, myśląc o reakcji Blacka. Sama nie miała teraz pojęcia, dlaczego kiedyś tak strasznie jej ona przeszkadzała, że gubiła ją, toczyła nieustanne bitwy, żeby jej nie nosić, wypychała do kieszeni, napelniała jeżynami, kopała jak piłkę — robiła wszystko, żeby tylko jej nie zakładać.

Tak długo, jak nosiło się czapkę, mówiło z odpowiednim akcentem i chodziło z chłopakiem, którego matka była sędzią, można było nie bać się odpowiedzialności za morderstwo.

O Boże! Te dziwaczne, makabryczne myśli zdawały się cały czas na nią czekać! Szokująca śmierć Valerie Miles przywróciła do życia pogrzebane wspomnienia z czasu, gdy weszła do domu, gdzie popełniono tamto morderstwo. Jednak wizyta u Gatesa dobrze jej zrobiła, nawet mimo migreny. Czyż jego mina, pewny uścisk dłoni na pożegnanie nie powiedziały równie wyraźnie jak słowa, że czas już przestać to roztrząsać?

Na swój sposób pocieszył ją bardziej niż doktor. Zadrżała, i to dosłownie, i poczuła maleńki przepływ energii. Doskonałym łukiem umieściła w bardzo niedoskonały sposób swoją czapkę na swoim wieszaku i poszła do biblioteki, gdzie na dwie godziny zatopiła się w przyczynach pierwszej wojny światowej.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Nazajutrz po wizycie Ann Devenish u Gatesa John Miles wrócił do szkoły. Nie spodziewano się tego. Minął niecały tydzień od morderstwa jego żony. Z początku tak nagły powrót zaskoczył wszystkich, lecz szybko się z nim pogodzono. Co innego miałby począć? Wyjechać nie mógł. Czekał go pogrzeb odwołczony przez sekcję zwłok, przesłuchania przez policję, śledztwo i tysiąc innych rzeczy związanych z nienaturalną śmiercią.

Szkolna wieśćniosła, że był u jakichś przyjaciół, ale teraz wrócił do domu, gdzie pokój dzienny zamknął na klucz i w ogóle tam nie zaglądał. Chciał znaleźć się między ludźmi i spróbować zapomnieć, choćby na kilka minut.

Nawet panna Montrose na apelu powiedziała:

— Jak zauważycie, wrócił do nas pan Miles. Wyraziłyśmy już nasze najgłębsze, najszczerze współczucie, a teraz wasz nauczyciel chce po prostu uczyć. Zróbmy wszystko, co w naszej mocy, by mu w tym dopomóc.

Zajęcia z klasą szóstą miał przed lunchem. Wyglądał zadziwiająco zwyczajnie, wpychając jak zwykle ręce do kieszeni marynarki, tym razem sztruksowej, jakiej Ann jeszcze na nim nie widziała. Tylko opuchnięte oczy i ziemista cera

zdradzały, przez co przeszedł. Przygotował sobie notatki, choć zwykle z nich nie korzystał.

Każda z dziewcząt, które otoczyły go kółkiem, wysłała mu wcześniej kartkę albo list. Zostało już powiedziane wszystko i nic. Notatki, jakie sobie przygotował na temat prymitywizmu w literaturze współczesnej, zdawały się bardziej mu przeszkadzać, niż pomagać. Usiłując zachowywać się zwyczajnie, wszystkie słuchały go z niezwykłą uwagą; żadna nie gapiła się nie wiadomo gdzie, nie bazgrała bezmyślnie, nie szurała krzesłem, aż napięcie stało się nie do zniesienia, jednak on wciąż odczytywał swoje zapiski, jakby wpadł w ich pułapkę. W pewnej chwili zgubił kartkę bądź włożył ją nie tam gdzie trzeba i utknął. Zapatrzył się w ścianę, ściskając kartki w dłoni. Cisza była tak przejmująca, że Ann słyszała jej brzęczenie w uszach. Przerwała ją Melissa Barnett.

— Czy przykładem tego może być „Władca much”?

W normalnych okolicznościach nastąpiłby w tej chwili jęk, jako że była to książka, którą Melissa usiłowała dopasować do każdego kontekstu, lecz tym razem wszystkie dziewczęta z ulgą się ożywiły, zaczęły szurać nogami, wypuszczać z siebie długo wstrzymywany oddech, niektóre potakiwały, inne marszczyły czoła.

Miles odłożył notatki.

— Tak, ta powieść bez wątpienia pokazuje, co się dzieje, gdy reguły rządzące społeczeństwem ładują w koszu, a zwyciężają elementy prymitywne... i Jednak czy możecie zastanowić się nad przykładem mniej oklepanym?

Patrzył wprost na Lindę, której bardziej przez chęć dorównania Ann niż przez entuzjizm dla przedmiotu udało się dostać do klasy szóstej.

— „Folwark zwierzęcy”?

— Czy ta książka nie dotyczy rewolucji, Lindo? Zwierzęta w niej są dość cywilizowane, nawet bardziej cywilizowane od samego właściciela folwarku...

Jego wzrok zabłąkał się w stronę Ann. Miała świadomość, że nie spojrział na nią, odkąd wszedł do klasy, choćby raz, i zastanawiała się, czy to nie przez list, jaki do niego napisała. Okazało się to dla niej okropnie trudne; najpierw przelała na papier całą masę napuszonych uczuć, a czytając, sama prawie nie mogła uwierzyć, że coś takiego stworzyła — nawet własne pismo wydało się jej inne, przerezione i rozwlekłe. Ostatecznie posłała mu niewiele ponad sztywny,

formalne kondolencje i od tej pory nie mogła przestać o nich myśleć.

— Usiłowałem sięgnąć nieco głębiej — mówił. — Pod powierzchnię wszystkiego, czym faszeruje nas społeczeństwo...

— „Kruk” — rzekła.

Odchylił do tyłu krzesło i po raz pierwszy na nią popatrzył.

— Który wiersz?

— „Ta chwila”...

Wpychał notatki do kieszeni, a wolną ręką przeczesywał oklapnięte włosy. Mogłaby przysiąc, że przez jego twarz przemknął uśmiech, ale pewnie jej się przywidziało.

— Jaki fragment, Ann?

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo nie na miejscu będą jej słowa, dopóki nie wypowiedziała ich na głos — zdawało się, że dość automatycznie.

— ... „I ulice zamknęły się na zawsze, i ciało leżało na żwirze”...

Ręce trzymał złożone jak do modlitwy przed twarzą, tak że nikt nie widział jego miny.

— ... „opuszczonego świata pośród opuszczonych przedmiotów wydanych na łup wieczności... Krukowi przyszło się rozejrzeć za czymś tam do jedzenia”.*

* Fragment wiersza „Ta chwila” Teda Hughesa ze zbioru *Kruk* w przekładzie Jana Rostworowskiego.

Jego krzesło szurnęło po podłodze, a on sam wyskoczył w górę.

— Tak, to właśnie cytat, jakiego szukałem... Ted Hughes... Ponury szyderca bez odrobiny sentymentalizmu.

Poklepał jej krzesło, mijając je, gdy kroczył dokoła kręgu dziewcząt.

— Dziękuję, Ann.

Boże, ty to masz tupet! — stwierdziła Melissa Barnett podczas lunchu.

— Wspominać o zwłokach. — Penny Nicholls wzdrygnęła się, odsuwając sałatkę.

— Ale tego właśnie mu było trzeba! — zawołała Melissa. — Nie rozumiesz? Wszystkie tego *unikatyśmy*! Dlatego atmosfera w klasie była taka okropna!

— Rzeczywiście, stał się bardziej podobny do siebie — zgodziła się Penny.

— Byłaś *taka* spostrzegawcza, Ann — mówiła żarliwie Melissa.

Coraz częściej Ann jadała lunch właśnie z nimi. Rozejrzała się za Lindą, ale nigdzie jej nie zobaczyła. Nie miała apetytu. Do przeszłości należały dni, kiedy to pochłaniała z przyjaciółką „Krem bogów”. Teraz, podobnie jak Penny, brała sałatkę serową, jabłko i szklankę mleka. Często, tak jak dziś, mając tak wiele do zrobienia, kończyła jabłko w bibliotece.

Trzeba napisać rozprawkę z historii, przedstawić pomysły na koncert bożonarodzeniowy, a wieczorem będzie musiała...

Rozkład zajęć przypięty do wiszącej w jej pokoju w Chalkbank tablicy wypełniony był po same brzegi, łącznie z marginesami. Zajętą miała każdą minutę każdego dnia, a jednak im więcej robiła, tym więcej jakby pozostawało jej do zrobienia.

Wkładała właśnie do segregatora notki z przyczyn wybuchu pierwszej wojny światowej, gdy spostrzegła, że stoi nad nią pan Miles.

— Spotkanie odbędzie się w sali sześć A, Ann.

Chodziło o spotkanie w sprawie koncertu bożonarodzeniowego.

— Wciąż pan się tym zajmuje?

— Tak.

— To dobrze — rzekła uradowana, zatraskując kółka segregatora.

Dopiero wtedy zauważyła, że jest zły, stoi nad nią z dłońmi wciśniętymi w kieszenie, kciukami ze złości wygiętymi na zewnątrz. Z miejsca założyła, że to przez ten wiersz albo przez kartkę z kondolencjami, jaką mu wysłała.

— Przykro mi z powodu wiersza... — zaczęła.

Zdawał się jej nie słyszeć.

— Dzwonił do mnie inspektor Gates — rzekł. — Widziałas się z nim wczoraj.

— Tak.

— Po co?

Patrzyła na niego z dołu, zdumiona gniewem w jego głosie,

— Pytał mnie...

— O co cię pytał?

— Co robiłam koło pańskiego domu... gdy przechodziłam tamtędy z Lawrence'em...

- A niby czemu nie mogłaś tam być?
- Bo to taki zbieg okoliczności... z tym, co stało się tamtym razem...
- Czy to wszystko?

Wyjął ręce z kieszeni i pochylił się nad nią mocno zainteresowany. Nigdy przedtem nie patrzył w ten sposób, przez co skuliła się instynktownie i odsunęła.

- Tak. To wszystko.
- Przepraszam, przepraszam. Bardzo mnie to wyprowadza z równowagi, gdy wciąż zadają mi te bezsensowne pytania, które donikąd ich nie prowadzą...

Odwrócił się. Gdy rozmawiali, podeszła Linda i stanęła jeden stolik dalej.

- Nie przeszkadzam?
- Nie, nie, Lindo... Spotkanie jest w sześć A.
- Już mi pan mówił — rzekła Linda.
- Ach... mówiłem...?

Lekko puknął się dłonią w głowę.

Znacznie normalniej zachowywał się podczas tego spotkania, gdzie mnóstwo wesołości towarzyszyło skeczowi, w którym Jezus powraca na ziemię, by znaleźć się na lekcji religioznawstwa. Gdy zabrzmiał dzwonek, obwieszczając koniec zajęć popołudniowych, Ann, wciąż sama nie wiedząc czemu, przeżywała rozmowę w bibliotece i wiersz, więc poszła poszukać Mileasa, lecz najwyraźniej spięty po pierwszym dniu z powrotem w pracy, pojechał już do domu. Postanowiła zrobić to samo. Zauważyła delikatną poświatę wokół lamp na korytarzu, co było pierwszą oznaką zbliżającej się migreny, do której dochodziło potem rozszczępanie dźwięków, tak że odgłosowi każdego kroku towarzyszyło jego własne echo.

Niekiedy migrena atakowała ją stadnie, zaś czasami nie dawała o sobie znać przez cały tydzień, a nawet dwa. W tych przerwach łatwo jej było myśleć, że doktor Collins miał rację. Przemęczenie przyprawiło ją o ból głowy, a ten wywołał zaniki pamięci. Proste. Nie usiłowała nawet wytłumaczyć sobie pierwszej wersji listu napisanego do Mileasa po morderstwie, a potem podartego na kawałki. Były to obrzydliwe, zenujące bzdury, jak miłosne wyznanie czternastolatki. Nie potrafiła też wyjaśnić samego charakteru pisma. Były jeszcze inne dziwne rzeczy, jak na przykład błyszcząca czerwona pomadka, którą znalazła w torbie; nie miała pojęcia, skąd się tam wzięła.

Linda złapała ją, gdy wychodziła przez bramę. Dobrze jej było z wiatrem wiejącym w dzikich porywach, niosącym zapach wzgórz. Chciała weń wejść, unosząc głowę, dopóki by jej nie ulżyło. Gdybyż mogła to zrobić, pójść w spokoju do domu, poczułaby się lepiej. Ale Lindzie zachciało się gadać.

— O co tam chodziło?

— Gdzie?

— W bibliotece. Ty i Miles.

— Nie wiem. Był naprawdę dziwny.

Linda posłała jej zaciekawione spojrzenie. Ann poczuła chwilowe zatrzymanie tętna w głowie i przyspieszyła, gdy okrążyła zagajnik, kierując się w stronę mostu. Mimo wszelkich wysiłków, Linda wciąż tyła na potęgę i miała beznadziejną kondycję. Zaczęła dyszeć ciężko, czując się urażona.

— Coś między wami jest, prawda?

Ledwo zmusiła się do zaprzeczenia ruchem głowy. Tak oto rodziły się plotki, z zupełnie niewinnych rozmów, takich jak ta. Linda, podobnie jak inne dziewczyny, była zwyczajnie zazdrosna o uwagę, jaką jej poświęcał — aleje także by zauważył, gdyby ciężiej pracowały.

— Jest coś? — nalegała Linda, usiłując dotrzymać jej kroku.

Stanęła.

— Mówisz jak...

Znajdowały się przy moście, gdzie mniejsze gałązki złamane przez wiatr leżały pośród nawianych liści albo zwisały z drzew ponad ich głowami, wystając z ciemnego masywu zagajnika.

— Jak kto? — naciskała Linda.

Miała zamiar powiedzieć: Gates. W tej samej chwili miała ochotę powiedzieć Lindzie o wizycie u inspektora i jednocześnie zapragnęła od niej uciec. Czuli się, jakby jej migrena była częścią tego wszystkiego, częścią wiatru, częścią zagajnika gotową złamać ją tak, jak wiatr łamał gałęzie drzew.

— Słuchaj, Ann... — Linda wzięła do ręki patyk, przełamała go i wrzuciła jego kawałki do rzeki. — Czy ja śmierdę, czy co?

Ann z ulgą podchwyciła żart.

— Nie bardziej niż zwykle.

— To o co chodzi?

Głowa zaczynała jej pulsować od bólu.

— O nic.

Linda złamała kolejny patyk i wybuchła:

— Och, Ann, jestem z ciebie taka dumna, sama wiesz, i wcale nie jestem zazdrosna, ale zmieniłaś się.

— Co za błyskotliwa uwaga.

— Och, nie nabijaj się!

— Nie nabijam się!

— Właśnie, że tak.

Pulsowanie dokuczało jej coraz bardziej.

— Przepraszam.

— Wciąż jesteśmy przyjaciółkami, prawda?

Ledwo zdołała potaknąć, zaś Linda, nie przekonana, spytała wprost: — Nudzę cię?

Było tak jak z wierszem, który sam z niej popłynął, czy z otwarciem drzwi samochodu, gdy z Lawrence'em jechała z komisariatu. W ciągu ostatnich dwóch dni wszyscy jakby się na nią uwzięli: Gates, Lawrence, Miles, a teraz Linda.

Linda gapiała się na nią, czekając na odpowiedź. Nadjechał samochód, a wokół jego reflektorów zamigotała tęczowa poświata. Ann odwróciła się od światła.

— Jeśli tak, to powiedz mi to — mówiła Linda.

— Tak! — wykrzyknęła Ann. — Nudzisz mnie jak cholera!

Linda stała przez moment jak sparaliżowana w świetle lamp innego nadjeżdżającego samochodu, po czym odwróciła się i odeszła w stronę wioski. Ann pobiegła za nią. Światła oślepiły ją i, zdezorientowana, stanęła na drodze pojazdu. Miała ułamek sekundy, by uciec, lecz światła zdawały się rosnąć, hipnotyzować ją, wciągać w siebie. Zapiszczały hamulce i samochód skręcił gwałtownie, po czym stanął, zahaczając ją zderzakiem. Upadła na kolana, bardziej w szoku niżli poturbowana. Linda podbiegła z powrotem, a kierowca wysiadł i pomagał jej wstać, podnosząc z ziemi czapkę.

— Nic ci się nie stało?... Chciałaś się zabić? Gdybym nie dał dziś podpreparować hamulców...!

Zaproponował, że je podwiezie, ale Ann odmówiła. W stronę wioski ruszyły dopiero po tym, jak postąpiła na moście, trzymając się balustrady.

— Co się dzieje, Ann?

— Boję się...

Linda przytrzymała ją: — No, chodź...

Przylgnęła do przyjaciółki. Czym innym było stać jak sparaliżowany królik w świetle reflektorów, a zupełnie czym innym ruszyć prosto na nie. Czyż kierowca nie powiedział: „Chciałaś się zabić?”

Przeszedł ją potężny dreszcz.

— No, to tobą naprawdę wstrząsnęło, co? Chodź.

Gdy szły w stronę wioski, Ann odezwała się: — Ja nie krzyczałam na ciebie, Linda.

— Nikogo innego na moście nie widziałam.

Ścisnęła ją za ramię.

— Linda, ja nie wiem, co się ze mną dzieje... Boję się... To niemożliwe, niemożliwe, ale ja... — plotła bez ładu.

Linda zabrała ją do „Kettle” i zamówiła herbatę. Choć raz to ona nad wszystkim panowała, nie Ann. Znalazła stolik przy oknie, od którego właśnie ktoś odszedł.

— Masz ochotę na opiekaną bułkę z rodzynkami?... Z dodatkową porcją masła i dżemem truskawkowym — zwróciła się do kelnerki, nim Ann zdążyła odpowiedzieć.

Wciąż było jej zimno i miała dreszcze.

— Nie miałam na myśli tego, co mówiłam — wymamrotała.

— Och, nie bądź niemądra. Wiem, że nie.

Usiłowała znaleźć odpowiednie słowa.

— Czasami... nie wiem, co się ze mną dzieje...

— I co w tym nowego? Zawsze taka byłaś.

— Naprawdę?

Dziwne, ale pochylała się nad stołem w stronę przyjaciółki, pytając, jaka jest i była, jakby od tego zależało jej życie.

— Jasne, głupolu! — odparła wesoło Linda. — Pamiętasz, jak w Stoke Prior...?

Kelnerka przyniosła bułeczki pachnące cynamonem i skąpane w maśle. Lindzie rozbłysły oczy.

— Dobrze na szok... Za dużo ostatnio pracujesz... — orzekła.

Całkiem jak lekarz.

Zaraz po tym śmiały się obie i żartowały jak za dawnych czasów, z masłem błyszczącym wokół ust. Głowa wciąż ją bolała, ale ból już się nie nasilał. Może nawet obejdzie się bez tabletki. Widziała teraz wszystko z innej perspektywy.

Chciałaś się zabić! Kierowca wypowiedział tylko zwykłą, powszechną w tych okolicznościach uwagę. Sparaliżowało ją na widok jadącego wprost na nią samochodu, ot i wszystko.

— Wciąż dostrzegam objawy szoku — rzekła Linda. — Zamówię po jeszcze jednej bułce...

Nie bawiła się tak dobrze od wieków. Pan doktor i Linda mieli rację. Nigdzie nie wychodziła, nie robiła nic, tylko harowała. To wszystko przez to. Tak się złożyło, że brat Lindy, ten, który dwa lata wcześniej udawał Milesa, jechał akurat do Stoke Prior. Może wyskoczyłyby na film do tego obskurnego kina, co dawniej? — zaproponowała Linda. Cóż, czemu nie?

— A potem ryba z frytkami na dworcu autobusowym...

Czuła się niesamowicie uradowana, podniecona myślą o tak zwyczajnej rzeczy.

— Patrzę na ciebie, maleńka...

Że też Linda to pamiętała!

— Widziałam go — powiedziała.

— Żartujesz! — rzekła Ann.

— Zgubił swój kapelusz...

— O Boże, nic już nie jest takie samo.

— Poza nami...

— Poza nami, kotku...

Na zewnątrz było ciemno, a u Brandona też już gaszono światła. Kelnerka przekreśliła kartkę z napisem OTWARTE na ZAMKNIĘTE i położyła na stole ich rachunek. Ludzie dopijali ostatnie krople herbaty i brali do rąk zakupy. Od czasu do czasu z brzękiem dzwoneczka otworzyły się drzwi i zimny przeciąg owionął im nogi.

— Dobranoc!

— Dobranoc... Dziękujemy!

W domu Eileen przygotowuje pewnie kolację, na którą ojciec stawi się punktualnie o wpół do siódmej. Czy to nie dzięki niej? Jego romans ciągnął się, dopóki z nim nie porozmawiała, co zadziwiło w takim samym stopniu ją jak i jego; powiedziała mu, jak bardzo martwi się o matkę. Powinien się zdecydować, czy chce odejść, czy zostać. Wszyscy oni chcieli, żeby został, ale musiał coś postanowić.

Być może szukał pretekstu, by zakończyć ten związek — Ann dowiedziała się, że tamta kobieta chciała dziecka, a perspektywa założenia nowej rodziny

przeraziła go. W każdym razie, powiedziawszy jej najpierw, żeby pilnowała własnego cholernego nosa, zakończył tę sprawę. Jeszcze raz pomyślała, jak zadziwiająco wielką moc posiadało dobro — znacznie potężniejszą niż talerz z jajkami na bekonie.

— Z czego się śmiejesz? — spytała Linda.

— Z niczego.

Gdy wkładała do torebki resztę, jej palce natknęły się na szminkę. Nazywała się Fireglow. Odkręciła ją i na grzbiecie dłoni narysowała jaskrawą pomarańczową kreskę.

— Kiedy mi ją zwinęłaś? — rzekła Linda.

— Jest twoja? Musiałam zgarnąć przez pomyłkę, jak...

Wyszły z kawiarenki, trzymając się pod rękę. Na wszystko dało się znaleźć racjonalne wytłumaczenie.

DWADZIEŚCIA DWA

Broszka była w kształcie kwiatu, którego płatki stanowiły małe diamenciki. Miała rzekomo niezwykłą wartość, bo została wykonana przez Agathona, brata Fabergé. Wszystko to nie miało dla Gatesa znaczenia w obliczu faktu, że zidentyfikowano ją jako przedmiot skradziony przez mordercę Laury Travers z domu w Ashminster dwa lata wcześniej.

Znalazło ją wraz z innymi skradzionymi przedmiotami dwóch chłopców bawiących się na Beacon Ridge. Było tam kilka wiktoriańskich medalionów, parę niezbyt cennych rzeczy skradzionych podczas ostatniego włamania do niejakiej panny Wendell, która wciąż pozostawała w szoku, oraz trzy pierścionki, które John Miles rozpoznał jako własność swej zmarłej żony. Jeśli potrzebowali dowodu, by połączyć ze sobą pierwszą serię przestępstw z drugą, to właśnie go znaleźli. Black też tak twierdził. Gates powiedział, że chce zobaczyć, gdzie zostały znalezione.

Beacon Ridge ciągnie się za wzgórzami jak nagłe wzniesienie, olbrzymia kredowa skarpa w kształcie bumerangu, którego jedno ostrze wygina się wzdłuż rzeki Ash osiem kilometrów z boku od niej i sześćdziesiąt metrów w dół. Było późne popołudnie, gdy dotarli do tego grzbietu, parkując na krzemieniach u wjazdu na Greenway.

Przywieźli ze sobą Laurę Waites, matkę jednego z chłopców, Olly'ego, który odkrył znalezisko wraz z kolegą, Lee Fosterem. Obaj mieli po osiem lat, podobne jeże na głowach i biegali w wielkim podnieceniu, ścigając się do tamtego miejsca.

— Czekajcie — krzyknął Black.

Nie odniosło to takiego skutku jak zawołanie pani Waites: — Nie wiecie, kto tam może na was czekać!

Zatrzymali się, natychmiast wróciła im przytomność i rozejrzeli się z przestraszeniem po wysokich bukach, których jasnozielone korony odcinały tę resztę światła, jaką jeszcze pozostawił po sobie dzień. Dalej szli w ciszy, zbaczając ze ścieżki, by zejść pomiędzy cynowej barwy pniakami i jeżynami. Było stromo i przez połowę drogi musieli się ślizgać.

— Nie miałam pojęcia, że w ogóle tu przychodzili! — dyszała pani Waites. — Nigdy nie wiadomo, co strzeli do głowy tym małym gałganom.

Doszli do zagłębienia w ziemi, gdzie gleba uległa erozji, odpadając w grudach i ukazując korzenie drzew. Jedno z nich pochylało się nad zboczem, a do jego gałęzi chłopcy przywiązali wcześniej linę z wielkim węzłem na końcu, w który wsadzili kawałek drewna. Poniżej stało dwóch policjantów pilnujących okolicy zarośli otoczonych policyjną taśmą, która zdawała się błyszczeć w słabym świetle.

Chłopcy pokazali, gdzie znaleźli zakopany skarb, na który napatoczyli się zupełnie przez przypadek. Była to foliowa torba zagrzebana pod jakimiś krzakami w pobliżu pnia drzewa. Jego korzenie zostały odsłonięte przez ostatnie wiatry i nawałnice, które wyplukały część ziemi.

— Spadliście tutaj? — spytał Gates.

— No, z tej liny.

Gates wspiął się z powrotem po zboczach i stanął przy linie. Taśma zdawała się błyszczeć teraz daleko w dole, jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów od niego. Ni stąd, ni zowąd, ku zaskoczeniu wszystkich złapał za linę w górze i poleciał razem z nią ponad stoki, stopami szukając drewnianego klocka.

Chłopcy piszczeły z uciechy, podczas gdy pani Waites patrzyła oburzona. Lina zapiekła Gatesa w dłonie i wylądował z głuchym grzmotem, od którego zapało mu dech, w sporej odległości od taśmy.

Szczerząc zęby w uśmiechach, policjanci pomogli mu wstać.

— Trochę wyszedłem z wprawy — oznajmił.

Pani Waites próbowała uciszyć chłopców, którzy ryczeli ze śmiechu.

— Cisza! Pan inspektor mógł się zranić!

Gates otrzepał się z ziemi i suchych liści.

— Czy to właśnie robiłeś, Olly?

— Nie. Trzeba jeszcze wrócić na linie od tyłu — rzekł, naśmiewając się, Oliver.

— Wtedy spadłeś?

— W życiu! — krzyknął chłopiec z oburzeniem, jakby to była najgorsza obelga. — Skoczyłem, żeby stoczyć się na dół.

— Rozumiem. Więc to normalne — mówił Gates — że staczacie się w te krzaki?

— Małe czorty — wtrąciła pani Waites. — Spróbowałby pan kiedyś doczyścić te ich cholerne ubrania.

Gates nie słuchał. Wrócił do Stoke Prior bardzo zamyślony. Zamyślił się jeszcze bardziej, gdy biegły stwierdził, że część ziemi powbijanej w broszkę i pierścionki miała takie same właściwości jak grunty orne dalej w głębi doliny, a nie skarpa, co mogło oznaczać, że rzeczy te zostały przeniesione. Zanotował sobie w pamięci, by to sprawdzić, ale to zadanie zostało zepchnięte na dalszy plan, gdy w nocy zadzwonił telefon.

— To pewnie nie włamywacz, ale...

Gates, słuchając, patrzył na fluorescencyjny zegarek obok łóżka. Wpół do drugiej. Istotna była nie tylko sama informacja, ale też człowiek, który ją przekazywał. Sierżant Alan był solidny, odpowiedzialny i nie dzwoniłby, gdyby nie uważał, że coś jest warte sprawdzenia, choć tym razem chodziło jedynie o mężczyznę, który próbował uciekać przed policją. I był na motorze.

— Czy odnotowano kolejne włamania?

— Nic poza...

Kilka zgłoszeń wyglądających na sprawkę dzieciaków, którym zachciało się filmów wideo, i jedna kradzież z magazynu, wszystko to na terenie miasta i żaden przypadek nie wyglądał na dzieło człowieka, którego szukali.

— Czy jego nazwisko znajduje się na którejkolwiek z list? Przesłuchiwani podejrzani, pozwolenia na broń i inne spisy.

— Nie.

Miał właśnie powiedzieć Alanowi, żeby zatrzymał go do rana, ale poczuł się już całkiem rozbudzony.

— Już jadę.

Gdy zapinał koszulę, usłyszał Claire schodzącą na dół.

— Nie musisz robić mi herbaty.

Stało się już rutyną, że on to mówił, a ona i tak robiła swoje. Zwyczaj ten wprowadziła jego żona, gdy pierwszy raz wezwano go w nocy — zgon w niewyjaśnionych okolicznościach — a on poczuł się śmiertelnie przerażony, a jednocześnie niezwykle ważny.

— Nie mam czasu na herbatę — powiedział wtedy z irytacją, ale i pewną dumą.

— Docenisz jej działanie, jak znajdziesz się na miejscu — odparła mu wtedy.

Po wszystkich tych latach wciąż słyszał głos Sheili. Claire w ogóle się nie odzywała, wyjmując torebkę herbaty z filizanki, jak gdyby chodziła we śnie z na wpół zamkniętymi oczami. Wsypała cukier i zamieszała. Pił słodzoną jedynie w środku nocy, gdy miał osad na zębach i nieświeże usta. Wziął dwa łyki, wyprowadził samochód z garażu i drżąc, wrócił dokończyć herbatę. Wszystko to stanowiło część procedury, podobnie jak to, co powiedział, gdy ją całował.

— Jak nie wrócę, to zadzwonię do ciebie przed szkołą.

Gdy była młodsza, zostawiał córkę u jej przyjaciółki, a obie dziewczynki cieszyły się i chichotały, uważając to za wspaniałą przygodę. Teraz wiedział, że zaśnie niemal natychmiast, jak tylko zamknie drzwi.

Gdy sierżant zdawał mu sprawozdanie, przy jego łokciu wyrosła kolejna filiżanka herbaty. Nim dzień wstanie, wypije jej całą wannę.

Konstabele Copley i Poulter mieli za zadanie patrolować V4 i V5 — Charborough i Lanston Wychwood, dwie wioski na południe od Ashminster, które stało się centrum operacji. Ukrywając się w pobliżu wjazdu w ślepą uliczkę, gdzie miało miejsce poprzednie włamanie, zakończyli służbę (co pewnie oznaczało, że byli zziębnięci i mieli wszystkiego dość) i posuwali się w nie oznakowanym wozie do Lanston Wychwood. Copley, bystrzejszy z dwójki policjantów, zaledwie dwudziestoletni i wciąż jeszcze niezmiennie żarliwy, dostrzegł nagły błysk czerwonego światła w lesie, który mijali.

Gdy się cofnęli, niczego nie zobaczyli i Poulter stwierdził, że to pewnie oczy jakiegoś zwierzęcia. Copley wyłączył światła samochodu i zgasił silnik. Wszedłszy w głąb lasu, zauważył nikły cień. Miał już wrócić do kolegi, gdy usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Ktoś lub coś przemykało pomiędzy drzewami. Włączył latarkę. Mężczyzna, bardzo szeroki w barkach, o gęstych czarnych włosach, umknął

z kręgu jej światła. Copley krzyknął, że jest policjantem, i pobiegł za nim z Poulterem za swoimi plecami. Przez jakiś czas zdawało im się, że już prawie go mają, lecz wtedy mężczyzna przyspieszył, poruszając się z niesamowitą prędkością w ciemnościach, między krzakami jeżyn i korzeniami drzew, o które potykali się rozłoższczeni, zasapani policjanci, przeklinając, bojąc się spotkania z uciekinierem, gdy już uda im się go dopaść, a jeszcze bardziej drwin, jakich przedmiotem się staną, jeśli go zgubią.

Niska niewidoczna gałąź uderzyła Copleya w twarz, przez co prawie stanął jak wryty, a z zadry popłynęła krew. Nie wiedzieć czemu, to uderzenie przywróciło mu trzeźwość myślenia. Zdał sobie sprawę, że mężczyzna, którego już prawie nie słyszał, poruszał się po wielkim łuku, nie tyle uciekając przed siebie, co wracając do punktu wyjścia. Jakiś starszy, bardziej ślamazarny policjant nie zrobiłby tego, ale Copley już przedzierał się przez targające mu spodnie jeżyny, gdy doszedł go odgłos uruchamianego motocykla, którego tylną lampę udało mu się wcześniej zauważyć. Zdołał oświetlić latarką tył motoru wyjeżdżającego z lasu na drogę.

— C... 60, VE na końcu — podał przez radio. — Chyba honda.

W zwyczajną noc na pewno by go nie złapali. Jednak przygotowania Gatesa opłaciły się. Okolice patrolowały nie tylko samochody, ale i funkcjonariusze na motorach. Dwóch z nich dopadło go, akurat gdy zjeżdżał z trasy Lanston-Ashminster na drogę prowadzącą na wzgórze.

Mężczyzna podał się za Michaela Deana. Był barczysty i niewysoki — nie więcej niż metr siedemdziesiąt. Błady. Dwadzieścia osiem lat. Ubrany był w szary sweter pod szyję i dość drogą, dobrej jakości skórzaną kurtkę. Włosy miał czarne, przylizane przy pomocy pianki do przodu tak, by zakryć brązową szramę. Miał także wielkie pooperacyjne blizny na nadgarstku i karku, których dorobił się po wypadku przed dwoma laty.

Najgorszy w tego rodzaju przesłuchaniach był początek, kiedy to trzeba było pozbyć się wszelkich domniemań, od tych dotyczących tożsamości aż po wygląd zewnętrzny. Gates stworzył sobie tak wyraźny obraz, że pomyślał, iż to niemożliwe, by był to człowiek, którego szukali.

Był zbyt opanowany, zbyt pewny siebie — na pewno nie typ samotnika. Było w nim coś z dekadenta. Ziemista cera z pewnością nie pozwalała się domyślać, że mógł mieszkać na wsi czy polować. W głosie wskazującym na przynależność

do klasy średniej brzmiała mieszanina oburzenia i lęku.

— Pan jest inspektorem... dzięki Bogu!... Może pan powiedzieć tym ludziom, żeby mnie wypuścili?

— Czemu pan uciekał?

— Myślałem, że mnie ktoś atakuje.

— Mówili panu przecież, że są z policji.

— Nie słyszałem.

Gates popatrzył na raport z postępowania.

— Jeden z funkcjonariuszy krzyczał kilka razy.

— Nie słyszałem ich! Oni zwyczajnie rzucili się za mną! Bałem się jak cholera! Słyszałem tylko, że coś krzyczą! Ale nie rozumiałem słów!

— Proszę usiąść.

Dean wrócił do krzesła, lekko powłócząc nogami.

— Nie możecie mnie tu trzymać!

— Czemu próbował pan uciekać przed policjantami na motorach?

— Nie próbowałem!

Gates popatrzył na sierżanta Alana.

— Usiłował pan przejechać przez wzgórza — rzekł Alan.

— Zjechałem z drogi, żeby się zatrzymać! Stałem, jak tylko usłyszałem syreny! Niech ich pan sam spyta! Ucieszyłem się na ich widok! Powiedziałem, że zostałem zaatakowany!

Bez wątplenia była w jego wypowiedzi niespójność, jak to u oburzonego, uczciwego obywatela zatrzymanego w środku nocy przez policję bez żadnego powodu i przyprawionego do pokoju, gdzie nie stało nic poza stołem oznaczonym tysiącami śladów po kubkach, który — Gates mógłby przysiąc — pochodził z pierwszego komisariatu, gdzie wcześniej pracował, w Reading.

— Co pan robił w lesie?

— Jak już pan musi wiedzieć, to poszedłem się wysrać.

— Nie miał pan opuszczonych spodni.

— Chyba pan żartuje!... Te skurwysyny nie pozwoliły mi nawet rozpiąć paska!

Policjanci parsknęli śmiechem. Nawet sam Dean wyszczerzył zęby.

— No, naprawdę... skoro człowiek nie może się w spokoju... — Usiadł przy stole i wyciągnął papierosa. — Mogę...?

— Proszę bardzo.

Gates skinął na Blacka i Alana i poprowadził ich korytarzem do swojego pokoju.

— Gdzie on mieszka?

— W Hickley.

Wioska na zachód od Stoke Prior, obecnie praktycznie już przezeń wchłonięta.

— Mam zdobyć nakaz rewizji w jego domu? — Black jak zwykle był w gorącej wodzie kąpany.

— Jaki sędzia urządzuje?

— Tremlett.

— Nawet nie próbuj.

Ogrzewanie w kancelarii Gatesa włączało się o określonej porze, więc wszyscy trzej kręcili się wokół, wpychając z zimna ręce do kieszeni. Przez szare zaparowane okna inspektor widział cichy, nieoświetlony zarys centrum handlowego. Pojedynczy samochód przejechał obok i został połknięty przez tunel.

— Czy sprawdzono domy w okolicy?

— Żadnych śladów... żadnych raportów...

— Może dlatego, że nie miał szansy wziąć się za robotę.

— Może.

Black zapalił papierosa. Gates nie lubił, jak palił w jego pokoju, i Black o tym wiedział, ale w nocy jakoś tak obowiązywały specyficzne zasady.

— Nie znaleziono przy nim żadnych narzędzi?

— Nie — odparł Alan. — Wciąż przeszukują teren. Copley mówi, że kręcą się w pobliżu miejsca, z którego odjechał Dean.

— Nie jest notowany?

— Nie.

Twarz Blacka była niemal żółta od zmęczenia. Poprzedniego wieczora świętował czyjs awans i pewnie wyciągnięto go z łóżka zaraz po tym, jak się do niego położył.

— Wiecie, co ja myślę? — rzekł. — Myślę, że naprawdę chciał się tylko w spokoju wysrać.

— Najprawdopodobniej.

Gates otworzył drzwi, po czym zatrzymał się i zwrócił do Alana:

— Połączcie mnie z Copleyem.

Z radia z trzaskiem popłynęła odpowiedź na jego pytanie.

- Motor znajdował się pięć metrów od drogi, panie inspektorze. Gatesa zaskoczyła ta dokładność.
- Jesteś pewien?
- Zmierzyłem tę odległość. Po śladach opon.
- Czy była to jakaś polanka?
- Polanka...?
- Chodzi mi o to, czy gdyby faceta przypiliło, czy było to jakieś oczywiste miejsce, gdzie można się zatrzymać, wjechać...?
- Nie, panie inspektorze. To było za drzewami i krzakami.
- Niewidoczne z drogi?
- Cóż... prawie go minąłem...
- Dobra robota...
- Dziękuję, panie inspektorze.
- Chwileczkę, Copley!... Jak udało ci się dostrzec lampę, skoro motor znajdował się pięć metrów od drogi?

Copley nie zawahał się nawet przez sekundę.

- Światła naszego wozu pochwytyły go na łuku drogi. Naprawdę fuksem!

Gates wyłączył odbiornik. Fuksy przydarzały się tylko dobrym obserwatorom. Zapamięta sobie Copleya. I znowu, liczyła się nie tylko sama informacja, ale i człowiek, od którego pochodziła, oraz sposób, w jaki została przekazana. Copley uważał, że Dean ukrywał motocykl, i Gates mu wierzył. To był jedyny powód, dla którego zdecydował się ciągnąć to dalej, poza faktem, że motor pasował do całego schematu — korzystanie z polnych dróg na wzgórzach wyjaśniłoby, dlaczego znikął po każdym włamaniu i nigdy nie został złapany przez żaden z patroli drogowych. A do tego, czy ta dziewczyna nie mówiła, że słyszała motor? Prawie o tym zapomniał.

Gdy Gates wrócił, Dean siedział zrelaksowany i popijał herbatę w nastroju niemal żartobliwym, najwyraźniej oczekując, że zostanie zwolniony. Głos Gatesa jak i jego twarz pozostały bez wyrazu.

- Chciałbym zadać panu jeszcze parę pytań, panie Dean... Może pan wykonać jeden telefon i poprosić o obecność adwokata.

— To śmieszne! — Z ust Deana wylała się herbata. — Chce mnie pan przesłuchać w sprawie jakiegoś cholernego srania...?

- Mieliliśmy w okolicy serię włamań i trzy morderstwa...

W świetle pojedynczej żarówki twarz Deana miała teraz barwę brudnożółtą. Dosłownie zatoczył się i oparł ręką o ścianę, żeby się nie przewrócić.

— Chyba mnie pan o nie nie podejrzewa?

— Chcę tylko wiedzieć, co pan wtedy robił i dlaczego uciekał pan przed policją.

— Mówiłem już!

Krzyczał, zbliżając się z zaciśniętymi pięściami do Gatesa, który stał w miejscu, ani drgnąwszy.

— Chce pan, żebym to zrobił, co? Chce pan, żebym go uderzył!

— Proszę poinformować pana Deana o jego prawach, sierzancie.

Alan był równie niewzruszony jak Gates.

— Jeśli chce pan zadzwonić, muszę zaprowadzić pana do telefonu...

Gates przyglądał się, jak dzwoni, z drugiego końca pokoju. Dean mieszkał sam z matką, sześćdziesięcioletnią wdową. Gates wyobraził sobie jej przerażenie i zagubienie i poczuł się nieswojo, zdenerwował się.

Zdenerwował się jeszcze bardziej, gdy Dean skontaktował się ze swoim adwokatem. A dobił go fakt, że korzystał z usług kancelarii Morgan i Stewart. Nie było w tym nic dziwnego, skoro mieli oni jedną z najważniejszych praktyk zajmujących się sprawami kryminalnymi w dolinie. Zdziwiło go jednak to, że Liz Stewart zerwała się z łóżka, żeby go reprezentować.

— Nie wiedziałam, że ty tu będziesz.

— Chcesz się wycofać?

— Nie teraz, jak już tu jestem, *inspektorze*. Chyba że masz coś przeciwko temu?

— Nie mam.

Byli chłodni, oficjalni i aż do przesady uprzejmi. Liz miała na sobie sweter w czerwone i zielone zygzaki oraz dżinsy, które — ta myśl nie dawała mu spokoju — pewnie naciągnęła na spodnie od piżamy. Wyglądała na dwa razy bardziej wypoczętą od niego. A po rozmowie z klientem wróciła dwa razy bardziej agresywna.

— O co tu, do diabła, chodzi, Richardzie?

Przynajmniej przestała nazywać go inspektorem.

— Uważasz go za mordercę?

— Tego nie powiedziałem.

— Więc po co go tu trzymasz?

— Podejrzanie się zachowywał...
— Bo chciał się wysrać?... O co zamierzasz go oskarżyć?...
— O włóczenie się z zamiarem... — Brzmiało to beznadziejnie, a ona ze znużeniem machnęła ręką. — Był na otoczonym terenie... Las jest własnością prywatną... przylega do tyłów domostw...

— Czy miał przy sobie narzędzie, które mogłoby posłużyć do włamania?
— Zestaw narzędzi potrzebnych przy motocyklu...
— Daj spokój!

Wstała. I dodała:

— Musi być coś, czego mi nie mówisz.

Bo było. Coś jeszcze bardziej beznadziejnego. Nieuchwytnego. Tak nieuchwytnego, że w obliczu jej mocno stojącego na ziemi zdrowego rozsądku to coś praktycznie znikło, a on miał już zamiar zakończyć sprawę.

Musiała wyczuć jego nastrój, bo powiedziała:

— Jeśli niczego takiego nie ma, uważam, że powinieneś go zwolnić albo...

Nie dokończyła i pozwoliła niejasnej groźbie zawisnąć między nimi. Wciąż był wytracony z równowagi tym spotkaniem i jego umysł nie funkcjonował prawidłowo, nie zadał więc najbardziej oczywistego pytania. Była już przy drzwiach, gdy to wreszcie zrobił.

— Czemu po ciebie zadzwonił?
— Specjalizuję się w sprawach karnych.
— Reprezentowałaś go już kiedyś?

Czyżby po raz pierwszy poczuła odrobinę niepokoju?

— Tak.

— W sprawie o przestępstwo?

— Nie.

— A w jakiej?

— Nie jest notowany. To nie ma związku z tym zajściem.

— Mieliśmy tu trzy morderstwa, Liz.

— On jest moim klientem. Nie mam go tu oskarżać, tylko... Musisz mieć na niego coś jeszcze, żeby to ciągnąć...

Powiedział jej ze szczegółami o swym niejasnym i nieuchwytnym przeczuciu. Na dworze niebo niepostrzeżenie przybrało odcień ciemnej szarości, a światło latarni stało się bardziej miękkie i słabe.

— Miał się stawić w sądzie — rzekła.

- Mów dalej.
- To było wtedy, gdy Renshaw...
- Ten farmer?

— Tak. Gdy sprzedał swoją ziemię konsorcjum myśliwskiemu, Dean nie mógł już tam dłużej polować...

Gates odwrócił się od okna ze zmarszczonym czołem. — Ma pozwolenie na broń?

— Miał. Wielokrotnie wdawał się w awantury z Batesem, nowym właścicielem ziemi...

- Odebrano mu licencję?
- Tak.

Przypominał sobie teraz, bardzo niewyraźnie, i pluł sobie w brodę, że nie pamiętał tego wcześniej. Poczł przyływ energii i wbrew wszystkiemu miał wielką nadzieję, że pamięć go tym razem nie zwodzi.

- To było dwa lata temu?
- Trochę więcej, ale nie rozumiem, dokąd ma to nas zaprowadzić.
- Ja też nie — odparł Gates. — Ale włamania i pierwsze morderstwo miały miejsce właśnie dwa lata temu...

Stał się bardziej urzędowy, gdy dodał:

- Zamierzam ponownie przesłuchać pana Deana.
- Teraz?
- Teraz. Chcesz być przy tym obecna?

Spodziewał się, że będzie to długa, bardzo długa procedura, ale nie czuł już zmęczenia.

Pierwsze przesłuchania przyniosły mizerne rezultaty. Same podstawowe informacje. Dean był asystentem w laboratorium, pracował na zmiany w wielkiej fabryce farmaceutycznej. Godziny pracy i zwyczaje pasowały do schematu włamań i morderstw. Ale skórzana kurtka, która, jak twierdził, miała trzy lata, nie była noszona przez zabójcę Jackie Newton. Znalazł się też świadek, który potwierdził, że w chwili zabójstwa Valerie Miles grał z nim w bilard w Charborough.

Gates prawie nie widywał się z córką, a gdy już rozmawiali, to głównie przez telefon.

- Co powiesz na baranię na niedzielny lunch?
- Nie tknąłem jeszcze sobotniego śniadania.

Black dzwonił do swojej dziewczyny, czy raczej jednej z nich.

— To zależy od kolegów, nie wiem, czy mi się uda... Oczywiście, że jestem na komisariacie. Chcesz do mnie oddzwonić?

Gates ogolił się starą maszynką, którą trzymał w szufladzie i do której wciąż miał zamiar kupić nowe nożyki. Tamując krew w miejscu, gdzie się zaciął, odezwał się do Blacka:

— Jak już uporządkujesz swoje życie miłosne, możesz zadzwonić do Winterbourne'a?

— Niepotrzebna nam jeszcze jego zgoda.

— Ostrzeż go, że możemy jej potrzebować...

Winterbourne był sędzią sądu policyjnego. Mogli trzymać Deana, nie stawiając mu konkretnych zarzutów, przez dwadzieścia cztery godziny, a potem jeszcze przez dwanaście za zgodą nadinspektora. Później wszystko zależało od sądu policyjnego.

W pokoju przesłuchań panował zaduch po wypalonych nocą papierosach i następowały długie chwile ciszy, które wypełniał jedynie szum magnetofonu. Dean na wpół spał, trzymając w palcach zapalonego papierosa, ale nie zaciągając się. W nocy przerobili włamania i morderstwa. Teraz znajdowali się na innym etapie, podczas którego Gates prowadził pozornie jałowy, pokrętny dialog.

— Jeździ pan na Cart Track?

Była to część Greenway, gdzie zazwyczaj motocykliści sprawiali wiele problemów.

Dean z początku przysłuchiwał się każdemu pytaniu, jakby było w nim jakieś ukryte znaczenie, ale powoli się rozluźnił. Patrzył na Gatesa z pogardą.

— Są jeszcze inne drogi.

— Jakie?

Powoli, powoli kształtował się obraz samotnika mieszkającego z matką, którego pasją było polowanie, który znał każdą dróżkę prowadzącą z Greenway do poszczególnych wiosek, który najpierw utracił swój teren polowań, a potem strzelbę. Jeśli Gates wydawał się mu współczuć, to dlatego, że naprawdę mu współczuł. Nie osądzał, usiłował tylko zrozumieć, siedział tam długimi godzinami między przerwami na odpoczynek i przerwami na posiłek, wchodził w skórę siedzącego przed nim mężczyzny, mówiącego gniewnie i nerwowo o tym, co się stało z jego wioską, wchłoniętą przez nowe miasteczko, co się stało z okolicą, zajęłą przez dojeżdżających do pracy w mieście...

Wszystko było takie oczywiste, gdy się na to spojrzano... bo większość celów stanowiły bogate domy i zdawało się, że to zwykle kradzieże, ale...

Nie było w tym żadnej logiki, lecz tu właśnie tkwił błąd, jeśli próbowało się na to patrzeć z perspektywy logiki normalnej osoby. Siedząc tam, wchodząc niejako w głowę Deana, dostrzegał *jego* logikę: został obrabowany, więc sam zaczął rabować. Ta sprawa zawsze była bardziej złożona, stanowiła coś więcej niż tylko zwykłe włamanie i w zasadzie musiała ostatecznie zakończyć się morderstwem. Ofiary zawsze były nowymi przybyszami spoza doliny. Czyż nie zaczęło się u Renshawa, od aktu zemsty, który pewnie miał być jednorazowym wyczynem i tylko tyle, ale potem przyszedł następny i jeszcze jeden... Zabronili mu polować na swoim terenie, więc zaczął polować na nich samych.

Czy oni nie mieli ze sobą czegoś wspólnego, on i Dean? Obaj byli myśliwymi i znali związek między polującym i zwierzyną, związek polegający na czekaniu, cierpliwości, czujności, dystansie, a potem narastającej hipnozie przed ostatecznym spotkaniem we dwójkę. Jeśli do takowego doszło. Bo obaj znali złudzenia, jakimi karmiła ich nadzieja, i zmęczenie, i powrót do domu z pustymi rękami. Wciąż nie było dowodów. Niczego, co by wystarczyło. Niczego.

- Co się stało z pańską nogą?
- Wypadek na motorze.
- Jak długo był pan na zwolnieniu?
- Dziewięć miesięcy.

To by wyjaśniało przerwę w serii włamań. Była to dla policjanta najbardziej frustrująca sytuacja: jawił się przed nim idealnie pasujący obraz, a on nie miał w ręku żadnych faktów. Czy Dean nie był tego świadomy? Czy nie był gotów namalować mu tego obrazu, bo wiedział, że Gates nie będzie miał się czego ucześcić, tak jak lis gotów jest pociągnąć za sobą sforę psów, bo wie, że niedaleko jest strumień?

Gdy wrócił do swojego pokoju, odkrył, że o wszystkim dowiedziała się prasa. Nie sposób było utrzymać tego rodzaju dochodzenia w tajemnicy:, zawsze znalazł się przynajmniej jeden policjant przyjmujący „kieszonkowe” od jakiegoś dziennikarza. Biuro prasowe odbierało większość telefonów, odpowiadając, że owszem, ktoś pomaga policji, tak jak robiło to wiele innych osób...

Niektórzy reporterzy znali jego bezpośredni numer i z tymi zmagał się Black.

— Mówi Johnson...

Johnson był z „Gazette”, lokalnej popołudniówki obejmującej swym zasięgiem dolinę. Z nim rozmawiało się łatwiej niż z tymi z ogólnokrajowych, bo obaj zmuszeni byli ufać sobie nawzajem, gdyż każdy mógł bardzo utrudnić pracę temu drugiemu.

— Macie coś, Dick...?

— Na razie nic szczególnego...

— Trzymacie go od dwudziestu godzin...

Tego dowiedział się od informatora z komisariatu.

— Doprawdy...?

— Ubiegacie się o przedłużenie aresztu?

Retoryczne pytanie, skoro reporter znał już odpowiedź, przekupiwszy kogoś także w sądzie policyjnym.

— Wiesz chyba więcej ode mnie, Ted.

— Nie byłby to pierwszy raz...

— Posłuchaj... — zaczął Gates i natychmiast urwał.

— Tak?

— Mogę do ciebie oddzwonić?

— Wolałbym zaczekać.

Johnson był dobrym dziennikarzem, tak jak Copley i Alan byli dobrymi gli-nami: natychmiast wyczuł zmianę tonu w głosie Gatesa, tak jak wędkarz natychmiast dostrzeże choćby minimalne drgnięcie spławika.

Gates rzucił słuchawkę na stertę papierów, jaka zgromadziła się na biurku podczas przesłuchań. Popatrzył na Blacka i zadał mu zupełnie nieoczekiwane pytanie:

— Masz papierosa?

Black zamrugał, a potem podsunął mu paczkę. Gates nie palił od dziesięciu lat. Dokładnie pamiętał, bo rzucił papierosa, gdy Claire poszła do szkoły i dołączyła do Sheili i jej antynikotynowej kampanii przeciwko niemu. Wypuścił smugę dymu, jakby tej przerwy nie było.

— O co chodzi? — spytał Black. — Co zamierzasz...?

— Nie chcę, żebyś się w to mieszał — odparł Gates.

— W co?

— Wyjdź, dobrze?

Black poszedł sobie. Słuchawka na stercie papierów kwiczała.

— Jestem tu, jestem...

Gates rzucił słuchawkę z powrotem, nim dziennikarz zdążył zareagować, i stanął przy oknie, gapiąc się na zewnątrz. Był przekonany, że Dean to Jenner, jak nazwała go ta niesamowita dziewczyna, ale nie istniał zarzut, który miałby szansę wystarczyć, by zatrzymać go na dłużej. Popatrzył na raport z zatrzymania. Dostawali Deana krótko po jedenastej. Jeśli Gates się nie mylił, był właśnie w drodze na miejsce przestępstwa albo z takowego wracał. Musiał skupić się na założeniu, że coś zwędził albo próbował zwędzić, mimo że nie znaleziono niczego ani przy nim, ani w okolicy. Większość przestępstw popełniono między dziewiętnastą a dwudziestą trzecią. Popatrzył na mapę doliny rozwieszoną na ścianie. Jeśli miał rację... Podniósł słuchawkę.

— Ted, tej rozmowy nie było...

Gdy mówił dalej, słyszał szelest przewracanych kartek z notatnika Johnsona.

— Na jakiej drodze...? Wiem...

Rozłączywszy się uświadomił sobie, jak ohydny smak miał papieros w jego ustach, i zgasił go. Koszula kleiła mu się do pleców.

Spóźnione ostatnie wydanie „Gazette” sprzedało się dwa razy szybciej niż zwykle. Mówiąc w skrócie, nie znalazło się w nim nic ponad to, że jakiś człowiek pomagał policji w dochodzeniu. Znaczenie miał sposób prezentacji wiadomości: wielkość nagłówka, zdjęcie miejsca, gdzie zatrzymano mężczyznę.

Dla policji nie było niczym niezwykłym podanie do publicznej wiadomości informacji o przestępstwie, w nadziei, że zjawią się jacyś świadkowie. Jednak stróżów prawa bodła do żywej sytuacji (pachniało to bezwzględnie przeciwkiem), gdy prasa pisała o przestępstwie, o którego popełnieniu oni sami nie wiedzieli.

Nadinspektor Green złapał Gatesa w domu. Udawało mu się panować nad furrią tylko dzięki złośliwości.

— Naczelnik policji z wielkim zainteresowaniem przeczytał, że Dean jest winny... Pytał mnie, co się, kurwa, znalazło na liście zarzutów...

— Nic.

— Nic!

— Z tego, co wiem...

— Jak znajdę głąba, który to sprzedał...

— Wiesz, kto to sprzedał, Davidzie...

Mimo swych grózb wrzasnął: — Nie mam pierdolonego pojęcia, Dick, i nie chcę wiedzieć!

Wciąż mając w uszach trzask rzucanej słuchawki, Gates odwiózł Claire na koncert szkolnej orkiestry. Musiała słyszeć rozmowę, ale, tak jak robiła to Sheila, przez całą drogę paplała tylko o tym, czy wyłożą się na allegro.

— Przepraszam, że mnie nie będzie — rzekł.

W kółko ta sama śpiewka.

— Nie wygłupiaj się!

Pokazała mu, że wie, co się dzieje, jedynie przez wyjątkowo długi uścisk.

— Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze — powiedziała tylko.

— Nie wyłóż się na allegro — życzył jej.

Na komisariacie huczało. Gdy tylko odkładano słuchawkę, telefon natychmiast dzwonił znowu. W okolicy, o której napisał Johnson, nikt pewnie nie znał spokoju tej nocy. Nerwowe starsze panie słyszały podejrzane dźwięki, znaleziono dwa porzucone samochody, słyszano krzyki, które okazały się rodzinną awanturą, zaniepokojony sąsiad dzwonił, że od kilku dni nie widział sąsiadki. Policjanci wyważyli drzwi i znaleźli starszą kobietę zmarłą na zawał serca.

Po wieczornym posiłku złożonym z kiełbasek, cebuli i puree z ziemniaków, a na deser bułki z dżemem, kremu i kubka herbaty, Dean spał w swojej celi.

Gorsza niż telefon od Greena, znacznie gorsza, była rozmowa z Liz Stewart.

— Nie masz cienia dowodu!... Jest niewinny aż do udowodnienia winy!... To chyba jakieś żarty!... Nie próbuj zdobyć następnego nakazu aresztowania, bo ja go stąd zabieram, Richardzie, i składam oficjalną skargę!

Po jedenastej telefony dzwoniły coraz rzadziej, ale Gates nocował na komisariacie, tak na wszelki wypadek. Rankiem, zaraz po przebudzeniu spotkał się z Alanem, który miał nadzór nad Deanem, i Blackiem, który odkrył, o co go oskarżyć.

— O co?

— O próbę włamania... las jest prywatną własnością, przylega do zabudowań...

— To co najwyżej wkroczenie na prywatny teren...

— To co niby mamy zrobić?

— Wypuścić go.

Black wyglądał, jakby doznał szoku. Podobnie jak prasa i cały komisariat uważał, że Gates musi mieć jakiegoś asa w rękawie, skoro podejmuje takie ryzyko. Ale on nie zyskał na nocach spędzonych na komisariacie nic poza przeziębieniem i tym, co będzie go czekało ze strony nadinspektora Greena.

— Co masz zamiar zrobić?

— Uwierzysz albo nie, ale idę do domu — zwrócił się do Blacka. — Do łóżka.

Na korytarzach panowało poruszenie, gdy szedł po schodach na dół, unikając windy. Gdy przechodził przez dyżurkę, sierżant Richards pozdrowił go z fałszywą radością, która zawsze towarzyszy ogromnemu zmieszaniu.

— Słyszałem, że nasz gość nas opuszcza, czy to prawda, panie inspektorze?

Wszyscy zdawali się o tym wiedzieć w ciągu kilku minut. Spaprał sprawę. Wyszedł na świeże powietrze i przeszedł przez centrum handlowe, gdzie kupił tabletki na gardło, które bolało go coraz bardziej.

Mógłby przysiąc... Jednak głupio postąpił, ryzykując. Był zdesperowany po tak długim czasie, kiedy to próbował znaleźć zabójcę, i dopasował pewne fakty do tego mężczyzny. To niewybaczalne, chociaż mógłby przysiąc...

Gdy wsiadał do samochodu, odezwał się jednocześnie jego pager i radiotelefon: — Mamy zgłoszenie kolejnego włamania... wygląda na robotę tego naszego faceta...

— Gdzie?

— Lanston Wychwood.

Serce w nim stanęło. To pokaże niedowiarkom, że faktycznie chodzi o Deana! Głos ścichł i zamilkł zupełnie. Gates zaklął. Znajdował się na podziemnym parkingu w „martwym punkcie”. Podjechał do barierki i głos raptownie powrócił.

— ...Marton Drive 6...

— Zaczekaj. Nie słyszałem cię. O której nastąpiło włamanie?

— O dwudziestej drugiej.

— *Dwudziestej drugiej!* O dwudziestej drugiej kiedy?

— W piątek.

- Czemu nie zgłoszono tego wcześniej?
- Właściciel domu wyjechał... Sąsiad poszedł sprawdzić, jak przeczytał gazetę, ale nie było żadnych oczywistych śladów włamania. Zadzwoił do nas na wszelki wypadek i...
- Marton Drive 6, mówisz...
- A co z Deanem?
- Boże, prawie zapomniałem! Wypuściliście go?
- Odbiera rzeczy z depozytu.
- Zatrzymajcie go!... Wystąpcie o nakaz sądowy...

Gates zorganizował kolejne poszukiwanie, idąc tropem, jakim mógł się udać Dean, uciekając od Copleya i Poultera aż do miejsca, gdzie został złapany przez policjantów na motorach. Tuż przed zapadnięciem zmroku, mniej więcej kwadrans przed piątą, znaleźli w zaroślach zawiniątko z pieniędzmi, biżuterią i kilkoma srebrnymi ramkami na zdjęcia. Ponieważ musiał uciekać, widocznie nie był w stanie zadziałać ze zwykłą sobie ostrożnością. Na kilku skradzionych przedmiotach znajdowały się wyraźne odciski kciuka i palca wskazującego należące do Michaela Deana.

O pierwszej w nocy zaczął mówić. Z początku przyznał się do włamań, zaprzeczając morderstwom, lecz później, gdy za oknami zrobiło się jaśniej i zaczęły dochodzić odgłosy poniedziałkowego ruchu, zgodził się złożyć zeznanie w sprawie pierwszego morderstwa.

Przyznał się do dziewięćdziesięciu sześciu włamań, a zaprzeczył udziałowi w czterdziestu trzech innych. Przyznał się do zamordowania Laury Travers w Ashminster oraz do zgwałcenia i zabicia Jackie Newton w Lynford, jednak zaprzeczył zamordowaniu Valerie Miles.

Cały komisariat ożył. Wszyscy poklepywali Gatesa po plecach, mówiąc, że wiedzieli, że Dean miał to wypisane na czole, że to była tylko kwestia... Dzwonił rzecznik prasowy, dzwonił David Green, ale Gates rozmawiał w tym czasie przez inny telefon z Claire.

- Obudziłem cię?

Było wpół do ósmej.

- Akurat wstawałam.

Musiała poznać po podnieceniu w jego głosie, ale on nie był przygotowany, nawet po wszystkich tych latach, na jej reakcję.

- Przyznał się — oznajmił.

Chciała coś powiedzieć, lecz słowa uwięzły jej w gardle i zaniósła się potężnym łzawym szlochem.

— Claire, o co chodzi?

— Och, tatusiu, proszę, przyjedź do domu...

Głupi, głupi, że nigdy nie docierało do niego, mimo iż zdarzało się tak często, że to napięcie równie mocno dawało się we znaki jej, a może nawet było jeszcze bardziej nieznośne, bo nigdy nie wiedziała, co się dzieje.

— Claire, co się dzieje, kochanie?

— Koncert wypadł tak fatalnie i...

Poczuł ulgę, że chodziło tylko o to allegro, a potem wyrzuty sumienia, że dla nastolatki może to być świat, cały świat, więc odwrócił się plecami do Blacka i Alana, żeby nie widzieli nagłego przypiływu uczucia na jego twarzy.

— Już jadę, kochanie — powiedział.

DWADZIEŚCIA TRZY

Ann Devenish jakby wiedziała, że coś się tego wieczora wydarzy. Może to dlatego, że kilka dni wcześniej było włamanie u panny Wendell, kilka domów od Birch Cottage, chaty, którą jej matka sprzątała i pilnowała dla jej londyńskich właścicieli.

Eileen była tego dnia przeziębiona i — jak to niekiedy czyniła — poprosiła Ann, żeby wpadła tam po drodze ze szkoły i sprawdziła, czy wszystko w porządku. Księżyc wschodził na poprzecinanym wstęgami chmur niebie, gdy otwierała drzwi chaty, która miała niebieską ceramiczną tabliczkę z nazwiskiem i ogródek wielkości balkonowej skrzynki.

Właściciele, ludzie o nazwisku Beaumont, zakochali się w niej, urządzili i odwiedzili może raz. Po całej dolinie rozsiane były podobne domki z używanymi meblami i pustymi kuchniami, nie licząc kawy i herbaty, oraz delikatnym zapachem pleśni, gdy otworzyło się drzwi. Ann, jak zwykle, zebrała z wycieraczki ulotki reklamowe i bezpłatną lokalną gazetę. Zmiotła trochę sadzy, która leżała wokół szczap drewna malowniczo ułożonych na kominku, i wyrzuciła kilka zwędniętych kwiatów. Gdy pakowała to wszystko do kosza na śmieci w kuchni, zamarła.

Nie zapalała światła i w półmroku zobaczyła butelkę na suszarce do naczyń. Żołądek jej się ścisnął, bo przez ułamek sekundy była pewna, że to butelka po mleku, że stoi tam pusta i umyta, lecz gdy włączyła światło, zobaczyła, że to naczynie po winie. Obok niego stały dwa kieliszki, wypłukane i postawione do góry dnem. Na jednym widniał ślad szminki, którą pedantycznie wytarła. Beaumontowie musieli zawitać tu w miniony weekend.

Tak, zasłali łóżko, ale niezbyt dokładnie. Wygładziła pościel i wyklepała poduszki. Nim skończyła, zrobiło się całkiem ciemno. Dopiero gdy wychodziła, pomyślała, że to dziwne, że nie ma śmieci. Pewnie sami je wyrzucili, choć to do nich raczej niepodobne. Czowała dziwny niepokój, spiesząc na High Street, bała się, że to wstęp do kolejnej migreny; nie miała ataku od czasu, gdy razem z Lindą wybrała się tamtego wieczora do kina. Od tamtej pory wychodziły razem jeszcze dwukrotnie i za każdym razem doskonale się bawiła.

Teraz znów była bardzo zabiegana i nadciągała migrena, czuła to. Chciała jak najszybciej wrócić do domu, ale obiecała Eileen, że zawiezie pannie Wendell zakupy od Brandona. Starsza kobieta bała się wychodzić po włamaniu do swojego domu.

To właśnie u panny Wendell Ann słuchała — czy raczej starała się słuchać — wiadomości w rowerowym radyku, które musiały się przedrzeć przez szum zakłóceń połączonych z nieustanną paplaniną panny Wendell na temat jej zakupów.

— ...oskarżony o morderstwa w Ash Valley...

Panna Wendell opierała się o laskę i wachała ser.

— Ten cheddar jest *dojrzały*... przecież on wie, że ja kupuję tylko łagodny...

Radio trudno było dostroić i jeśli antena nie ustawiła się pod idealnym kątem, słowa były zniekształcane przez doprowadzające do szału trzaski. Ann pochwyciła nazwisko Michael Lean... tak to było?...

— ...z Hickley przyznał się do zamordowania...

Zakłócenia zupełnie stłumiły słowa, a gdy Ann usiłowała dostroić odbiornik, panna Wendell chwyciła ją za ramię.

— Czy wiesz, od jak dawna tam kupuję? Od dwudziestu lat, a...

— Och, na litość boską!

Ann wyrwała się. Starsza kobieta upuściła laskę i prawie upadła. Lampa wisiała nisko nad kuchennym stołem i zaczęła się bujać, gdy Ann dotknęła jej,

wykonując nagły ruch. Wraz z nią zakołysała się drżąca poświata wibrującego włókna żarówki. Ann zdała sobie sprawę, że krzyknęła dopiero, gdy złapała laskę i zobaczyła cofającą się z przestachem pannę Wendell.

— Złapali zabójcę, nie rozumie pani!

— Zabójcę?

Staruszka w przerażeniu kurczowo trzymała rękę na oparciu krzesła.

Ann ścisnęła laskę. Nie miała już pojęcia, czy trzeszczenie pochodziło z radia, czy z wnętrza jej głowy. Panna Wendell wpadła plecami na ścianę, zrzucając kalendarz.

— Zabił kogoś jeszcze?

— Złapali go! — wciąż krzyczała.

— Człowieka, który mnie obrabował?

— Tak!

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu! Musimy posłuchać wiadomości.

Ann roześmiała się, a w każdym razie zrobiłaby to, gdyby nie to bolesne pulsowanie w jej głowie. Wyciągnęła rękę z laską. Panna Wendell podeszła nieśmiało i odebrała ją.

— Dobrze się czujesz, moja droga?

— Tak... Już dobrze, dziękuję... chociaż... może lepiej wezmę tabletkę.

Panna Wendell podała jej kubek wody i Ann połknęła pastylkę. Zamierzała potem iść prosto do domu, żeby powiedzieć rodzicom i zobaczyć, czy nie pokażą czegoś w telewizji, ale pędząc obok „The Star”, rozpoznała jeden z samochodów zaparkowanych na zewnątrz.

Byla w samochodzie. Ktoś nią potrząsał. Czuli się, jakby wypływała na powierzchnię bardzo głębokiej wody, marząc o oddechu.

— Ann... Ann...

Ku własnemu zdumieniu zobaczyła, że to John Miles. Próbował podciągnąć ją na fotelu. Boże... Tak fatalnie się jeszcze nie czuła. Otworzyła usta, ale nie udało się jej nic z siebie wydusić.

— Ann...

Stał teraz na zewnątrz i otwierał drzwi. Zimne powietrze owionęło jej nogi i zdała sobie sprawę, że ma podwiniętą spódnicę. Obciągnęła ją, spuściła głowę i zaczęła przytomnieć.

— Gdzie ja jestem?

— W domu.

Teraz, gdy wyteżyła wzrok, jej oczy wyłoniły z ciemności znajome kontury Chalkbank, żywo płoty, ich drewnianą bramę ledwo wiszącą na zawiasach. Był poniedziałek, tak, wciąż poniedziałek, bo przed ogrodzeniami stał rząd ek śmietników przygotowanych do wywiezienia we wtorek rano. To zadziwiające, jaką ulgę może sprawić widok koszy na śmieci.

Zachwiała się, gdy wysiadła z samochodu, a on ją podtrzymał.

— Przepraszam... Co się stało?

— Nie pamiętasz? Wyleciałaś jak błyskawica...

Czuła się zagubiona, bo ciągle myślała, że rozmawia z Lawrence'em, no bo czy nie miała się dzisiaj spotkać z Lawrence'em...? To akurat pamiętała.

Miles wyglądał na zażenowanego i zmartwionego.

— Na litość boską, Ann, weź się w garść...

— Przepraszam...

Zapaliło się światło na ganku i usłyszała, jak otwierają się drzwi. Stanął w nich Lawrence, przyglądając się im, a za nim jej rodzice.

— Gdzie byłaś? — spytał Lawrence, jakby był jej ojcem.

— Niestety, świętowała — odparł Miles.

Lawrence był nerwowy i oczami ciskał gromy.

— Świętowała?

Świętowała? Tak. Zgadza się. U panny Wendell usłyszała w wiadomościach...

Nie mogła znieść jaskrawego światła. Czuła się jak na przesłuchaniu. Jej oczom ukazała się twarz ojca.

— Co to, panie Miles? Uwiódlł pan moją córkę?

Wyglądając na mocno zmieszanego, Miles przeczesał palcami włosy, potem wsadził ręce do kieszeni, a potem znów przeczesał włosy.

— Nie wygłupiaj się, tato — rzekła, gdy weszli do środka. Przyciskała ręce do głowy.

— Och, Lawrence... zupełnie o tobie zapomniałam.

— To widzę.

— Ach, nie gniewaj się na mnie, proszę...

Objęła go ramieniem. Skrzywił się, gdy poczuł — wyraźnie tym poruszony — jej oddech. Nagle usiadła.

— Co się dzieje? — spytała Eileen.

— Jestem pijana — odparła nieco rozdrażniona. — Nie widzisz, mamó?

— Przykro mi, pani Devenish — odezwał się Miles. — To wyłącznie moja wina. Wyłącznie. Widzi pani, złapali człowieka, który...

— Wiem... wiem...

Nastrój natychmiast się zmienił wraz z krępującym przyływem współczucia i zrozumienia.

— Nie przywróci to życia pańskiej żonie, ale pewnie czuje się pan...

— Szczerze mówiąc, poczułem, że muszę się napić.

— Wcale się nie dziwię — uśmiechnął się szeroko Norman Devenish.

— I byłem właśnie w „The Star”...

No właśnie! To było to! Jej umysł zaczynał się rozjaśniać.

— A ja zobaczyłam jego samochód... — wtrąciła Ann.

Wyczuwała raczej, niż widziała, że Lawrence jest zły. Stał sztywno z zacienionymi pięściami.

— Chyba nie postawił jej pan drinka — zwrócił się do Milesa.

Miles zdawał się już odzyskiwać pewność siebie i gdy popatrzył na Lawrence'a, w jego głosie pojawiła się nuta rozdrażnienia.

— Lemoniadę.

— Lemoniadę?

— Jak już mnie tak wałkujecie, to przyznaję i wiem, że to karygodne, dolałem jej trochę swojego piwa.

— Nie upiłaaby się tak piwem z lemoniadą...

— Na litość boską, Lawrie!...

— Jesteś niepełnoletnia! — wybuchnął.

— Gadasz jak jakiś belfer! — odparowała.

Z jakiegoś powodu wszyscy prócz Lawrence'a parsknęli śmiechem i wtedy sobie przypomniała. No jasne, wszystko powracało.

— Zapomniałam, że wzięłam tabletkę — powiedziała — a jak tylko wypiję...

— Nie miałem pojęcia, co się, u licha, dzieje — śmiał się Miles. — Myślałem, że stracę uprawnienia, uprawnienia do nauczania i prawo jazdy, przepraszam...

— Och, niech pan nie będzie niemądry — rzekła Eileen. — Kto mówi, że nie może się pan napić po tym wszystkim, co pan przeszedł. Teraz wreszcie mają tego okropnego człowieka.

— Wcale nie mają — wtrącił Lawrence.

Nastąpił moment ciszy. Wszyscy patrzyli na chłopaka, który nie usiadł, tylko stał przy oknie, bawiąc się bez końca kluczami w kieszeni.

— Mówili przecież w wiadomościach — odparła Eileen, jakby to nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

Lawrence zrobił krok w kierunku Milesa.

— Przyznał się do tamtych morderstw. Nie przyznał się do zabicia pańskiej żony.

Kolejna chwila milczenia, podczas której nikt nie wiedział, co ze sobą począć. Lawrence zrobił jeszcze krok w kierunku Milesa i zastanawiał się, co powiedzieć, gdy do akcji znów wkroczyła Eileen, mówiąc właściwie do Milesa tonem, jakiego zawsze używała, kiedy chciała kogoś pocieszyć.

— Och, doprawdy, co to za różnica?

— Na pewno nie zamierza się przyznać do niczego ponad to, do czego będzie zmuszony — wtrącił się Norman Devenish. — Niemożliwe, żeby w dolinie był więcej niż jeden maniak.

Ann wstała. Lawrence za dużo sobie pozwalał. Miles był wyraźnie zdenerwowany.

— Słuchaj, Lawrie, przepraszam, że się spóźniłam, ale wolałabym, żebyś nie był zazdrosny za każdym razem...

— Ach, więc o to chodzi! — roześmiał się głośno Norman Devenish.

Lawrence, który do tej pory był blady jak ściana, zrobił się purpurowy. Miles odwrócił się. Czy się zawstydyził, czy może śmiał się od ucha do ucha, Ann nie miała pojęcia.

Eileen zaczęła teraz pocieszać Lawrence'a:

— Nie powinieneś być zazdrosny o pana Milesa!

— To prawie członek rodziny! — dodał Norman.

Policzki Lawrence'a wyglądały, jakby stały w ogniu.

— Nie jestem zazdrosny! — wydukał. — Nie bądźcie śmieszni, do cholery, nie bądźcie śmieszni!

— Lawrence! — warknęła Ann.

— Idę — powiedział.

Przy drzwiach nastąpiło dziwne zamieszanie — Miles przepraszal i zastawiał drogę Lawrence'owi, próbował go ugłaskać.

— Nie, to ja muszę iść... naprawdę... I strasznie mi przykro, jeśli zepsułem wam wieczór...

Kiedy poszedł, pożartowano trochę na temat wieczornego zajścia, a Lawrence zgodził się zjeść przygotowanego przez Eileen quiche'a, który, jak zawsze twierdził, był jednym z jego ulubionych dań, lecz tego wieczora większość pozostawił na talerzu. Ann ledwo patrzyła na oczy i była zadowolona, gdy wyszedł. Teraz pójdzie spać, och, ależ się wreszcie wyśpi. Rozbierając się, popatrzyła ponad polami, ponad mrugającymi światłami na drodze, ku wzgórzom. Złapali go, tak jak wcześniej złapali lisa. Ku własnej złości, choć ledwo trzymała się na nogach, jak tylko się położyła, miniony wieczór bezustannie wirował jej przed oczami i musiała wziąć jeszcze jedną tabletkę, żeby wreszcie usnąć.

IV

REQUIEM

requiem — msza odprawiana za zmarłych...
utwór muzyczny skomponowany bądź wykonywany
ku czci zmarłej osoby.
Od łacińskiego *requies* — spoczywać.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Było tak zimno, że mógłby zacząć padać śnieg, i pozostało piętnaście handlowych dni do Bożego Narodzenia, gdy Gates dowiedział się, że Michael Dean przyznał się do zamordowania Valerie Miles.

Przez prawie tydzień nie było go w pracy, gdy grypa zagroziła mu komplikacjami w postaci zapalenia oskrzeli. Przesłuchania dokończyli za niego inspektor Peters razem z Blackiem. Co dzień informowali go o wszystkim i jak tylko się o tym dowiedział, wstał z łóżka i przyjechał. Twarz miał szarą i przez cały czas stał w płaszczu, patrząc przez okno w dół na centrum handlowe, gdzie jakaś dziewczyna zmieniała na wystawie liczbę dni, jakie pozostały na zakupy, z szesnastu na piętnaście. Obok niej znajdowała się figura Świętego Mikołaja, którego worek napełniały akurat elfy, grająca na zmianę „White Christmas” i jakąś inną świąteczną melodię.

Strzępy muzyki dolatywały cichutko do pokoju Gatesa, gdzie nie było nawet mowy o bożonarodzeniowym duchu życzliwości. Black wpatrywał się w wykładzinę, bawiąc się paczką marlboro, lecz nie ośmielając się zapalić. Inspektor

Peters, niski Walijczyk o przenikliwych błękitnych oczach, którego energiczność kontrastowała ze znużeniem Gatesa, czekał w napięciu, podczas gdy Gates jeszcze raz wzięł do ręki zeznanie i wpatrywał się w podpis.

— Dlaczego on to podpisał, Eddie?

Eddie Peters pochylił się do przodu, a na jego czole wystąpiły dwie zmarszczki niezrozumienia.

— Bo to zrobił, Dick. Tak sądzę.

Gates popatrzył na Blacka, lecz ten się nie odezwał. Sierżant dał sobie spokój z papierosami i zaczął odwijać listek gumy do żucia, robiąc to bardzo powoli, po czym żując, zaczął składać papierek w coraz węższą wstążkę.

— A mnie powiedział, że tego nie zrobił — rzekł Gates.

— No cóż, oni zawsze z początku tak twierdzą, nieprawdaż, Dick...? I oczywiście mamy coś jeszcze poza zeznaniem...

— To znaczy? — Gates usiadł i spojrzał na segregator z wydrukami z komputera.

— Chyba nie zapomniałeś...

Black przesunął gumę w kąt ust. — Mamy przedmioty znalezione przez tamtych chłopców... kilka z domu Milesa... a kilka z domu, gdzie popełniono pierwsze morderstwo, do którego się przyznał...

— Broszkę, nie kilka przedmiotów. Reszty się pozbył. Czemu jednak trzymał przez dwa lata jakąś broszkę?

Peters wzruszył ramionami.

— Może mu się spodobała.

— I podał, gdzie to wszystko było zakopane?

— Masz to w oświadczeniu.

Gates przewrócił kartkę i znalazł odpowiedni fragment.

— A może przeczytał o tym w gazecie?

Peters roześmiał się.

— A może nie potrzebował tego robić, Dick.

Gates czuł, że będzie miał atak kaszlu, i wybuchnął, nim zdążyły to zrobić jego oskrzela.

— Zawarłeś z nim jakiś układ, Eddie, czy po prostu go sprąłeś?

Nie powinieneś był tego mówić — powiedział nadinspektor Green.

— Już przeprosiłem — odparł Gates.

- Niezbyt wylewnie.
- Bo nie jestem wylewny.

Rozmawiali w gabinecie Greena, gdzie znajdowało się zdjęcie drużyny rugby z Greenem, wielkim facetem o krótko ściętych włosach, trzymającym puchar zwycięzców. Jego biurko z blatem z czerwonej skóry zawsze przyprawiało o zazdrość z powodu panującej na nim pustki.

— Brzmi to dość dziwnie — stwierdził Green. — Żeby nie powiedzieć bezsensownie.

- Bezsensowne rzeczy się zdarzają.
- Nie bardzo masz się na czym oprzeć.
- Dlatego chcę spróbować się czegoś dowiedzieć.

Green popatrzył na teczkę unoszącą się na morzu czerwonej skóry, zawierającą zeznania podejrzanego i świadków, raporty biegłych, listy dowodów rzeczowych, wszystko gotowe do przekazania do prokuratury. Westchnął.

— Słuchaj, Dick, wykonałeś doskonałą robotę, wiele osób pozwoliłoby temu facetowi odejść, przez co zniszczone zostałyby dowody... Wiem, że możesz być rozdrażniony faktem, iż nie dane ci było doprowadzić to do końca, no ale...

Gates stracił cierpliwość. W obecności Greena nie mogło zresztą być inaczej, ale i tak ją stracił.

— Eddie wsiadł na Deana, sam wiesz, poszedł na skróty i dostał zeznanie, jakiego potrzebował, a...

— A ty nie chadzasz na skróty, Dick? Zadzwoiłeś do prasy i podałeś im szczegóły sprawy, jeszcze zanim ten gnojek został o cokolwiek oskarżony!

— Ale miałem rację.

— Cholera, równie dobrze mogłeś jej nie mieć. Czym niby różnisz się od Eddiego?

— On się myli.

Green wstał z rozdrażnieniem, obracając fotel, wziął do ręki nową, uporządkowaną teczkę i popatrzył na kaszlącego znów Gatesa.

— Uparty z ciebie sukinsyn, Dick. Uważam, że to dla policji tylko strata czasu, ale dam ci tydzień...

— Utrzymasz to zeznanie w tajemnicy? Nie będzie żadnego oświadczenia?

Green przekartkował palcem kompletne akta, po czym rzucił je na biurko z głuchym odgłosem złości.

- Dziś mamy wtorek. Możesz je trzymać do poniedziałku rano.
- Do dwunastej?
- Do dziewiątej. Ale gdybym był na twoim miejscu, wróciłbym do łóżka.

Dał się ponieść, zwyczajnie dał się ponieść. Przez jakiś czas, może nawet przez większość czasu przecież on także uważał, że to dziwne, nieprawdaż? Może Green miał rację, że zwyczajnie gryzie się, bo nie zamknął sprawy sam.

Nie było w Anglii takiej ławy przysięgłych, która nie skazałaby Michaela Deana za zabójstwo Valerie Miles na podstawie dowodów zgromadzonych w teczce na biurku Greena. Wszystko zostałoby poświadczane, przy wielkim wysiłku zweryfikowane i stałoby się prawdą. Czemu więc, u licha, zawracał sobie tym jeszcze głowę?

Zawracał sobie głowę, bo coś go dręczyło. Broszka. Dostępność jej i reszty przedmiotów z nią znalezionych w porównaniu z innymi łupami wskazanymi im przez Deana, które były ukryte znacznie bardziej sprytnie.

Zawracał sobie głowę, bo miał fioła na punkcie szczegółów i pamiętał, jak chodził po domu, w którym dokonano pierwszego morderstwa, razem z Ann Devenish. Nie przeszukano jej. Sprawdził w swoich starych notatkach. W szkole podejrzewano ją o kradzież. Zdawała się teraz całkiem odmieniona. Może i była, ale...

Było wysoce prawdopodobne, że gdyby przedmiotów tych nie znaleziono na Beacon Ridge, w ogóle by o tym nie myślał.

Posprzeczał się z Blackiem, który wyśmiał jego pomysł, że mogła to być Ann Devenish.

- To dlatego, że ci się podoba.
- A tobie nie?

Dobrze pasowałoby tu słowo obsesja, ale takie założenie też mogło zaćmić jego zdolność sądu. Twierdziła, że tego wieczora, gdy zamordowano Valerie Miles, widziała na Greenway mężczyznę, którym mógł być Dean. Z drugiej strony, kiedy uciekła z domu w wieku lat czternastu, była przekonana, że zna zabójcę, co okazało się czystą fantazją. Sam nie wiedział, w co wierzyć.

— Chodzi mi o to, że nie popieram metod Eddiego... — powiedział Black.

— Ale uważasz, że to robota Deana?

— Wszystko było dokładnie tak jak przy pierwszym morderstwie.

To była prawda. Całkowita prawda.

Już prawie dał sobie spokój i miał zadzwonić do Greena, żeby przesłał akta do prokuratury, lecz postanowił jeszcze raz przesłuchać Deana. Zdobyte jak dotąd dowody przypominały błotnistą ścieżkę wydeptaną przez zbyt wiele stóp.

— Mówiłem wam... Zabiłem Valerie Miles... Co to za różnica?... Mam teraz powiedzieć, że jej nie zabiłem?... Podpisać coś, czy co?

Ostatecznie przestał z nim w ogóle rozmawiać. Czy był już tak skołowany, że gotów był powiedzieć wszystko, czy może mówił prawdę? Zbyt wiele było kradzieży, zbyt wiele domów, zbyt wiele osób zadawało mu pytania.

— Badger's Mount? To chyba ten dom w Lynford, co?... A może to któraś robota w Charborough?...

Najważniejsze było, żeby nie naciskać, lecz trudno było tego uniknąć, gdy godzina mijała za godziną.

Dean potrafił opisać dom Milesów, sposób dokonania zbrodni, ułożenie ciała z zaskakującą dokładnością. Dlatego, że ją zabił, czy dlatego, że uzyskał te informacje od ludzi, którym zależało na jego przyznaniu się do winy?

Wizyta u Johna Milesa nic nie dała. Z ust Gatesa padło tylko, że Dean nie przyznał mu się do zabicia jego żony, co było może trochę — a może bardzo — naciągane, ale jednak prawdą. Miles nie wyglądał na szczególnie poruszonego.

— Dla mnie nie musiał... — rzekł.

— Dlaczego?

— On to zrobił... czy ktoś inny... Co to za różnica? Pomaga mi już sam fakt, że go macie, i mogę spróbować zapomnieć o tym aspekcie sprawy...

Gatesa interesowało rozwinięcie tego stwierdzenia, ale Miles robił się tylko coraz bardziej zdenerwowany.

— Mam nadzieję, że się jednak przyzna... Ze względu na mnie jak i na pana... Nie wygląda pan najlepiej, inspektorze...

To był stary trop — o ile w ogóle kiedyś taki istniał — i mocno już przysypany ziemią. Podobne odczucia towarzyszyły Gatesowi w domu naprzeciwnie, gdzie Christine Dobson ustawiała kwiaty w ogromnym kryształowym wazonie.

— Przepraszam, że się tym zajęłam, ale nie wiem, co jeszcze mogłabym panu powiedzieć...

Była pulchną kobietą około pięćdziesiątki z fałdami ciała zwisającymi nad nadgarstkami i błyszczącą drugą brodą. Oprócz tulipanów, które ustawiała w wazonie, były też róże na zasłonach i kwiecisty wzór na kanapie, gdzie siedział Gates.

— Widziałam wtedy, jak pan Miles wysiada z samochodu i wchodzi do domu, a kilka minut później...

— Czy był w tej samej marynarce?

— W tej samej marynarce?... Oczywiście, że był w tej samej marynarce!... W swojej starej brązowej marynarce...

— Pisała pani list przy oknie...

— Pisałam list przy oknie — powtarzała, jakby przemawiała do dwulatka.

Dopiero gdy Gates wychodził, a właściwie gdy otwierał już drzwi samochodu, stojąc na schodach, powiedziała:

— Cóż, właściwie to nie było mnie wtedy przy oknie. Choć nie ma to większego znaczenia... Zapomniałam o telefonie...

— O telefonie?

— To była pomyłka... a właściwie to głuchy telefon... Odłożyłam słuchawkę, ale linia się zablokowała. Strasznie mnie to zirytowało...

Gates trzasnął drzwiami samochodu i wrócił do pokoju dziennego. Stał za ciemnym politurowanym biurkiem i wyjrzał przez okno. Miał idealny widok na żółtą bramę Milesów i początek podjazdu, który dalej zakręcał i ginął mu z oczu.

— Gdzie zazwyczaj parkuje?

— Nie wiem...

— Na ulicy czy na pojeździe?

— Tego popołudnia wjechał prosto na podjazd...

— Czy staje blisko domu?

Wyjrzała. Wzięła do ręki czerwonego tulipana. Nie poddawał się.

— Czy zazwyczaj widzi pani jego samochód, gdy stoi zaparkowany?

Włożyła tulipana do wazonu.

— Sam pan widzi. Stoi tam teraz.

Usiadł za biurkiem. Zza zakrętu podjazdu samochód Milesa był niewidoczny.

— Ten telefon... zablokowana linia... Czy zanim on przyszedł, telefon się odwiesił?

Zawahała się.

— Tak. Tak mi się wydaje. Ale nie rozumiem...

Gates uśmiechnął się.

— Dziękuję bardzo, pani Dobson.

— Chyba nie uważa pan...?

— Niczego nie uważam. Bardzo mi pani pomogła, pani Dobson — rzekł Gates. — Jestem bardzo wdzięczny.

Zostawił ją, jak ścinała koniec łodygi czerwonego tulipana i przyglądała się kryształowemu wazonowi przed umieszczeniem kwiatu pośród reszty bukietu, po czym zaczęła go ustawiać nerwowo i bezmyślnie.

Powoli minął dom Milesów, a na podjeździe, tuż za zakrętem mignęła mu plama oleju. Zdawało mu się, że w oknie na piętrze coś się poruszyło, ale nie był pewien.

Nie miał wątpliwości, że Miles ze szczegółami dostanie informację o tych pytaniach, jakie zadał pani Dobson.

To była środa. W czwartek rano obudził się z kaszlem, który go nie opuszczał, a Claire złościła się bardziej niż kiedykolwiek.

— Nie wstajesz! Ta sprawa już jest zakończona, tato!

— Tak, myślę, że możesz mieć rację...

— Po prostu nie możesz przestać, co? Dokąd się teraz wybierasz?

— Na świąteczne zakupy.

— Kłamca z ciebie! Zawsze robisz je dopiero w Wigilię.

— Noworoczne postanowienie poprawy, tyle że parę dni wcześniej.

— Obiecujesz?

Kupił świąteczne kartki, książkę o ogrodnictwie dla siostry i drobiazgi do skarpety dla Claire: kasetę z pierwszym koncertem skrzypcowym Brucha i parę fikuśnych rajstop. Zakupy robił w Ashminster. Była akurat pora lunchu i wszędzie kręciło się pełno ludzi. Od wzgórz wiał wiatr i zdawało mu się, że jest zimniej niż w Stoke Prior, a w powietrzu wirowały z rzadka płatki śniegu. Kolędnicy potrząsali swoimi puszkami przy stopniach prowadzących do „The Star”.

Nie bardzo wiedział, w jaki sposób dotrzeć do Ann Devenish, ale dziwnym trafem to ona dotarła do niego.

Przechodził właśnie obok Brandona, gdy pośród wielu ludzi mijających kołędników mignęła mu jakby znajoma postać mężczyzny spieszącego w stronę „The Star”. Przeszedł za nim przez jezdnię, lecz kimkolwiek był tajemniczy człowiek, zniknął. Wzruszył ramionami i miał właśnie pójść do „Copper Kettle”, gdy ktoś podetknął mu pod nos puszkę-skarbonkę. Była to Ann Devenish.

— Myślał pan, że mi ucieknie?

— Próbowałem.

— No, dalej.

— To na Bishop Griffith's?

— Jeszcze czego — roześmiała się. — Dla potrzebujących dzieci.

Tam, gdzie stała, wiatr wiał z bocznej ulicy od rzeki, smagając jej policzki, aż stały się równie czerwone, jak kurtka, którą miała na sobie. Było coś sztywnego i niemal obłądnego w jej nieustannej paplaninie, której towarzyszyło podtykanie puszeki mijającym ich ludziom. Mimo że przez cały czas gadała, zdawała się otrzymywać więcej niż wszyscy inni razem wzięci.

Wydawała się zadowolona z tego, że go spotkała, wręcz do przesady zadowolona, jednak ciągle się odwracała, jak gdyby chciała przerwać tę rozmowę. Naraz skrzywiła się. Przypomniało mu się, jak przyszła na komisariat.

— Wciąż miewasz migreny?

— Nie. Zazwyczaj to one mnie mają...

Jej śmiech podnosił się niemal do poziomu hysterii. Miał jej właśnie zaproponować coś do picia, gdy ogarnęło go wrażenie — prawdziwe czy też wyimaginowane — że ktoś go obserwuje. Czysty instynkt kazał mu podjąć decyzję, by spotkać się z Ann Devenish później. Gdy się z nią żegnał, chwyciła go za ramię, mamrocząc coś niezrozumiale. Wydawało się, że mówienie sprawia jej ból. Musiała powtórzyć, bo nie mógł jej zrozumieć.

— Koncert? — spytał.

— Proszę przyjść — powiedziała.

— Jaki koncert?

— „Bishop Griffith's Super Show” — wtrąciła szybko inna dziewczynka.

— W piątek.

— Masz bilety, Mellisa? — spytała Ann Devenish.

Oczy zaczęły jej łzawić.

— Dwa funty pięćdziesiąt — rzekła Melissa Barnett, wyjmując plik niebieskich biletów.

— Lepiej już pójdę, zanim stracę wszystkie pieniądze — powiedział Gates, wyciągając portfel.

Gdy to robił, przez cały czas zerkał na „The Star”, gdzie dwa sznury ludzi miały się nieustannie, wchodząc i wychodząc.

— Żartowałam! — zawołała Ann Devenish. — Nie będzie się panu podobało. Pełno w nim naszych szkolnych gagów.

Jednak Melissa tak bardzo chciała sprzedać swoją część biletów, machając nimi przed nosem Gatesa.

— Ann ma przedstawić tę słynną parodię panny Montrose.

— Tego nie mogę przegapić — stwierdził Gates.

— O Boże! — jęknęła Ann Devenish. — To będzie dziecinada!

Wyglądało na to, że tak jak wcześniej zależało jej, żeby przyszedł na ten koncert, tak teraz z całej duszy pragnęła, by go tam nie było, i prawie wyrwała z rąk Melissy plik biletów, gdy ta odrywała dwa z bloczku. Potem ni stąd, ni zowąd odeszła od niego bez słowa, potrząsając z zapalem swoją puszką i wykrzykując: — Pomóżcie dzieciom... Pomóżcie dzieciom na Święta... Dzięki... Wielkie dzięki...

Gates także odszedł, dostosowując swój krok do zwalnającej ciężarówki, która miała zasłonić go przed spojrzemiami z „The Star”, gdy mijał „Copper Kettle”. Wślizgnął się do restauracji, nie spuszczać z oczu placu na zewnątrz.

— Przepraszam...

Nie dość, że blokował przejście, to jeszcze wpuszczał zimne powietrze na siedzących w pobliżu gości. Udało mu się precyzyjnie do stolika przy oknie, który właśnie opuścili mijający go ludzie, a który zaśmiecony był zgniecionymi serwetkami i okruchami szarlotki.

— Tylko kawa... — powiedział do kelnerki.

— Niestety, teraz podajemy wyłącznie lunche, przykro mi...

— Zapłacę za lunch, ale poproszę jedynie kawę.

Do okna przyklejone było ogłoszenie o koncercie w Bishop Griffith's. Pomiędzy nim a okrągłym kawałkiem matowej szyby widział Ann Devenish, która ustawiła się zmyślnie przy „The Star” i śpiewała z takim samym przejęciem, z jakim potrząsała puszką.

— ...nie miał kolebeczki ani poduszeczki, we złobie Mu położyła...

Poczuł dreszcz. Rzadkie płatki śniegu ginęły na chodniku, ale zaczynały zalegać na dachach i parapetach okiennych.

Ktoś wyszedł z „The Star” i Ann Devenish poświęciła mu całą swoją uwagę, a puszka-skarbonka zakofyssała się leniwie w okrytej rękawiczką dłoni. Mężczyzna stał ukryty za nią i częścią kołędników, lecz Gates wiedział, że musi to być Miles. Gdy nie słyszy się słów, już sam widok rozmowy wiele może zasugerować. Stali blisko siebie nieświadomi obecności innych ludzi dokoła. Mężczyzna wymachiwał szaleńczo ramionami.

Kelnerka pojawiła się nad Gatesem, odwracając kartkę przywiązanego na sznurku notatnika.

— Paszтет drobiowo-grzybowy, smażona cielęcina czy ryba?

Przesunęła się, żeby kogoś przepuścić, przez co zupełnie przestoniła mu widok. Gates podskoczył.

— Przepraszam.

Popatrzyła na niego zdumiona, gdy rzucił się do drzwi, mijając ją kilkoma wielkimi krokami i potrącając po drodze krzesło.

Kołędnicy zaczęli „Cichą noc”. Ann Devenish stała na przedzie chórk. Mężczyzna odszedł. Gates był pewien, że nie widziała go, jak przechodził przez jezdnię przy sklepie Brandona i rozejrzał się po ulicy. Wszyscy mieszkańcy okolicznych wiosek wyraźnie wybrali się na świąteczne zakupy akurat tego dnia. Zapowiadano opady śniegu i niektóre drogi nazajutrz mogły się okazać zupełnie nieprzejezdne. Gates pospieszył w górę ulicy, bo miał pewność, że widziałby Mileśa, gdyby mijał „Copper Kettle”.

— Przepraszam...

Poślizgnął się na chodniku i zderzył z pchającą wózek kobietą, która obrzuciła go pełnym obrazy spojrzeniem. Dźwięki kołеды przeszły w ledwo słyszalny pomruk.

— ...święta noc, pokój niesie...

Zatrąbił na niego jakiś samochód, gdy biegł ulicą. Kupujących było już znacznie mniej, gdy dotarł do sklepu z antykami. Ani śladu Mileśa. Tylko jakiś młody człowiek wsiadał do samochodu. Facet musiał pójść w przeciwnym kierunku. Miał już odwrócić się i ruszyć z powrotem w dół ulicy, gdy doznał olśnienia. To nie Miles ukrył się za kołędnikami i wymachiwał rękoma. To ten młodzieniec z samochodu, który włączył właśnie kierunkowskaz i ruszał od krawężnika. Lawrence. Jej chłopak, który tamtego dnia przywiózł ją na komisariat. W

pierwszym odruchu chciał krzyknąć. W drugim pobiegł do samochodu zaparkowanego w bocznej uliczce w pobliżu rzeki. Gdy ruszał, męczył go nieustępliwy kaszel.

Gdyby go teraz dogonił, dorwałby małego sukinsyna przez zaskoczenie. Samochód pędził, rycząc, na drugim biegu, a on położył się na klaksonie, zbliżając się do skrzyżowania. Jakaś furgonetka odwdzięczyła mu się tym samym, ale udało mu się precyzyjnie tuż przed jej nosem. Na High Street ruch będzie znacznie większy. Dobrze by było dotrzeć na most przed nim. Nie udało mu się, lecz dostrzegł niebieską sierrę jadącą spod szkoły w stronę Charborough. Pieprzony kaszel. Wygrzebał po omacku dropsy i zdołał nawet wyciągnąć jednego z tubki, jednak klejący mentolowy cukierek wyslizgnął mu się z palców, gdy zębami ścierał z niego papierek. Pieprzone nowoczesne opakowania. Pieprzone sędziny i ich nieuczciwi synowie.

Lawrence wjechał do Northwood Lodge, gdzie, jak Gates pamiętał, mieszkała jego matka. Dał mu dziesięć sekund, po czym przyspieszył i wyprzedził go na podjeździe, rozpryskując dokoła ziarna żwiru.

— Wsiadaj.

Może to przez ten kaszel, który co kilka sekund chciał się wydobyć z jego gardła. Może przez widok korzyści i przywilejów, których wcieleniem był stojący za Lawrence'em wspaniały dom z epoki króla Jerzego z trawnikami ciągnącymi się do sadzawki wielkości małego jeziora. A może jednak wciąż wierzył, że z dziećmi trzeba postępować stanowczo. Niezależnie od przyczyny, choć nigdy nie pomyślałby nawet o tknięciu Deana, bezspornego mordercy i gwałciciela, siłą wyciągnął Lawrence'a z samochodu.

Chłopak był zszokowany i przerażony.

— Czemu mnie unikałeś?

— Unikałem...?

— W Ashminster?

— W ogóle pana nie widziałem...

Gates wzmocnił uścisk na klapach.

— Zawsze kłamiesz policji?

— Nie kłamałem!...

Chłopak podniósł głos.

— Wie pan, kim jestem...?

Gates puścił go. Lawrence obciągnął marynarkę. Prawdopodobnie pomyślał, że jego groźba poskutkowała. W każdym razie gestem nieco buntowniczym

poprawił krawat. Popatrzył w dół podjazdu, a potem na Gatesa, który kaszłał, spluwając w pogniecioną, brudną chusteczkę.

— Rodzice wrócą lada moment — rzekł.

— To dobrze — odparł Gates, kierując się do wejścia. — Zaczekam.

Nikczemny strach zalał na powrót twarz Lawrence'a, zaś Gates pomyślał, że znacznie gorzej jest mieć sędzinię za matkę, niż być zmuszonym zmagać się z nią w urzędzie. Lawrence dobiegł do niego, gdy odwrócił się do drzwi z wielką kołatką w kształcie lwiej głowy.

— Czego pan chce?

Gates postanowił spróbować z własnym kłamstwem.

— Widziano twój samochód w pobliżu tamtego domu, gdy zamordowano Valerie Miles.

Twaz Lawrence'a stała się biała jak śnieg gromadzący się na krawędziach stopni.

— Uczyłem ją tylko jeździć! — wyrzucił z siebie.

— Zawiozłeś ją do tamtego domu?

— Nie!

— Wciąż kłamiesz, co?

— Nie kłamię! — Chłopak trząśł się z przerażenia. — Nie prowadziłem tego samochodu!

— Ale jechałeś do Staunton?

— Pan nie rozumie! Nie było mnie w tym cholernym samochodzie! Pojechała sama! Głupich żartów jej się zachciało! Zakładów!

Gatesa przeszedł dreszcz. Pomyślał o Blacku, który mówił, że to takie samo morderstwo jak to pierwsze. W pewnym sensie może i było takie samo, ale w sposób znacznie bardziej niezwykły niż w ogóle mogli to sobie wyobrazić.

— Jak długo jej z tobą nie było?

Lawrence zmęczył się krzykiem i teraz usiłował się pozbierać.

— Ona nie... Z całą pewnością nie mogłaby...

— Jak długo, Lawrence?

— Nic więcej nie powiem.

— Dojechanie do tamtego domu z miejsca, w którym czekałeś, zajęłoby jej dziesięć minut, czy tak?

Lawrence szedł po stopniach, potykając się na ostatnim.

— Zaczekam na mamę, jeśli pan pozwoli.

Chłopak podszedł do stawu, gdzie głowa i ramiona kamiennej nimfy przyprószone już były śniegiem. Gates musiał się pospieszyć, by go dogonić. Nagle stanął. Przed jego oczami zaczął wyłaniać się pewien obraz... czy raczej jego fragmenty. Jednak choć zdawał się być blisko rozwiązania, popartego mocnymi przypuszczeniami, czyż nie był od niego dalej niż kiedykolwiek? Telefonu do Christine Dobson nie sposób było sprawdzić. Miles miał niepodważalne alibi, chyba że sam by się załamał, co wydawało się mało prawdopodobne. Samochód Lawrence'a wcale nie był widziany w pobliżu domu. Ann Devenish spuściłaby głowę i powiedziała, że wie, iż źle postąpiła, ale tak bardzo chciała samodzielnie poprowadzić auto, a poza tym trzymała się tylko mało uczęszczanych dróg... Ależ skąd, nie była nigdzie w pobliżu! Już słyszał, jak to mówi. Nie miał najmniejszego namacalnego dowodu. Green wysłuchałby go mniej lub bardziej uprzejmie, po czym popatrzyłby na akta Deana, podobne przestępstwa, przyznanie się do winy. Czarno na białym. Podpisane. To był materiał dowodowy. Nie do końca prawdziwy, ale namacalny, który każda ława przysięgłych mogła zobaczyć na własne oczy i skazać oskarżonego.

Lawrence przeszedł na drugą stronę stawu, gdzie stał z rękoma w kieszeniach, wpatrując się w wodę, która do rana najprawdopodobniej pokryje się cienką warstwą lodu.

Wyglądał bardzo szlachetnie z dłońmi w kieszeniach i rozwianym jasnym włosom. Gates mógł się domyślić, co mu chodzi po głowie. Spanikował, popełnił głupi błąd, ale był zdecydowany wspierać ją, stać przy niej, choćby nie wiadomo co się działo. Czy nie było teraz w jego spojrzeniu rzucanym przez staw w stronę Gatesa nutki arogancji? Owo spojrzenie mówiło też Gatesowi, co widzi: człowieka w źle skrojonym garniturze, kaszłącego jak gruzlik, który, mając czterdziestkę na karku, dochrapał się ledwo stopnia inspektora.

Gates odwrócił się i odszedł. Niech trochę skruszeją. Wiedzieli już, że ma ich na oku. Spróbuje odszukać kogoś, kto widział ten samochód. I zrobić coś, czego nie zrobił — coś tak niesamowicie oczywistego, że podjąłby się tego znacznie wcześniej, gdyby nie dał się tak bardzo wciągnąć w odnalezienie i oskarżenie Deana.

Doszedł do samochodu, zanim zdążył do niego dobiec Lawrence. Powietrze było tak nieruchome, że śnieg wirował wokół nich delikatnie, opadając prawie całkiem pionowo.

- Dokąd pan jedzie?
- Do domu — odparł Gates.
- Co ma pan zamiar zrobić?
- Nic. Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż uganianie się za nieletnimi

kierowcami.

Wsiadł. Lawrence położył rękę na drzwiach, by Gates nie mógł ich zamknąć.

— Nic? Ale mówił pan... mówił pan, że mój samochód był przed domem Milesa tamtego popołudnia...

Gates popatrzył na niego tępo.

— Naprawdę? Zdawało mi się, że powiedziałem po prostu samochód... jakiś niezidentyfikowany samochód...

Zdołał odkleić większość papierka z cukierka na kaszel i włożył go do ust. I właśnie podczas wykonywania tej skomplikowanej czynności przyszło mu do głowy to pytanie, ni z gruszki, ni z pietruszki zarówno dla niego, jak i dla Lawrence'a.

— Współżyłeś z nią?

Wyczytał odpowiedź z twarzy młodzieńca tak wyraźnie, jakby została tam zapisana.

Wreszcie, choć wciąż nie do końca, zaczynał ją rozumieć, składać do kupy wszystko, co się wydarzyło, a było to warte tyle, co wszystkie zeznania świata, spisane czarno na białym, podpisane, potwierdzone przez świadków. Po raz pierwszy zaczął współczuć Lawrence'owi. Zamknął drzwi, odpalił samochód i spuścił szybę.

— Lepiej o niej zapomnij — rzekł.

Nie miało to większego znaczenia. Skądże. Ale musiał to powiedzieć.

Na podjeździe minął matkę Lawrence'a, panią Churchman, wracającą właśnie do domu. Znali się z widzenia, więc uśmiechnął się, a ona na niego popatrzyła. We wstecznym lusterku zobaczył, jak Lawrence podbiega do niej, podnosząc jedną rękę na dzień dobry, gdy zwolniła. Dalej Gates minął bramę, wyjechał na ulicę i już ich nie widział.

Ciekaw był, co jej powiedział, i pomyślał, że po tym, co zaszło, może mówi jej prawdę. A przynajmniej jej część.

Wielkie płaty śniegu rozbijały się o przednią szybę. Zamiast wracać do Stoke Prior, sam nie wiedząc czemu, jechał do Ashminster, jakby ciągnął go tam jakiś magnes. Czy był to tak naprawdę niepokój z powodu tego wszystkiego, co kotłowało mu się w głowie? To nie miało znaczenia. Usłuchał tego niepokoju, który

inni mogliby nazwać przecuciem.

Koleđnicy juŹ się rozeszli, lecz na High Street kłębilo się od kupujących. Dopiero gdy tam dojechał, uświadomił sobie, dokąd właściwie zmierzał. Zatrzymał się przed dawną plebanią, gdzie mieszkała panna Montrose, i usiłował przypomnieć sobie rozmowę między Johnem Milesem i jego żoną na przyjęciu. To było zbyt dawno. Pamiętał jedynie vol-au-vent, na które nigdy nie zdobył przepisu, i pewne odczucie. Złość Valerie Miles. Jej niechęć do pomysłu męża, żeby uczyć w szkole.

Śnieg tłumił juŹ odgłosy ruchu na ulicach i sprawiał wrażenie swoistej nieuchronności.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Świat był biały, idealnie biały. Poczuała to, gdy tylko się obudziła. Za zasłonkami czaiła się jasność, a gdy je rozsunała, zobaczyła biały dywan przykrywający pola, dachy, a w oddali także wzgórze, które prawie zlewały się z szarym niebem.

To juŹ nie był dziecięcy pokój. Znalazły się w nim trzy półki z książkami i lampka przymocowana do składanego biurka, na którym spoczywała jej praca zaliczeniowa na temat pierwszej wojny światowej. Zamierzała wstać wcześniej i dokończyć ją, choć był to ostatni dzień semestru, bo wolała juŹ być w Sarajewie i szykować zamach na arcyksięcia Ferdynanda. Tam przynajmniej wiedziała, gdzie się znajduje.

Jednak Pooch, siedząc niestosownie między książkami, przypominał jej wszystko swym nieustępliwym, krzywym spojrzeniem. Było krzywe, bo jedno z cięć wydarło mu kawałek pyska i Eileen przyszyła jedno oko niżej, żeby zakryć dziurę. Ściągnęła go z półki i cisnęła oczami w dół na łóżko. Minionego wieczora dzwonił Lawrence.

— Gates mnie wałkował...

Dokładnie tak powiedział. A gdy Gates juŹ wiedział, wyrzuty sumienia mieszały się z ulgą w jego głosie. Powiedział jej, iż Gates wie, że pojechała tego popołudnia sama. Pamiętała zakład, pamiętała, jak wskoczyła do samochodu,

jasne, że potrafi sama prowadzić, i to lepiej od niego! Krążyła po polach, pojechała w stronę Lynford i zawróciła. Nie było jej pięć minut. Cóż, posprzeczałi się o to. Lawrence twierdzi, że co najmniej dwadzieścia. Ale on przecież prawie oszalał z wściekłości, że pojechała sama! Zdawało mu się, że nie było jej bardzo długo, ale to było tylko takie wrażenie, nic więcej. On nie miał pojęcia!

Gates sprawdzał, czy była w Staunton, mówił Lawrence. Czemu więc nie przyjechał się z nią zobaczyć? Przez jakiś czas zdawało się jej, że każdy nadjeżdżający samochód musi należeć do inspektora. Ponieważ się nie zjawił, czy nie oznaczało to, że nic się nie stało, no chyba że w jej szalonej wyobraźni?

Normalni ludzie zapominali o zakupach, o spotkaniach, ale nie o morderstwach. To jeden wielki absurd!

Bardziej niż czegokolwiek innego, bardziej niż prawdy obawiała się obłądu, moczenia się, jak ciotka Betty, przyjmowania mieszanki tabletek, pomarańczowej na szaleństwo i żółtej łagodzącej skutki uboczne wywołane przez pomarańczową.

Bała się tabletek leżących teraz jak larwy w płaskiej puszcze. Już więcej ich nie weźmie.

— Ann — zapewnił ją Lawrence — czego byś nie zrobiła, kocham cię...

Ale co ona zrobiła? Potrząsnęła Poochem w agonii niemocy. Nękało ją coś, niby sen, który nie chciał powrócić, dręcząc ją swą obecnością na krawędzi świadomości. Gdyby zamknęła oczy i skupiła się, skupiła, mogłaby sobie przypomnieć, jak weszła do tamtego domu, wzięła do ręki broszkę...

Nie! To było w pierwszym domu.

Broszka...

Popatrzyła na zamkniętą na klucz szufladę biurka. Nie potrafiła otworzyć zamka własnego umysłu, ale było coś, co mogła zrobić, coś, czego unikała. Tak, wiedziała, że ma rację, bo ta myśl zachwiała rytmem pulsowania w jej głowie. To pulsowanie było jak dziecko, które coś schowało, a teraz woła zimno, ciepło, gorąco... To pulsowanie, ten ból poprowadzą ją...

Zaczęła się śmiać. Nie mogła znaleźć klucza. Jakże skrzętnie zabezpieczyła się przed odkryciem tego, co zrobiła! Zaczęła uderzać się rękami w boki, ściągać książki. Jedna z nich zvaliła lampkę, pod którą znalazł się klucz.

Tętno w jej głowie waliło ostrzegawczo, przypominając, żeby wzięła tabletkę, bo inaczej będzie miała kolejny atak, ale nie weźmie jej, nie weźmie. Tabletki

uśmierzą ból, ale też pozostawiają w niewiedzy.

Otwierała szufladę. W środku znalazła zdjęcie wycięte z „The Gazette”, ukazujące skradzione przedmioty znalezione na Beacon Ridge. Czy to ta broszka, którą ukradła? Fotografia była zbyt zamazana, zbyt niewyraźna, by mieć pewność, ale wprawiła ją w pewnego rodzaju trans. Gdzie ukryła broszkę? Nie wiedziała. Pamiętała tylko, jak się obudziła, a jej rodzice znaleźli pociętego Poocha na dole.

„Ann, coś ty zrobiła?”

Co zrobiła?

Ból głowy nie ustępował ani na chwilę i chciała jedynie się położyć, ale zmusiła się, żeby się ubrać. Zegarek kwarcowy stojący obok lampki pokazywał szóstą trzydzieści. W domu panowała cisza, choć zanim wstała, słyszała, że ktoś spuszczał wodę w łazience. Na dole założyła kurtkę i lodowate kalosze.

Ból sprawiał, że prawie nic nie widziała. Miała wrażenie, jakby sztywne niczym deska gumowe buty nie należały do niej, jakby miały własne życie i uciekały z jej zdrętwiałych rąk.

Gdy otworzyła drzwi, jaskrawe światło oślepiło ją. Świat był jak nie wywołana fotografia, pozbawiona wszelkiego koloru. Przedmioty rozszczerpały się na wibrujące od bólu aureole. Chciała już wrócić. Położyć się. Ale gdy się odwracała, coś uderzyło ją w twarz.

Oślepiający, wybielony kontur świata rozprysł się jak szkło. Woda z topniejącego śniegu spływała jej koło ust. W przypiływie szaleństwa pomyślała, że to jej dziecinne drugie ja, Ann z e na końcu uciekła, by ją zaatakować i zniszczyć, lecz w tej samej chwili zobaczyła Bena śmiejącego się od ucha do ucha i szykującego kolejną śnieżkę. Uchyliła się, gdy druga kulka świsnęła jej koło ucha i uderzyła w drzwi, i ruszyła, brodząc po omacku, przez puszysty śnieg. Ugniatała go, pracując z furią, zapamiętając, spychając Bena w stronę bramy. Poślizgnął się i razem poturlali się po białym puchu. Dźwignął się z trudem, śmiejąc się i pokrzykując.

Ann podniosła się powoli, zaczęła otrząpywać się ze śniegu, ale przestała. Przypomniała sobie nie to, gdzie schowała broszkę, ale to, co leżało obok pociętego Poocha. Stara zabawka Bena. Czy nie było tak, że po kłótni z bratem, w ślepej do niego nienawiści, zabierała mu jakąś zabawkę i chowała w swoim sekretnym miejscu?

Ruszyła w dół Chalkbank. Z tyłu znów świsnęła śnieżka.

— Gdzie idziesz?

— Tam i z powrotem, zobaczyć, jak to daleko.

Czyż nie to mówiła zawsze, gdy ją zapytali, gdzie była? Tam i z powrotem.

Ból znów czał się gdzieś przy niej, lecz czyste zimne powietrze pomagało trzymać go na dystans.

Była w wiosce, gdzie droga okazała się jedną taflą lodu. W oddali zobaczyła piaskarkę, a gdzieś bliżej ktoś próbował uruchomić samochód. Dalej, ponad ośnieżonymi dachami dostrzegła zarys „The Star”. Zobaczyła pewien obraz, nie wspomnienie, bo nic takiego się nie zdarzyło. To było jak niewyraźny zapis rozklekotanej kamery, jej albo nie jej, jak wchodzi niedawno wieczorem nie do „The Star”, ale do samochodu, obniża się na siedzeniu i czeka. Obraz znikł tak nagle, że kilka sekund później nie miała pojęcia, czy było to coś, co się zdarzyło, czy coś, co chciała, by się zdarzyło.

Ruszyła w górę ścieżki biegnącej obok starego domu Janet Travers, sprzedanego za niską cenę, jak mówiono, ze względu na morderstwo. Nagle poczuła mróz na twarzy. Potknęła się i wpadła w śniegowe zasy jak w lodowaty ocean. Dokoła rozciągał się dziwny, księżycowy krajobraz. Gapiła się zdumiona przez kilka sekund, nim dotarło do niej, co się stało: zniknął Pijak. Nie było żadnych ścieżek. Znajome drogowskazy przepadły. Jednak pośród morza bieli znać było inne kolory: szare ściany, czerń żywopłotów, czerwona reklamówka. Stanowiły jej mapę pod śniegiem, w którym tonęła gdzieniegdzie prawie po kolana.

Znalazła ścieżkę poniżej Greenway i szła nią, kopiąc przed siebie śnieg. Tak wiele razy chodziła tam jako dziecko, że instynkt zaprowadził ją na płaskowzgórze prędzej, niż się spodziewała. Rozpadlina znajdowała się pod nawisem, który osłaniał ją od śniegu.

Mimo zimna czuła, że robi się czerwona, a nawet się poci.

Każdy chował jakieś swoje sekrety, ale czy ona nie miała tajemnic nawet przed samą sobą? Serce jej waliło, a w ustach zaschło, jak gdyby mówiła komuś, matce albo ojcu, o czymś bolesnym i szokującym, z czego żadne z nich nigdy by się nie otrząsnęło. Zmusiła się do grzebania w ziemi i szukania zagłębienia, które stanowiło jej sekretne miejsce. Jej palce zdawały się znać to miejsce lepiej niż ona sama. Skuliły się, a kości cienkiego nadgarstka wkręciły się w rozpadlinę:

tak, jakby wkładała tam klucz. Wyciągnęła jeden kamień, potem drugi i trzeci, mniejszy.

Niczego tam jednak nie znalazła. Chwileczkę! Chyba coś było. Pudełeczko. Ciężkie. Zagrzechotały w nim przedmioty. Podniecona, wysypała je na dłoń. Potem wpatrywała się głupkowatym wzrokiem. Nie było wśród nich żadnej broszki. Były za to dwa pierścionki i wiktoriański zegarek kieszonkowy, który natychmiast rozpoznała jako należący do Brandona. Eileen mówiła, że w zeszłym tygodniu o mało sklepu nie rozniósł, jak mu zginął.

Ból był bardziej nieznośny niż kiedykolwiek, wprawiał jej mózg w wirowanie, w wycieńczające tornado, które nagle wywołało więcej obrazów, migoczących i drżących, jakby w każdej chwili mogły zniknąć. Była naga, siedziała na kimś. Mimo bólu czuła namiętność, była mokra, podniecona. Czuła dłonie, które zwykle widywała wędrujące do kieszeni, tym razem głaszczące jej piersi, wsuwające się między jej nogi. Jednak w chwili szczytowania zobaczyła, że nie znajduje się już na nim, lecz na Valerie Miles. Ciało kobiety nadal poruszało się w tym samym rytmie co ona, lecz jej głowa stanowiła niepodzielną masę krwi i kości.

Krzyk wciąż odbijał się echem w jej głowie, gdy przysła do siebie. Sturlała się nieco z płaskowzgorza. To była migrena, wyjątkowo silna migrena. Doktor miał rację. Całkowitą rację. 28 czerwca 1914. Dzień, w którym arcyksiążę Ferdynand został zastrzelony przez Gawryłę Principa, serbskiego licealistę. Z jej pamięcią wszystko było w porządku.

Zbiegała w dół, mijając żywopłoty, upadając i podnosząc się na nowo. Zgubiła gdzieś rękawiczki i jej ręce były czerwone jak surowe mięso.

Przystanęła i wyjęła z kieszeni zegarek — masywny, ciężki, niezaprzeczalny. Co dziwne, jego masywność niosła jakąś pociechę. Zamknęła go w złożonych dłoniach. Wstrząsy sprawiły, że znów zaczął chodzić, a powolne, naoliwione tykanie było w panującej dokoła ciszy jedynym dźwiękiem.

Podniósł się niewielki wiatr, który wystarczył, by poruszyć gałąź i strącić z niej trochę śniegu.

Zegarek stanął.

Dachy ponad miastem zdawały się podskakiwać i ruszać na nią, gdy schodziła z ostatniej części stromego zbocza. Na niektórych śnieg się skurczył, a po dachówkach ściekała woda.

Na końcu dróżki, przy domu stał Ben, ugniatając śniegową kulę. Razem z nim był ojciec. Podeszła do nich, jakby się ich tam spodziewała. Norman Devenish wlepił wzrok w jej postać, w jej czerwone ręce i dostrzegł to, co trzymały.

Świat wyrzucił się do góry nogami. Kiedyś była głupia, nieokrzesa, tępą i nie chcieli uwierzyć w jej uczciwość. Teraz była grzeczna i mądra, więc nie zamierzali uwierzyć, że jest złodziejką, mimo iż trzymała w ręku ten zegarek!

- Tak bardzo się ucieszy, że ma go z powrotem... Gdzie go znalazłaś?
- Nie znalazłam go, mamó! Ja go ukradłam!
- Czemu niby miałybyś to zrobić?
- Bo jestem zła, podła! Proszę, wybaczone mi, proszę!
- Nie mamy ci czego wybaczać, kochanie.
- Zabiłam ją.
- O czym ty mówisz?
- O Valerie Miles! Zabiłam ją!

Trzęsąc się i płacząc w ramionach matki, poczuła, jak ojciec ściskają za ramię i mówi, że zachowuje się tak, jak wtedy, gdy uciekła z domu i twierdziła, że zna mordercę. Odsunęła się od matki.

- To prawda! On się ze mną pieprzył, nie rozumiecie!
- Dość tego!

Zaczęła szaleć, opowiadać im, jak chodzili do tamtej chaty, detale, o których sama nie wiedziała, dopóki nie popłynęły z jej ust, jakby coś w niej pękło, jak zostawiał przed „The Star” samochód jako sygnał, tak jak tamtego wieczora — muszą to sobie uświadomić, muszą zrozumieć, to trwało sześć miesięcy, aż Valerie Miles dowiedziała się i miała zamiar powiedzieć pannie Montrose, a ona poszła tamtego popołudnia do ich domu i... i... kasowała to w pamięci, za każdym razem kasowała to w pamięci, nie potrafiła wyjaśnić, jak to się działo...

Zakryła twarz dłońmi i szlochała bez opamiętania, a oni pocieszali ją, jakby była maleńkim dzieckiem, byli cudowni.

Potem usłyszała, jak Eileen mówi, naprawdę, usłyszała, jak mówi, że to żywcem wzięte z tego czasopisma, „Woman” zdaje się, gdzie nastolatka przysięgała w sądzie, że nauczyciel ją molestował, ale okazało się, że to wszystko kłamstwa,

no cóż, ta dziewczyna w nie wierzyła, ale to były tylko wytwory jej wyobraźni, coś, w co sama chciała wierzyć. Błagała ich, zaklinała.

— Proszę, uwierzcie mi, błagam, uwierzcie.

Eileen błagała równie usilnie: — To nieprawda, nie możesz wymagać, żebyśmy w to uwierzyli! On zrobił dla ciebie tyle dobrego...

To była prawda, to była prawda. Mówiła chaotycznie, była wykończona, śmiała się, bo nic innego jej nie pozostało, tylko śmiech, mimo iż widziała, że oboje biorą to za śmiech szaleństwa, ale to była wesołość, czysta radość, bo opowiedziała im właśnie najlepszą na świecie historię z serii „Słyszeliście, co zrobiła Ann Devenish?”, a oni nie chcieli uwierzyć.

W międzyczasie wyprawili Bena do szkoły, ojciec zadzwonił do biura, a Eileen do sklepu.

— Pański zegarek się znalazł, panie Brandon...

Znalazł się! Znów mieli zamiar udawać, tak jak z Rolexem, czemu nikt jej nie wierzył, to świat zwariował, nie ona. Znowu zaczęła szaleć, próbowała dorwać się do telefonu. Ojciec ją przytrzymał. Usiłowali zmusić ją do wzięcia tabletek. Wrzeszczała, że chce się zobaczyć z Gatesem.

— Z Gatesem! Już nie miałabyś z kim! To przez niego to wszystko!

— I przez tę twoją przekłąętą wyobraźnię — dodała Eileen.

Zaciskała usta ciasno w wąską kreskę, żeby nie przyjąć tabletek. Tabletki były na głowę, a z jej głową wszystko było w porządku. Dopiero gdy wzięli do ręki telefon, żeby zadzwonić po doktora — bardziej bała się jego niż pigułek — nagle uległa.

Energia z niej uleciała, a wraz z nią historia, którą opowiedziała. Czyż nie była to tylko historia? Gdy brała od matki szklanę z wodą, czy wszystko nie zaczęło blaknąć, tracić kolor, kształt, realność, istotę, tak jak zwyczajny sen?

Czy nie tak było? Połknęła tabletki.

— O to chodziło! Dobra dziewczynka.

Dobra dziewczynka. Mieli rację. Taka właśnie była. Musi nie tylko robić to, co jej każą, ale też być taka, jak jej mówią. Wiedzieli przecież, jaka jest. Ojciec odgarnął śnieg i pojechał do pracy. Leżała na kanapie, przykryta kocem, a matka chodziła wokół niej na palcach, dotykając czoła i poprawiając przykrycie. Obudził ją telefon. Usłyszała nazwisko Milea.

— ...O, nie, nie ma mowy, żeby dzisiaj przyszła — mówiła Eileen. — Jest trochę wytrącona z równowagi...

Miles musiał coś powiedzieć, bo po twarzy Eileen rozlał się rumieniec.

— Rzecz w tym, że się ostatnio przepracowywała... Wiem, że chodzi o koncert...

Nastąpiła dłuższa przerwa.

— Cóż, może pan spróbować zadzwonić później, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, aby...

To był ostatni dzień semestru. Ostatni szkolny dzień. Czy to nie z jakiegoś wiersza? Tak, przypomniała sobie. Koncert szkolny. Zapomniała o nim. O pierwszej Eileen przygotowała grzanki z serem i z jajkiem, a ona zjadła je, nie czując smaku, idealny kwadracik po kwadraciku, jakby były ponumerowane. Bardziej przypominało to jakieś ćwiczenie niż posiłek.

— Wyglądasz znacznie lepiej...

Nie czuła teraz bólu głowy, ale powinna wziąć jeszcze jedną tabletkę, dla własnego bezpieczeństwa. Tamten wybuch wycięczył ją i leżała na kanapie w ciszy zimowego popołudnia, wlepiając wzrok w czarno-biały świat za oknem, w ołowiane chmury. O drugiej znów zaczął padać śnieg, a o trzeciej zadzwonił John Miles.

— Zdaje mi się, że wciąż śpi...

Usiadła, wyciągając rękę po słuchawkę. Tak jak matka i ojciec, John Miles powie jej, co ma robić i kim być.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Znów zaczął padać śnieg, gdy Gates przedzierał się przez korki na obwodnicy Hammersmith. Zastanawiał się, jak, u licha, mógł tu w ogóle kiedyś żyć.

Black natomiast zawsze gadał o przeniesieniu. Wdychał teraz dieslowskie spaliny, jakby wachał wino, i z uwielbieniem spoglądał na kobiety.

— Sto pięćdziesiąt kilometrów i jesteśmy na innej planecie... Czego musimy się dowiedzieć?

— Dlaczego ten Miles wyjechał.

— Bo nie miał ochoty na kolejny nóż w żebrach.

Gates milczał. Miał nadzieję dowiedzieć się więcej, jednak płynność kadr w

komendzie stołecznej była tak wysoka, że nie znalazł na służbie nikogo, kto mógłby pamiętać tamtą sprawę. Dowiedział się niewiele więcej niż z akt. John Miles uczył w Londynie od sześciu lat, z tego cztery w szkole Grove Gardens. Dwa i pół roku temu został ugodzony na boisku nożem przez Iana Sullivana. Ostrze przeszło tuż obok serca i uszkodziło płuco.

Gates skierował się na północ od King Street, w labirynt niewielkich ulic.

— Znasz ten rejon? — spytał Black.

— Już nie.

Znalazł się w dzielnicy, do której przybył, gdy zaczął pracować w komendzie, i to właśnie tutaj poznał Sheilę. Pamiętał objazdy i zakręty, ale domy stały się nie do rozpoznania dzięki nowej farbie, mosiężnym kołatkom i alarmom antywłamaniowym. Niebo było ciemne, więc mimo wczesnego jeszcze popołudnia w niektórych oknach paliły się światła, odsłaniając obrazy i półki z książkami. Jechał w stronę Duke Street, gdzie przed przeprowadzką do Staunton mieszkali Milesowie.

— Mieszkalem tu kiedyś.

Black wyszczerzył zęby. — Własny dom, co?

— Mieszkanie.

Mieszkanie na poddaszu z widokiem na szare śmietniki i prowadzącymi do niego trzydziestoma krytymi linoleum schodami, gdzie byli szczęśliwsi, niż zdawało mu się możliwe, mimo trudności z poczęciem dziecka, którego oboje tak rozpaczliwie pragnęli. Gdy Claire się w końcu urodziła, Sheila zaczęła się niepokoić, że pracuje w coraz mniej bezpiecznym mieście, więc przeprowadzili się na wieś, by poczuć się nieco pewniej.

Nie widział tych ulic po śmierci Sheili.

Wcześniej z pewnością obsesyjnie pragnął złapać Deana, przekonany — tak jak inni wciąż byli — że to on odpowiadał za wszystkie trzy morderstwa, ale czyjego niechęć do powrotu w te okolice nie była inną przyczyną, dla której nie zrobił jak dotąd tego, co oczywiste?

— Dowiedz się, czego się da, od sąsiadów — rzekł, wysadzając Blacka na Duke Street.

— A ty dokąd jedziesz?

— Do szkoły.

Bez wątplenia była to inna planeta, gdy porównało się szkołę Grove Gardens z Bishop Griffith's. Na szarych kamieniach wciąż tkwiła tabliczka przyczepiona

przez radę miejską, ostrzegająca, że osoba niszcząca budynek zostanie ukarana mandatem wysokości dziesięciu szylingów. Ktoś próbował zamazać nazwę szkoły, ale graffiti zostało usunięte, przy czym zeszła także część liter. Gatesowi udało się tylko przeczytać: „Dyrektor S.V. Pearson”

— Czy chodzi o Denninga? — spytał od razu Pearson.

Był człowiekiem około pięćdziesiątki, z rzednącymi włosami i krzaczastymi brwiami podwijającymi się na końcach do góry.

— O Denninga?

— Zaginał chłopiec z naszej szkoły.

Na jednej ze ścian znajdowały się dziecięce obrazki przedstawiające święta religijne: Jezus ramię w ramię z hinduskimi bóstwami. Na innej wisiały zdjęcia absolwentów z Pearsonem pośrodku.

— Chodzi o Johna Milea.

Czyżby oczy Pearsona zwięzły się nieco, gdy opuścił swe wielkie, kościste ciało na fotel za biurkiem? Podrapał się po łysinie i oplótł nogą krzesło.

— Co w związku z nim?

— Dlaczego odszedł?

Na korytarzu ktoś krzyknął i walnęły drzwi. Coś drgnęło w twarzy dyrektora.

— Został zaatakowany.

— Czy to wszystko?

— Czy to nie wystarczy?

Czarnoskóra kobieta otworzyła drzwi, zobaczyła minę Pearsona i już miała je zamknąć, gdy on rzekł: — Nie znalazłaby się jakaś herbatka, pani Challon?

Kobieta odeszła bez słowa, a Pearson popatrzył na obrazki.

— Nie zmusi ich pan do namalowania Jezusa z czarną twarzą, nawet gdy sami są czarni. Nie mówiąc już o Azjatach.

Przechylił oparcie fotela w stronę okna wychodzącego na boisko. Muru prawie nie było widać, choć było dopiero późne popołudnie i paliły się uliczne latarnie.

— Kiedyś urządziliśmy w hallu wystawę twarzy Jezusa w różnych epokach. Pomysł Milea. Był bardzo dobrym nauczycielem. Naprawdę świetnym...

Usiadł prosto.

- Mogę wiedzieć, dlaczego mnie pan o niego pyta?
- Niedawno zamordowana została jego żona.
- Tak. Tak. Czytałem o tym. Wstrząsające. Wstrząsające.
- Napisał pan o tym do niego?
- Czy napisałem...? Cóż, nie, nie... ma pan rację. Powinienem być.

Spojrzał na stertę papierów na biurku i na hałdę obok, które, jak dostrzegł Gates, stanowiły egzaminy państwowe, i uśmiechnął się lekko.

- To jedna z tych spraw, na które nigdy nie ma czasu.

Uśmiech nagle zgasł i Pearson widocznie się zdenerwował, wyciągając palce, aż mu zaczęły trzeszczeć stawy.

- Musi się pan o nim czegoś dowiedzieć, czy tak?
- Chcę wiedzieć, dlaczego odszedł.
- Mówiłem panu.
- Czy to jedyny powód?

— Być może się myliłem... — zaczął Pearson, gdy zjawiła się pani Challon z dwoma kubkami herbaty.

- Którą stertę ma pan zamiar dziś utopić, panie Pearson?
- Ehm... tę tutaj.

Ostrożnie postawiła kubek na stosie papierów i wyszła, nie zerkając nawet w stronę Gatesa. Pearson otworzył szufladę i wyciągnął pomietą torebkę cukru z łyżeczką w środku i zaproponował Gatesowi. Ten pokręcił głową.

- Słodzę tylko w nocy.
- Och. Odkąd przestał pan patrolować ulice?

Gates uśmiechał się, podczas gdy Pearson dokładnie odmierzył półtorej łyżeczki cukru i wyspał do kubka. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby panna Montrose trzymała w biurku cukier, lecz było coś podobnego w ich czujnych twarzach; oboje stanowili składnice niekończących się problemów, marzeń, tajemnic.

- Mówi pan, że być może się mylił...? — przypomniał Gates.

Pearson wyprostował się, czy raczej rozprostował, wypełniając niemal odpowiednią pani Challon i prawie że wylewając herbatę.

— Nie chciał odchodzić — powiedział. — Lubił uczyć. Nawet gdy został zraniony — to było okropne, chłopak rzecz jasna został usunięty — Miles gotów był zostać, bardzo tego chciał, ale był pewien problem, taka plotka...

Herbata była mocna i mdląca, i po raz pierwszy Gates chętnie by ją sobie posłodził, ale pił już gorzką.

— Dotycząca dziewczyny?

Pearson popatrzył na niego zaskoczony.

— Skąd pan wie?

— Proszę mówić dalej.

Pearson wziął duży łyk herbaty i zdołał potem wetknąć kubek między dwie sterty.

— Mieliśmy uczennicę, nazywała się Lucinda Gray. Krążyły słuchy, że Miles... To tylko plotka... nie chciałbym, żeby to...

— Zostało popełnione morderstwo.

Herbata w kubku Pearsona zdrzała, ale udało mu się jej nie rozlać. Popatrzył nieprzytomnie i wstał z fotela, żeby obejrzyć rysunki dzieci.

— Co on zrobił?

— Nie wiem.

— Czy jest podejrzany o zamordowanie żony?

— Czemu pan tak myśli?

— A niby po co by pan tu przyjeżdżał?

Wciąż spoglądał to na obrazki, to na Gatesa.

— Zapewniał mnie, że już nigdy nie będzie uczyć — dodał.

Gates podskoczył na dźwięk tego słowa.

— Zapewniał? Dlaczego zapewniał?

— Cóż, mówił mi, skoro pan tak woli... Po takim przeżyciu...

— Proszę mi opowiedzieć o tej Lucindzie Gray.

— To była zdolna dziewczyna, jedna z najzdolniejszych, choć może nieco skłonna do przesady...

— Ile miała wtedy lat?

— Piętnaście. Dopiero co skończyła.

— Czy oskarżyła go o romans?

— Ależ skąd! Nie ma mowy! On był dla niej ósmym cudem świata. Tak jak i dla reszty klasy. To był bardzo lubiany nauczyciel. Chcę, żeby pan o tym pamiętał, inspektorze. Oskarżano go o to, ale podobne historie krążą tu każdego tygodnia, wszyscy się z tego śmiali, aż...

Przeraźliwie zabrzączał dzwonek i rozpętało się piekło. Pearson wstał szybko, wylewając w końcu herbatę, czego nawet nie zauważył, i wielkimi krokami poszedł otworzyć drzwi. Gates słyszał jego podniesiony głos górujący nad

rozbieganymi dziećmi, gdy sam też wstał i zaczął ścierać z papierów herbatę.

— Jackson, Stewart... to nie maraton... Czy pan Bellamy pozwolił ci to wziąć?... No to w porządku, do jutra, Polly...

Pearson powrócił.

— Czy to moja sprawka? Proszę nie skarżyć na mnie pani Challon, dobrze...? — Dostrzegł wyraz twarzy Gatesa i rzekł: — Przepraszam, inspektorze, możemy kontynuować, ale zdaje się, że nie bardzo pamiętam, na czym stanęliśmy...

— Kto go oskarżył o romans z tą uczennicą?

— No cóż, to były bezpodstawne oskarżenia, wie pan, oparte na uprzedzeniu i...

— Kto go oskarżył, panie Pearson?

— Ian Sullivan.

— Uczeń, który pchnął go nożem?

— Tak. Był chłopakiem Lucindy. Przepraszam... nie wspominałem już o tym?...

Nim minęły dwie minuty, Gates wybiegł ze szkoły. Boisko było już puste. Jeszcze raz dostrzegł przez mgnienie oka Pearsona wyglądającego przez okno gabinetu, gdy kaszląc nieprzerwanie, wybierał numer na telefonie w samochodzie i nie czekając na połączenie, zapalił światła i wyjechał poza szkolne bramy.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

To był wieczór, którego nikt w dolinie z ludzi, którzy tam wtedy byli, nie zapomni, a Ann Devenish stanowiła jego gwiazdę, jednak jej nazwisko złotymi literami nie znajdzie się już na tablicach ogłoszeń w auli — usunięto je nawet dyskretnie z ekskluzywnej listy laureatek nagrody Dorothy Richardson.

Stała się legendą, nie żywą osobą, podobnie jak Pijak, opowieścią z morałem dla niegrzecznych dzieci.

Oczywiście uważali za niedorzeczność jej pójście na koncert — mówił Norman Devenish — po tym, co wyprawiała rano. Zapytali ją o tę historię, którą im wciskała.

— Co takiego? — rzekła, posyłając im przeszywające bezpośrednie spojrzenie.

Od razu wiedzieli, że już jest sobą. Zrozumieć należy, że borykali się z tym przez całe jej życie, no, może nigdy nie w takim stopniu, no i od jakiegoś czasu mieli jednak spokój, ale przyjmowali to jako część jej osobowości. W pewnym sensie tego dnia gotowi byli zaakceptować to prędzej niż jej numery z dzieciństwa, bo wiedzieli już, jaka jest utalentowana; taka była cena, jaką przyszło jej (i im) zapłacić.

Mimo że oboje za nic na świecie nie chcieli jej puścić na ten koncert, mówiła Eileen Devenish, a ojciec jak zwykle nie miał zamiaru ustąpić, to Ann owinęła go sobie wokół małego palca. Łatwo ludziom mówić, że trzeba było powiedzieć to czy zrobić tamto, ale oni nie znali Ann. Zresztą kto ją znał?

Była bardzo spokojna i, cóż, aż trudno uwierzyć, że zachowywała się tak rano. Nie, nie chciała niczego na podwieczorek, może tylko herbatnika, ale to było normalne. Grała już w kilku przedstawieniach. Zwykła była wtedy mawiać, że żołądek za bardzo jej się ścisnął, żeby mogła jeść. Piła jednak hektolitry herbaty. Hektolitry. Wszyscy oni pili, wyglądając przez okna na płatki śniegu wirujące w ciemności.

Co za wieczór!

— Nigdzie się w taką pogodę nie ruszam! — oznajmił ojciec.

— To koncert na koniec semestru.

— Na moje, to może być nawet koronacja.

I tak dalej. Powrót do normalności, absolutnej normalności, inaczej w ogóle by tam nie pojechali, w ogóle.

— Pójdę więc pieszo — rzekła.

Była niewzruszenie spokojna.

— Nie bądź głupia — odparł ojciec.

I wtedy przestało padać. Nagle. Wyglądało, jakby miało sypać przez całą noc, i w jednej minucie przestało. Wiał lekki wiatr i było ślisko, gdzie świeży śnieg przykrył resztki starego, który zamienił się w lód.

Na drogach nie było tak źle, jak się spodziewali. Gdy dotarli do szkoły i witali się ze znajomymi, ludzie mówili, że to dzięki pannie Montrose, która, gotowa na wszystko, by tylko nic nie zepsuło jej koncertu, wymusiła na zarządzie dróg wyjazd pługów i piaskarek. Zadziwiające, ilu ludzi przyszło, wypełniając mokre korytarze, gdzie w ciepłe unosila się para z zimnych oddechów; gromadzili się wokół stołów z poczęstunkiem w jadalni, czekając na poncz owocowy po funcie

za szklaneczkę i paszteciki po pięćdziesiąt pensów: już panna Montrose wiedziała, jak zdobywać fundusze na edukację.

Potem zabrzmiał dzwonek, jak w prawdziwym teatrze, i zaczęło się szukanie biletów, programów (następne pół funta), miejsc, niekończące się szuranie krzesłami, narzekanie rodziców małych dzieci, że ich pociechy nie widzą, gonitwy do przodu w celu sprawdzenia, czy nie uda im się zamienić na miejsca.

Usiedli koło Brandona, który bardziej niż kiedykolwiek wyglądał na piekarza z epoki królowej Wiktorii ze swymi długimi wąsami i odzyskanym zegarkiem na łańcuszku.

— A zatem Ann dotarła?

— Poczuała się lepiej... Przeszło jej — powiedziała mu Eileen.

— Nie ma jak młodość, prawda?

Nie, nie rozmawiali z Johnem Milesem, zbyt był zajęty, ale pomachali mu z daleka. Czasem widziano go wśród publiczności z przodu, a czasem zniknął za kulisami.

Aula wyglądała jak z obrazka, przybrana ostrokrzewem i świątecznymi dekoracjami oraz piękną kurtyną z napisem: WESOŁYCH ŚWIĄT ŻYCZĄ NIESFORNE DZIEWIĘĆDZIESIĄTE — tytułem tego ich przedstawienia.

Orkiestra zagrała, nim zgaszono światła, więc wszyscy oczywiście zaczęli krzyczeć światła, światła, a potem zaczęło się od oszałamiającego kankana. Linda Stone, która wykazała się wielką odwagą, wychodząc na scenę z takimi nogami, otrzymała wielkie owacje, kiedy rzuciła swą podwiązkę publiczności. Zdawało się, iż nic nie będzie w stanie tego przyćmić — aż do ostatniego numeru przed przerwą.

Grupka szóstoklasistek siedziała w kręgu: jedna w kwiecistej spódnicy, takiej, jaką nosiła panna Royal; druga spoglądała spod peruki szpakowatego koloru, wyglądając jak pani Leicester. Wstały, gdy na scenę wkroczyła panna Montrose — przynajmniej tak to wyglądało.

Ann Devenish była prawie tego samego wzrostu. Miała na sobie charakterystyczną czerwoną spódnicę, błyszczącą białą bluzkę i apaszkę barwy czerwonego wina. Nie chodziło jednak tylko o strój, raczej o sposób poruszania, swoistą manierę, świdrujące spojrzenie, które skierowała tuż ponad głowami publiczności, a które sprawiło, że wszyscy zerkali w stronę prawdziwej dyrektorki, jakby szukając potwierdzenia tego, co widzieli.

Nastąpił moment ciszy, który, jak twierdzili znawcy spotkań z panną Montrose, był doskonale umiejscowiony w czasie, a w którym oczy prowadzącej omiatały zgromadzonych tak długo, aż umilkły kaszle, szuranie krzesłami, skrzypienia.

Eileen Devenish mówiła, że przez jedną paraliżującą chwilę była pewna, że Ann wyskoczy z tymi przerażającymi bzdurami, które popłynęły z jej ust raniem, lecz wówczas córka klasnęła lekko w dłonie i rozpromieniła się, mówiąc całkiem jak panna Montrose:

— Pewnie zauważyliście państwo, że śnieg przestał padać... Poprosiłam, by powstrzymał się do czasu, aż wszyscy bezpiecznie znajdziecie się w domach.

Cała sala turlała się ze śmiechu!

Rodzice Ann obejmowali się, czując ulgę! Nic jej nie było. Nie tylko nic jej nie było, cóż, sami nie wiedzieli, jak to ująć! Z początku nie mogli się śmiać, bo robiła to, gdy miała czternaście lat i prawie została wyrzucona ze szkoły: naśladowała pannę Montrose, naigrawała się z jej niczemności, a teraz robiła to przed nią samą, przed całą szkołą, i dopiero gdy ludzie, wszyscy ludzie dokoła nie mogli zapanować nad obezwładniającym śmiechem, poczuli się na tyle bezpiecznie, by do nich dołączyć.

Pozostała panną Montrose w każdym geście i intonacji, lecz słowa stawały się coraz bardziej zuchwałe:

— Znalaziono parę białych — czy raczej niegdyś białych — majtek. Dyrektorzy innych szkół mogliby spekulować, czy wraz z nimi właścicielka straciła coś jeszcze... Ja takich spekulacji prowadzić nie będę, jako że nic tego rodzaju w mojej szkole nigdy nie ginie...

W ogólnej wesołości zabrzmiała nuta strachu, że posunie się za daleko. W rzeczy samej, niektórzy napomknęli potem, że panna Montrose śmiała się niechętnie, jednak rada szkoły i inni ludzie dokoła wciągnęli ją do wspólnej zabawy. Rodzice nigdy nie byli z Ann tak dumni jak wtedy. Miała u swych stóp całą szkołę, cały świat, jak im się zdawało.

Czuła się, jakby była między nią a tym śmiechem gruba szyba. Czy zdawała sobie sprawę, że rozbiera pannę Montrose na części pierwsze i że szkoła przez to już nigdy nie będzie taka sama?

Ani trochę.

Ona była panną Montrose, nie licząc pyłku drwiny, który zdawał się unosić gdzieś poza nią, niczym cienka linka marionetki.

Gdy skończyła, poczuła się wypompowana, pusta.

Szyba wciąż tkwiła między nią a oklaskami, gratulacjami, gdy wróciła za kulisy, co więcej, stawała się coraz grubsza, zamazując obrazy, zagłuszając dźwięki. Lawrence stał przy składziku, który jej, Melissie i Penny służył za garderobę. Wybałuszał oczy i jąkał się.

— Ann, byłaś super!... Super!

— Dziękuję... ci. — Jej głos wciąż nosił znamiona mowy panny Montrose. — Boże, posłuchaj... muszę odpocząć... Możesz dopilnować, żeby nikt mi nie przeszkadzał?

— Oczywiście.

Dobry, wierny Lawrence! Uściskała go.

— Przepraszam, że byłam taka...

— Nieważne... cokolwiek się stanie...

— Co to znaczy... cokolwiek się stanie? — spytała, odpychając go.

— Cokolwiek się stanie — powtórzył z taką *mocą* w głosie, jakiej jeszcze nigdy u niego nie słyszała.

Dotknęła jego policzka.

— Bardzo, bardzo cię lubię, Lawrence — powiedziała.

Tak było. Pocałowała go i odsunęła się, nim zdążył ją zatrzymać. Twarz miał nieprzytomną ze szczęścia, gdy zamykała drzwi i przekreślała w zamku klucz.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Black jechał na sygnale. Zawsze to trochę pomogło, choć nie aż tak wiele. Wjechał na krawężnik, mijając korek na Wood Lane w pobliżu studiów telewizyjnych BBC. Gates wycierał dłonie w spodnie i od czasu do czasu wyciągał dwa niebieskie bilety, w które wpatrywał się, składając je i rozkładając.

— Co to jest? — spytał Black.

— Nasze wejściówki.

— Wejściówki?

- Jedź już.
- Dokola Green?
- Nie... Tu, gdzie ten zakaz wjazdu...

Wciąż pamiętała awaryjne skróty, w głowie rozłożyła mu się mapa.

Blackjechał boczną ulicą na długich światłach. Zza rogu wyjechała na nich ciężarówka. Kierowca musiał być ślepy i głuchy albo zahipnotyzowany jak zając w świetle samochodowych lamp, bo ledwo zdążył się zatrzymać. Miotając przekleństwa, Black cofnął i minął wóz, ocierając się o niego.

„Proszę przyjąć” — mówiła. A potem nagle humor jej się zmienił, powiedziała, że to będzie dziecinada, i dosłownie próbowała wydrzeć mu bilety z ręki. Wciąż mu się wymykała ta Ann Devenish. Mylił się, całkiem się mylił. A w każdym razie nie do końca miał rację, co na jedno wychodzi.

Gates schował bilety z powrotem do kieszeni, wytarł dłonie i wziął do ręki radiotelefon. Przez ostatnie pół godziny to były trzy powtarzające się ruchy. One i nieustanne naciskanie stopą na nieistniejący pedał.

Uxbridge Road. Samochody zmierzające na zachód od Londynu stały praktycznie w miejscu. Black wcisnął się w sznur pojazdów i znów włączył syrenę. Korek poruszał się, ale śmiertelnie powoli.

Nie powinien był wyjeżdżać, ale z drugiej strony...

Zadzwoił do centrum kontroli Scotland Yardu. Nadal nie było zbyt wiele wiadomości z Ash Valley.

— Samochód będzie czekał... miejscowy konstabl został namierzony... jest akurat w szkole...

Moore. To beznadziejne. Beznadziejne.

- Jakie są instrukcje...?
- Nie wolno mu tracić z oczu dziewczyny.
- Może pan powtórzyć?

Głos brzmiał spokojnie, rzeczowo, to głośniej, to ciszej w falach zakłóceń.

- Ann Devenish... D jak drzewo, E jak echo...
- Bravo X 3, twoja wiadomość została przyjęta o osiemnastej siedemnastie...

Wszystko zarejestrowane, wszystko zgodnie z regulaminem. Podstawowa zasada policji: być krytym. Służbę w Stoke Prior miał inspektor Peters i to on dysponował wszystkimi samochodami: te, które nie wyjeżdżały do wypadków,

krążyły po okolicy w poszukiwaniu uczestników technoparty, które w taką pogodę na pewno się nie odbędzie. Dla niego sprawa była zakończona. Może i uszczęśliwi Gatesa jednym wozem, ale żeby samemu być krytym — nie dlatego, żeby uważał to za pilne.

Boczne ulice. Krótkie odcinki szybkiej jazdy, powroty w te same miejsca, złudzenie ruchu, a potem znów siedzenie na ogonie innych na Goldhawk Road.

Niemożliwe, że to już za dwadzieścia pięć siódma!

Wziął telefon i, o dziwo, połączył się ze Stoke Prior. Niestety, nie z sierżantem Alanem, lecz z sierżantem Burke'em, ostrożnym człowiekiem, ostatnią osobą, jaka zgodziłaby się wyciągnąć z imprezy oficera policji, który akurat dobrze się bawi.

— Słuchać pana jak z księżycy, inspektorze...

— Tak jakbym tam był... Mógłbyś spróbować wezwać nadinspektora Greena?

— Pan Green jest w „Moffat Hill”, proszę pana.

W restauracji w „Priors”, hotelu, gdzie policja z Ash Valley często wyprawiała swoje przyjęcia. Tym razem była to kolacja klubu rugby.

— Wiem... Możesz powiedzieć mu, że to pilne...?

Chiswick zakorkowana. Na drodze nie było śniegu, ale zalegał w brudnych grudach w rynsztoku i leżał jak granulowany cukier na chodnikach, gdzie tylko nieliczni ludzie spieszyli wtuleni w swe okrycia. Wszyscy albo siedzieli w domach, albo usiłowali się do nich dostać.

Dotarli na autostradę tuż po siódmej. Ostrzeżono ich, że nie jest dobrze, ale załamali się, gdy przy wjeździe zobaczyli długi ogon pojazdów i przy sporym wysiłku zdołali się weń włączyć. Na innych drogach sytuacja przedstawiała się równie fatalnie, choć ludzie z kontroli ruchu powiedzieli, że mogą spróbować opuścić autostradę zjazdem numer dziewięć...

Black nie wiedział już, co robić. Na drodze prowadzącej do autostrady wszystko stało. Coś musiało się wydarzyć gdzieś przed nimi. Black wyłączył syrenę i światła. Nagła cisza poraziła ich swą niesarnowitością. Kobieta ze stojącego obok samochodu włożyła do ust czekoladkę, potem następną.

W końcu żółtym tempem znów ruszyli do przodu. Znów syrena i światło na dachu z mozołem, powoli rozdzierały korek. A wszystko przez awarię na skrzyżowaniu, gdzie kierowca w dalszym ciągu spychał samochód na pobocze.

Ciągle nie miał konkretnego dowodu. Wszystko opierało się na poszlakach i spekulacjach. I wszystko wskazywało na to, że tak pozostanie, jeśli nie przebiją się przez ten korek na czas. Po raz kolejny analizował to, co powiedział mu Pearson, i modlił się, żeby nie mieć racji, żeby okazało się, iż tak go rozdrażnił Peters, że dał się wciągnąć w kuriozalne fantazje Ann Devenish. Miał nadzieję i błagał w duchu, żeby tak było.

Mijali zjazd numer trzy, drogę dojazdową, wjeżdżali na pas zieleni dzielący autostradę, hamując silnikiem, gdy wpadali z powrotem na utwardzoną powierzchnię pokrytą lodem.

Zadzwoił do Burke'a.

— Na razie nic z tego, panie inspektorze... Pan Green jeszcze się nie pojawił... Mamy fatalne warunki na drogach... Nie jedźcie radiowozem.

No jasne, skoro pojechał na kolację z klubem, nie mógł przecież jechać radiowozem.

Gates znów trzymał w dłoniach niebieskie bilety. Jak długo mógł potrwać koncert? Zaczął się o wpół do siódmej? Dwie godziny? Do wpół do dziewiątej?

Była za piętnaście ósma.

„Proszę przyjść”.

Widział jej twarz. Była na niej wypisana prośba, pilna prośba. Nie, nie, niczego sobie nie wmawiał, to był niepokój, wyrzuty sumienia.

„Nie pamiętam”.

Kolejna wymówka, gdy po raz pierwszy zetknął się z nową Ann Devenish. A potem wzięła tabletki, kilka tabletek.

— Żeby tylko udało nam się dojechać przed wpół do dziewiątej... — odezwał się.

— Dlaczego?

Nie odpowiedział, bo nie znał odpowiedzi. Pragnął tylko, żeby droga opustoszała, a ich samochód dotarł wreszcie do szkoły Bishop Griffith's.

Black jechał teraz z prędkością stanowczo odbiegającą od zalecanej jako bezpieczna na oblodzonej drodze, nieustannie wbijając zęby w dolną wargę. Wyjechali już poza oświetlony teren i reflektory samochodu wcinają się w ciemność, oświetlając poruszające się wolno obok nich samochody.

Zdawało się, że ów wypadek wyskoczył na nich z mroku na przedzie. Trzy samochody osobowe i ciężarówka stały w poprzek pasa zieleni i wewnętrznego

pasa jezdni. Migotały światła radiowozów, a niewyraźne żółte postaci znakowały teren. Black wrzucił dwójkę, a silnik zawył. Wpadł w pułapkę między barierką a pojazdami na wewnętrznym pasie i musiał hamować. Samochód wpadł w poślizg. Żółte postaci rozprysły się. Między barierą a jednym z rozbitych samochodów widniała maleńka przestrzeń. Black zdjął nogę z hamulca i obrócił kierownicę w stronę, w którą ślizgał się samochód, po czym gwałtownie odbił. Przez moment wydawało się, że mu się uda. Nagle dotknął bariery, odbił się od rozbitego auta, obrócił pośród przerażonego, wrzeszczącego kręgu, zatrzymując się kilka centymetrów od dwóch zaparkowanych radiowozów.

Oniemiała cisza. Odgłos otwieranych drzwi. Dzięki pasowi Gates utrzymał się w fotelu, ale uderzył w coś głową. Poczul strużkę krwi. Usłyszał, jak Black mówi, a jego głos odbija się dziwnym echem: — Nie zdążymy na koncert.

A potem inny głos: — Nigdy nie myślałem, że wpadniesz mi w ręce, Dick.

To właśnie ten głos przywrócił go do życia. Sierżant Watson był Irlandczykiem z drogówki, który, podobnie jak Gates, chadzał własnymi drogami.

Gates wygramolił się z wozu.

— Pożyczysz mi samochód?

Watson wskazał palcem.

— Tamten. Jim, zawieziesz pana inspektora na koncert?

Bez pytań. Bez marnowania czasu. Druga zasada pracy policjanta: jeśli potrzebna ci pomoc — pomoc bez pytania — otrzymasz ją od tych z dołu, nie z góry. A ludzie się dziwili, dlaczego policjanci trzymają się razem, kryją swoich kolegów, jak kto woli!

Gdyby się w tym względzie mylił, jako oficer jadący tamtym samochodem zostałby ukarany za niebezpieczną jazdę, co podobałoby się niektórym osobom, a co w gruncie rzeczy mogłoby się okazać bardzo przykre — tyle że Watson swym łagodnym irlandzkim głosem obniżyłby prędkość Blacka o co najmniej trzydzieści kilometrów na godzinę.

Te myśli ledwo zdążyły przemknąć mu przez głowę, bo to, co wyglądało na katastrofę, okazało się całkiem sprzyjającym zbiegiem okoliczności. Jim przemierzył tego dnia większość okolicznych dróg.

— Jeśli skręcimy tutaj... będzie sporo śniegu, ale niewiele samochodów...

Gdy dotarli wreszcie do szkoły, był przekonany, że jednak się pomylił. Radiowóz wysłany przez Petersa już tam stał. Funkcjonariusze kontaktowali się z Moore'em w środku i pilnowali samochodu Milesa. Nie wychodził. Gdy biegli po śniegu, doszły ich nikłe dźwięki kankana. Wyblakłe kolory gryfa wyglądały żywiej w świetle umieszczonej nad drzwiami lampy. Moore znajdował się z tyłu widowni.

— Jest tu?

— Czy jest?... Była wspaniała! Ubaw po pachy! Nie uśmiełem się tak, odkał...

Ludzie znajdujący się najbliżej rozglądali się dokoła, ale reszta nawet ich nie dostrzegła. Muzyka i oklaski brzmiały tak głośno, że musieli mówić sobie na ucho.

— Gdzie jest teraz?

— Za kulisami.

— A Miles?

— Tam.

— Gdzie?

Podążył wzrokiem za palcem Moore'a i w przejściu kilka rzędów od sceny zauważył profil nauczyciela. Gdy tak patrzył, Miles odwrócił się. Czy zobaczył go i uniósł rękę? Nie był pewien. Poczul jednocześnie ogromną ulgę i kompletną pustkę.

Black nie odzywał się. Opierał się o ścianę i rozcierał ramię, posiniaczone podczas kolizji.

— Kiedy ją pan ostatnio widział? — zapytał Moore'a.

Po twarzy miejscowego konstabla przesunął się rieri niepewności.

— Podczas przerwy... Rozmawiałem z jej chłopakiem.

— Z jej chłopakiem?

— Z Lawrence'em.

Gates ruszył przejściem, mając za sobą Blacka. Miles patrzył na nich pytająco.

— Jak można się dostać za kulisy?

Bez słowa poprowadził ich wzdłuż pierwszego rzędu, gdzie panna Montrose wychyliła się do przodu z pytaniem na twarzy. Miles odpowiedział tylko pełnym zdziwienia wzruszeniem ramion.

Przedstawiany akurat numer osiągnął najwyraźniej punkt kulminacyjny, gdy dotarli na zaplecze. Cała scena drżała, a muzyka huczała ogłuszająco.

— Gdzie jest Ann Devenish?

— Zaraz ma wyjść na scenę. Ma się pokazać w finale.

Za kulisami tłoczyły się dziewczęta w różnym wieku i różnie poprzebierane: w trykotach, jako gryfy, jako nauczycielki z czasów królowej Wiktorii, stały jedna tuż za drugą, odwracały głowy, przyglądały się im z potem połyskującym przez makijaż.

— Gdzie ona jest?

— Ann?

— Kto widział Ann?

Pył połyskiwał w świetle lamp, a do tego w powietrzu unosiły się opary. Zjawiła się panna Montrose i mówiła coś, czego nie słyszał. Jedna z dziewcząt pokazywała drzwi.

— Wołałam ją... Są zamknięte na klucz i pomyślałam...

Black przyłożył ramię do drzwi.

— Tędy... — Dziewczynka otworzyła drzwi sąsiedniego pokoju.

Gdy Black wszedł za nią, na widowni zagrzmiały wiwaty i oklaski. Gates przyglądał się, jak kolega gramoli się przez okno do przyległego pokoju, a po chwili otwiera drzwi.

Pomieszczenie było puste.

Zasłonka powiewała przez otwarte okno.

— Czy to rzeczy Ann?

— Tak.

Stały się pośrodku podłogi. Przed kwadratowym, opartym o coś lustrem leżały kosmetyki użyte do scenicznego makijażu.

— Wszyscy wychodzą... proszę!

— Gdzie ona jest? — spytała panna Montrose.

— Może pani powiedzieć orkiestrze, żeby grała dalej?

Wziął od Moore'a krótkofalówkę i skontaktował się z ludźmi na zewnątrz. — Znajdziecie ślady...

Panna Montrose — musiał to przyznać — była jak policja w kryzysowej sytuacji, mówiąc ludziom, co powinni zrobić, bez dyskusji, jakby była do tego stworzona. Dziewczęta ustawiły się w rzędzie, by wejść na scenę, kotłując się razem z tancerkami kankana.

Pani Devenish stanęła przed nim, blokując drogę, a za nią zjawił się jej mąż. Ścisnęła przed sobą torebkę, wbijając w nią paznokcie.

— Gdzie ona jest?

— Szukamy jej, pani Devenish...

— Chciała zadzwonić do pana dziś rano.

Kątem oka widział Milesa, jak gromadzi kilka dziewcząt, zatrzymuje się i odwraca.

— Dlaczego?

— Była jak szalona... Miała jeden z tych swoich...

— Co mówiła? — prawie krzyczał.

— Mówiła, że zabiła panią Miles. — Odwróciła się, jakby chciała przeprosić Milesa, wykręcając bez końca swą torebkę. — Była jak w...

— Wiedział pan o tym? — zwrócił się do Milesa.

— Nie!

Był zdumiony, zagubiony, mówił coś do jednej z uczennic, wskazując na pannę Montrose.

— Wie pan, gdzie ona może być?

— Nie mam pojęcia! — odparł Miles. — Nie rozumiem. Była...

— Chata.

Orkiestra prawie zagłuszała słowa, zaczynając znowu grę od trzech głośnych akordów. Próbowwała się przez nią przedrzeć Eileen Devenish.

— Chata, którą sprzątam. Było o niej dziś rano. Ona mówiła...

W niedokończonym zdaniu było coś dziwnie znaczącego. Zerknęła też na Milesa, a w tych spojrzeniach widać było szok osoby, która właśnie zaczyna myśleć, że niemożliwe jednak jest możliwe.

Po wyjściu z gorących pomieszczeń wieczór wydawał się tym bardziej zimny. Podczas gdy Gates wraz z Devenishami wsiadał do radiowozu, Black otwierał drzwi samochodu Milesa.

— Mogę jechać z panem?

Miles popatrzył na niego tępo.

— Oczywiście, że tak... Oczywiście...

Gdy Devenishowie zamykali drzwi, nadbiegła Linda, naciągając długi czarny płaszcz na krótką spódniczkę. Wciąż słychać było muzykę i oklaski, dopóki nie zamknięto drzwi. Dopiero gdy Gates sięgnął po radiotelefon i wezwał karetkę, Norman Devenish przemówił po raz pierwszy.

— Karetka? Powlokła się gdzieś, jak zawsze — rzekł. — Po co...?

— Jakie tabletki zażywa?

— Tabletki?

Powiedział im.

— Dawkowanie?

— Na miłość boską!... Widziałam je tysiące razy, ale...

Gates przekazywał informacje, gdy mijali most i wjeżdżali na prowadzącą wzdłuż rzeki drogę.

— Wiedziałam — odezwała się Linda.

— Wszyscy wiedzieliśmy — rzekła na to pani Devenish. Wciąż ścisnęła torebkę, paznokcie bezustannie wbijając w skórę.

— Co wszyscy wiedzieliśmy? — wtrącił Norman Devenish. — Cholera, nikt nic nie wiedział, ja nic nie wiedziałem, chodzi ci o te pieprzone bzdury, które wygadywała rano, o to ci chodzi? Zwiąła... Znam moją córkę... Znam moją Ann, uciekła gdzieś na te cholerne wzgórza i wróci za parę dni, i...

Drzwi chaty zamknięte były na klucz. Przez małe okienko dostrzegli płonący na kominku ogień, brzeg sofy i nic poza tym. Zwykły przechodzień pomyślałby, że ktoś po prostu schował się przed zimnem, nic więcej. Bezskutecznie walili w ciężkie drzwi. Na końcu ulicy zaczęły otwierać się domy, z których powychodzili ludzie.

— Mój klucz został w naszej kuchni — powiedziała pani Devenish, w udręce wysypując zawartość torebki na śnieg.

Norman Devenish wracał już do radiowozu, gdy Gates zwrócił się do Milesa: — Ma pan klucz?

Może to dlatego, że słowa Gatesa zabrzmiały raczej jak prośba niż jak oskarżenie. Jednak bardziej prawdopodobne jest to, że był to zwykły odruch, gdy Miles wsunął dłoń do kieszeni. Tylko gest, po którym nauczyciel odpowiedział na pytanie zdziwioną miną. Gates chwycił go za kłapy marynarki i rzucił nim o drzwi. Nawet nie przyszło mu do głowy, że rzeczywiście może mieć ten klucz, choć to właśnie najbardziej oczywiste rzeczy najłatwiej można przeoczyć.

Black przeszukał kieszenie Milesa. Drobne. Chusteczka. Klucze. Kilka firmy Yale. Kluczyk do samochodu. Jeden Ingersoll. Pani Devenish jak niemowa wskazała palcem na ten ostatni, a gdy się odezwała, wciąż słychać było, że nie może w to uwierzyć.

— Wygląda podobnie...

Klucz wszedł, ale nie chciał się przekręcić.

— Proszę pociągnąć drzwi do siebie... — podpowiedziała pani Devenish.

Klucz obrócił się.

Leżała naprzeciw kominka. Zwinęła płaszcz i podłożyła pod głowę jak poduszkę. Wciąż miała na sobie ubranie z przedstawienia. W czerwonej spódnicy

rozłożonej na podłodze i apaszce przewiązanej wokół szyi wyglądała jak jakaś groteskowa woskowa podobizna panny Montrose.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Ona czy Miles, któreś z nich bardzo się starało. Ustalono później, że wypić albo podano jej, zależy jak na to patrzeć, jakieś trzysta pięćdziesiąt mililitrów whisky (ponad jedną trzecią butelki) wymieszanej z tuzinem kapsułek ergotaminy i paracetamolem. Tętno miała słabe i nieregularne. Kilka razy zdawało im się, że przestała oddychać.

W karetce i w szpitalu Gates tkwił przy niej wierniej niż rodzice. Czy stanowiła dla niego jedynie część sprawy, dowód, którego potrzebował? Miles miał klucz. A dzięki temu on miał Mileśa — przynajmniej tak mu się zdawało.

Wmówił sobie, że ona umrze, a jeśli odzyska przytomność, to tylko na kilka minut. Gdyby umarła, to musi z nią porozmawiać. Przed rodzicami, przed lekarzami. Należała do niego.

Black, który odwiózł Mileśa na komisariat, też przyjechał do szpitala.

— Pamiętam, jak przewróciłem ją w lesie... — powiedział. — Jak przyjechała na komisariat...

Nawet taki twardziel jak Black był poruszony. Naprawdę poruszony. Co w niej takiego było? Przyprawiała jedynie o bezsenne noce, a mimo to...

Zadzwoił do Claire z automatu tuż za drzwiami oddziału.

— Wyjdzie z tego?

— Lekarze niczego nie mówią. Jak zwykle...

Był taki zmęczony, że opierał się o ścianę z na wpół zamkniętymi oczami. Powinien być teraz w domu z własną córką, pragnął założyć łańcuch na frontowe drzwi domu i zawołać, że wrócił.

Zamiast tego mówił: — Czeka mnie kolejna pracowita noc...

Kawa z automatu na końcu korytarza smakowała jak gorąca czekolada, chyba że Black wcisnął nie ten guzik.

— Jeszcze tyk czekoladki? — pytał teraz. — Tak do snu?

Nigdy nie byli sobie bliżsi przy żadnej sprawie. Gates wrócił na oddział i nie dawał się z niego usunąć. Był moment, że oddziałowa wzięła go za ojca, a on nie

sprostował. Czy nie była to w jakimś sensie prawda? Czuł, że taka właśnie była jego rola przez minione dwa lata, na równi z rolą detektywa. Prawdę mówiąc, gdyby Sheila urodziła jeszcze jedno dziecko, byłoby teraz mniej więcej w wieku Ann. Czy to także nie był jeden z powodów? Bez przerwy patrzył na szarą, przypominającą surowe ciasto twarz i nachylał się, by wsłuchiwać się w niepewny, płytki oddech. Jej policzki i szyja wyglądały, jakby się skurczyły.

Składał i rozkładał kawałek papieru, który, jak później zobaczył, był jego biletem na koncert.

— Proszę wejść.

Upuścił karteczkę do kosza na śmieci. Jej dłonie były zadziwiająco małe, a gdy ujął jedną w swoją rękę, zdawała się prawie nic nie ważyć.

Odzyskała przytomność o pierwszej w nocy i musiał stoczyć bitwę, by przeдрzeć się przez kordon lekarzy i pielęgniarek. Pomógł mu fakt, że go rozpoznała, przynajmniej na to wyglądało, i wyciągnęła do niego rękę. Uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń. Jej usta to otwierały się, to zamykały, nie wydając z siebie ani słowa. Usiadł na łóżku i objął ją ramieniem. Wyszepiała coś, czego nie zdołał zrozumieć, i opadła na niego. Oddziałowa wysunęła się do przodu, lecz młody lekarz powstrzymał ją.

Najprawdopodobniej tylko on usłyszał jej słowa wyraźnie.

— Zabiłam ją.

Czy istotnie tak myślała? Czy to biedne, niemądre, skołowane dziecko istotnie tak myślało? Starając się panować zarówno nad gniewem, jak i nad własnym bólem, odsunął sztywne białe prześcieradło od jej twarzy.

— Nie zabiłaś jej, Ann.

— Ja.

Jej oczy były jak niewidzące szare kałuże utkwione w jego twarzy.

— Nie mogłaś jej zabić ze względu na krew.

Lekarz położył dłoń na jego ramieniu, lecz on ją strząsnął.

— Ten, kto to zrobił, musiał poplamić się krwią... Czy ty wchodziłaś do tego domu, Ann?

Jej usta poruszyły się. Czy skinęła, ledwo zauważalnie skinęła głową? Zapomniawszy się, ścisnął ją w podekscytowaniu za bark. Jej oczy mówiły „tak”, a po chwili potaknęła, jednoznacznie i pewnie skinęła głową.

Lekarz powiedział coś do pielęgniarki i wysunęli się do przodu.

— Przykro mi...

— Mówię o domu w Staunton, Ann... O tym drugim domu... gdzie zamordowano Valerie Miles...

Coś drgnęło w jej twarzy, jakby zaczęła jej powracać, może niekoniecznie cała, świadomość, i był pewien, że chce mu coś powiedzieć, lecz oczy zaszyły jej mgłą i zamknęły się, a lekarz chwycił go za ramię.

Gdy wychodził tamtej nocy ze szpitala, zdawało mu się, że wszystko wie. Przekonany był, iż wie, co zaszło, i że jedno czy dwa przesłuchania to potwierdzą. Jednak Ann Devenish była jak zawsze frustrująca i nieobliczalna. Siłą rzeczy zakładał, że po tym, co zrobił Miles — albo co według jego przypuszczeń mógł zrobić — Ann dostarczy mu dowodów przeciwko niemu.

Nic z tego!

Oznajmiła matce i ojcu, że z nim współżyła, mówił Gates.

To był wytwór jej wyobraźni. Wiedzieli o tym. Wiedzieli, jaka jest.

Był, rzecz jasna, klucz, klucz do chaty w kieszeni Mileasa. Gatesowi wydawało się, że to wystarczający dowód. Nic nie mogło go podważyć. A jednak nic z tego nie wyszło.

John Miles oświadczył, co następuje: Klucz oczywiście znajdował się w jego kieszeni, bez dwóch zdań. Podobnie jak pamiętnik i zegarek, należące do innych dziewcząt, które również znalazł w szatni. Tak jak z kluczem, czekał, by móc je zwrócić prawowitym właścicielkom. Oczywiście, że przypomniał sobie o nim, gdy stali przed chatą, i miał już otworzyć usta, gdy inspektor Gates rzucił się na niego, czego świadkami byli ludzie na końcu ulicy, nie mówiąc już o państwu Devenish...

Oskarżenie o napaść było już w trakcie przygotowania.

Ann Devenish miała drugi klucz, to prawda, ale w chacie było kilka zapasowych i najprawdopodobniej zwyczajnie wzięła jeden z nich. Tak właśnie powiedziała.

Miles nie potrafił zrozumieć obsesji, za jaką uganiał się inspektor Gates, podczas gdy w areszcie czekał człowiek, który przyznał się już do zamordowania jego żony. Bez wątpienia, gdyby był tym wyrachowanym, doskonale przygotowanym mordercą, jakiego chciał z niego zrobić inspektor Gates, nie popełniłby przecież czegoś równie żałosnego, jak pozostawienie trefnego klucza we własnej kieszeni!

Gates ledwo mógł wytrzymać w pokoju przesłuchań. Po przeczytaniu zeznania podarł je na kawałki.

Peters był nie do zniesienia:

— Masz już swoje zeznanie, Dick?

Jeszcze gorsza, znacznie gorsza była Ann Devenish. Nie oczekiwał, że podziękuje mu za uratowanie życia, zwłaszcza po tym, jak oznajmiła, że zamierzała z nim skończyć. Nie pojmował jednak, za nic nie potrafił zrozumieć jej stosunku do Milesa. Mógł wymknąć się podczas koncertu, bez trudu zwodząc Moore'a. Samochodem to tylko pięć minut jazdy. Czy pojechał tam podczas koncertu? Jeśli tak, co się stało? Czy...?

Czy ktokolwiek rozumował podobnie dwa i pół roku temu, gdy znaleziono martwą Lucinę Gray?

Pearson powiedział mu, zanim Gates wypadł przez bramy szkoły Grove Gardens do swojego samochodu, że „zastanawiał się...”. Ale niezbyt długo. Tylko jedna osoba oskarżyła Milesa o jej zabicie — jej chłopak, Ian Sullivan, ale ponieważ zrobił to po ugodzeniu Milesa nożem, jego zarzuty zlekceważono i uznano jedynie za próbę usprawiedliwienia własnej agresji. Gates dowiedział się z policyjnych akt, że Sullivan, który figurował w kartotece za drobne kradzieże, został przesłuchany w sprawie tragicznej śmierci Lucindy Gray, natomiast John Miles nie. Ostatecznie uznano, że było to samobójstwo.

W wypadku Ann Devenish byłoby podobnie, gdyby zmarła. Gates nie miał co do tego wątpliwości. Nazajutrz po koncercie nie wątpił też, że Miles albo usiłował ją zabić, albo zachęcał do popełnienia samobójstwa, albo przynajmniej nie próbował mu zapobiec. Tamtego ranka wyjawiała przecież całą sprawę. A tego samego dnia wieczorem prawie zmarła w chacie. Czy na pewno nasuwał się tylko jeden nieuchronny wniosek?

A mimo to Ann Devenish nie chciała powiedzieć choćby jednego złego słowa na temat Milesa. Ani takowych słyszeć.

Podobnie zresztą, ku jego bezgranicznemu zdumieniu, Eileen i Norman Devenish. Sami widzieli, a mimo to woleli nie wierzyć. Ich córka była poważnie chora. Nie zabiła Valerie Miles ani nie miała romansu z jej mężem. To było urojenie, urojenie podsycane jeszcze przez inspektora Gatesa. Od chwili, gdy dwa lata temu zabrał ją do tamtego domu...

Odzyskując siły w szpitalu, Ann Devenish zaczęła w końcu mówić. To ona była tym przestępcą. Popełniła nie tylko tamto, ale wszystkie trzy morderstwa. Dlatego próbowała się zabić. Była w tamtym pierwszym domu, Gates przecież wiedział. Była w Lynford, gdzie zamordowano tę drugą kobietę.

Tym, co naprawdę przerażało Gatesa, prawie przyprawiając go o zawrót głowy, był fakt, że zdawała się wiedzieć o tych morderstwach wszystko. Potrafiła opisać je ze szczegółami, nawet kobietę, która została zgwałcona i uduszona w Lynford. Wyglądało na to, że te opowieści sprawiały jej przyjemność, płynąc z ust — zdaje się, że to najodpowiedniejsze słowo. Opisała sypialnię i łazienkę w Lynford — pomyliła się tylko w tym, że umieściła martwą kobietę na podłodze, nie na łóżku.

Niekiedy mówiła tak przekonująco, że Gates zaczynał się pocić w przegrzanej szpitalnej sali. Czyżby we wszystkim się mylił? Mylił się nawet co do Deana? Czy przez ciągłą presję wymógł na nim dwa pierwsze zeznania, tak jak twierdził, że Eddie przemocą wydarł to ostatnie?

Wówczas opanowała go zimna złość. Nie była to jedynie kwestia *odkrycia* prawdy; równie ważne stało się, by prawda dotarła do tej dziewczyny. Czy był jedynie detektywem, czy także rodzicem starającym się z całych sił dotrzeć do nastolatki, tak jak to często robił z Claire po śmierci Sheili?

Gdy na jej blade policzki powróciły rumieńce, a do oczu iskierki drwiny, zaczął bezlitośnie czepiać się wszystkiego, co mówiła. Była w Lynford nazajutrz po, a nie w dniu morderstwa. Tamta kobieta została zgwałcona. Czy ona tego dokonała? No, ona?

Denerwował lekarzy i rodziców. Mimo to nie odszedł. Nie poddał się. Gdy nie pozwalali mu z nią porozmawiać, czekał. Gdy odmawiała odpowiedzi na jego pytania, czekał, aż — było to trzeciego dnia jej pobytu w szpitalu — zaczęła krzyczeć, że jest zła, czy on tego nie rozumie? czy to mu nie wystarcza?, a na kopiec chlusnęła mu w twarz kawą.

Siedział tam, wyciągając chusteczkę, a kawa wsiąkała mu w koszulę. Oczy miała rozbiegane, kolana podciągnęła pod brodę w transie złośliwości.

— Zawsze miałam ochotę to zrobić... Nie aresztuje mnie pan?

— Za rozlaną kawę? Nie.

Roześmiała się śmiechem, który zanikł z wolna w ciszy, tak jak z jej twarzy znikła stopniowo złośliwość. Wymamrotała coś niewyraźnie.

— Słucham?

Patrzyła mu prosto w oczy, zaciskając ręce, i wciąż mówiła tak cicho, że musiał mocno wytężyć słuch, żeby pochwycić jej słowa.

— Nie jestem już dwiema osobami.

— Co masz na myśli?

Wstała bez słowa. Tego popołudnia po raz pierwszy była ubrana w dżinsy i sportowe buty, choć bez sznurowadeł. Podeszła do okna.

Jak na złość, teraz, gdy święta były tak blisko, jaskrawe zimowe słońce topiło śnieg. Czy Ann zadrżała? Nie był pewien.

- Możemy wyjść?
- Dokąd?
- Chcę panu coś pokazać — odparła.

TRZYDZIEŚCI

Kazała im pojechać drogą w stronę Staunton i gdy jechali na wzgórze, Gates nie mógł zapanować nad podnieceniem. Myślał, że każe im się zatrzymać przed domem Milesów, lecz ona ledwo nań spojrzała, kierując ich dalej w stronę Lynford, a potem zmieniwszy zdanie, wskazując na drogę, która zwracała z powrotem na wzgórze. Dotarli do rozwidlenia i kierowca stanął.

- Którędy?
- W lewo. Nie, w prawo.

Droga pięła się w górę pomiędzy brzoźami. Śniegu było tu więcej, ale też już zaczynał topnieć. Zbyt często był już tak blisko, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że...

Wiodła ich ścieżką, która wiła się między brzoźami i doprowadziła do Greenway, gdzie zaczął smagać ich wiatr i skąd mogli zobaczyć całą dolinę, otuloną narzutą w bieli i zieleni. Gdy dął wiatr, jej policzki zdawały się napełniać jak balon.

Dała nura na inną ścieżkę, a oni poszli za nią, sapiąc, ślizgając się na zaspach z liści i mokrego śniegu. Zatrzymała się przy pniu zwałonego drzewa. Ted, kierowca, flegmatyk z Yorkshire, zaczął kopać tam, gdzie mu pokazała, przedzierając się przez liście, przez ił, przez rzedzinę pomiędzy korzeniami, podczas gdy ona siedziała na pniu i paliła papierosa.

Niczego tam nie było.

Wpatrywali się w dziurę. Gates panował nad sobą. Nie odzywał się. Zapatrzył się tylko w krajobraz.

Ted zdjął kurtkę. Dyszał ciężko, a mokry ogon koszuli powiewał mu na plecach.

Czy mu się zdawało, czy na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu? W półmroku pośród drzew nie sposób było stwierdzić na pewno. Wrzuciła papierosa do dziury i zerwała się na równe nogi, niecierpliwie czekając, aż znów ruszą w drogę.

Wrócili na Greenway. Słońce było jak błyszcząca pomarańcza zawieszona nisko nad doliną. Za niecałą godzinę będzie ciemno. Prowadziła ich, rozglądając się na boki, przystając czasem. Ted maszerował w rozpiętej kurtce z łopatą zarzuconą na ramię. Humor mu dopisywał.

— Pewnie miała tylko ochotę na spacer — rzekł.

Stanęła i obejrzała się na nich, jakby prowokując do tego, by dali sobie spokój. Gates stał razem z nią, nie odzywał się, aż ruszyła znowu.

Gdy światła było coraz mniej, poprowadziła ich ścieżką do innego pnia. Tym razem nie paliła. Siedziała cicho, obojętnie, jakby nie mogła się doczekać, żeby już stamtąd iść, gdy Ted wykopał reklamówkę zawierającą kilka kart kredytowych, bransoletkę i parę pierścionków z diamentami i szafirami.

Wartość pierścieni oceniono na kilka tysięcy funtów i stwierdzono, że pochodzą z pewnego domu w Belford, który znalazł się na liście włamań przypisywanych Deanowi.

W ciągu następnych dwóch słonecznych, chłodnych dni, podczas których śnieg zginął zupełnie, ciągała ich z jednego końca doliny na drugi. Czasem niczego nie znajdowali i Gates był pewien, że robiła to rozmyślnie, wiedziała, że nic tam nie ma, i czekała tylko, żeby go zmęczyć albo wyprowadzić z równowagi. Niekiedy była ponura i milcząca, a znów innymi razy żartowała razem z nimi. Pomiedzy bezowocnymi wyprawami znaleźli cztery kryjówki ze skradzionymi dobrami, dwie niedaleko od Chalkbank, jedną w pobliżu Staunton i jedną aż na zachód od Woodment. Między jednym odkryciem a drugim zaczynała mówić. Gates zawsze czekał, nigdy nie naciskał ani nie prowokował.

Ci, którzy się temu przysłuchiwali, niekiedy Black, a najczęściej Tedkierowca, mówili, że to jak czary, nie byli pewni, czy to opowieść dziewczyny, czy Gatesa.

Wydawało się, że mówi o innej osobie, którą nazywała Ann z e, zaś Gates nie tylko jej nie poprawiał — co mogło się zdarzyć w przypadku osób mówiących „Zadawało mi się, że to się przytrafia komuś innemu...” czy „Nie byłem sobą” — on brał jej słowa za rzeczywistą prawdę.

Pamiętał, jak walczyła z sobą, gdy zaatakowała ją migrena u niego w biurze. Czy chciała się wtedy wykluczyć Ann z e? Czy ta dziwna istota wyłaniała się od czasu do czasu także teraz? Mógł się tego domyślić — och, doprawdy? nigdy nie był pewien — gdy wykręcająca palce dziewczynka szczerze zmagająca się z własną pamięcią ustępowała miejsca drwiąco spoglądającej tej drugiej.

Kiedy jeździli, kiedy kopali, kiedy stali na ponurym, zimnym wzgórzu albo pod drzewami skarpy, obserwował, jak jej twarz zmienia się niczym pędzone wiatrem chmury na niebie. Nie dowiedziałby się niczego, zupełnie niczego, gdyby nie miał własnej mapy. Tak jak krążyli po miejscach, gdzie zakopane były skradzione przedmioty, tak on sam krążył tego popołudnia, gdy zabito Valerie Miles.

— Czy wiesz, co stało się po lekcjach? Gdy pojechałaś do Belford?

— Nie! — Wykręcała palce w udęce. — Nie mam pojęcia!

Odwrocił się twarzą do niej i uśmiechnął szeroko.

— Biedny Lawrence!

— Słucham?

Mógł to sobie wyobrazić, zupełnie jakby tam wtedy był, bo prawdę mówiąc, był w tamtym miejscu, na wąskiej polnej drodze niedaleko Belford, na której ledwo mieścił się jeden samochód.

— Kiedy wskoczyłaś do samochodu i zostawiłaś go tam...

Nagle jej twarz przecięła szeroki uśmiech i zachichotała, zadowolona z siebie.

— Skakała... krzyczała... biegł za mną drogą... Prawie wjechałam w żywopłot...

Czy popadała w jakiś trans? Widywał ludzi, których własna przebiegłość zmuszała do mówienia, przechwalania się tym, co zrobili, przekonywania samych siebie, bo musieli z kimś o tym porozmawiać, ale to było coś innego. Zmieniała się na jego oczach. Jej rysy stawały się ostrzejsze, twarz bardziej pociągła, oczy bardziej czarne. Było w tym coś przerażającego, bardziej otwarcie złośliwego, niż dane mu było widzieć kiedykolwiek przedtem.

— Pojechałaś przez wzgórze?

— Tak. Wiedziałam, że muszę się tam dostać.

— Valerie Miles się dowiedziała?

— Gorzej. Wiedziała już od miesiąca. Wydawało się jej, że to przerwała, ale on nie mógł przestać się ze mną pieprzyć...

Prowokacyjnie wsunęła ręce między nogi.

— O szóstej Valerie miała się spotkać z panną Montrose... Była skarbnikiem absolwentek, ale wiedzieliśmy, czego miało dotyczyć to spotkanie...

Jasne. Panna Montrose mogła coś wiedzieć, ale tak jak Pearson w sprawie Lucindy Gray, o niczym nie wspomniała, bo to było nie do pomyślenia, nie do uwierzenia.

Oczy Ann Devenish pojaśniały, twarz nabrała bardziej tępego wyrazu. Gates miał ochotę ją dotknąć, ale nie śmiał. Czuł, że musi pozwolić jej ciągnąć za żyłkę, tak jak wędkarze łowiący pstrągi w rzece Ash, dopóki ryba nie zmęczy się na tyle, by nie móc jej zerwać.

— Zaparkowałeś pod wzgórzem...

Popatrzyła na niego z wahaniem i przez moment to on ciągnął opowieść. Przemierzył tę trasę sam. Zajęło mu to sześć minut. Był październikowy wieczór i światło było już dość słabe, a wierzchołki drzew na wzgórzu zaczęły ciemnieć i tracić kształty.

Oświetlona jak aktorka na scenie, Christine Dobson pisała na wprost okna. Wzrok Ann Devenish znów się wyostriżył, gdy mówił... a może teraz mówiła ona?... mówiła, jak obeszła dom od tyłu i miała zamiar dojść tylko do krzewów... Nie, to było w pierwszym domu, wciąż jej się wszystko mieszało... Czy powiedział to Gates, czy sama pamiętała, że podkradła się do tylnych drzwi i otworzyła je? Miała zamiar tylko posłuchać, o czym rozmawiają. Ale nie usłyszała głosów. W domu panowała świdrująca w uszach cisza, podkreślona jeszcze przez kąpiący kran.

Szła dalej. Korytarzem. Drzwi pokoju dziennego były uchylone. Z początku pomyślała, że on także nie żyje. Klęczał przy jej zwłokach z rękoma przy roztrzaskanej głowie, jakby chciał ją ukołysać. Dopiero później w panice powiedział Ann nieskładnie, że próbował tylko ją zatrzymać. Żeby nie poszła na spotkanie z panną Montrose. Zaczęli się szarpać i to dość gwałtownie. Poślizgnęła się, jak mówił, przysięgał, i uderzyła głową o wystający róg marmurowego kominka.

Ann Devenish dyszała, jakby nie znajdowała się na wzgórzu, lecz w tamtym pokoju, język jej wystawał, oczy wybałuszyła w przerażeniu.

Gates pozostał rzeczowy, wciąż zdawał się prosić o potwierdzenie tylko tego, co już wiedział.

— Ten telefon, to był twój pomysł?

To było jak poruszanie hologramem, gdy w mgnieniu oka jeden obrazek przemienia się w inny. Oczy rozblęły jej niczym u szaleńca i popłynęła opowieść.

— Oczywiście!

Powiedziała mu, że wie, co robić, co dokładnie robić, przecież była Jennerem, czyż nie? Miles był beznadziejny, bezużyteczny, sparaliżowany szokiem. Nie chciał nawet uwierzyć, że Valerie nie żyje! Uczynił z niej — z obu jej wersji — małą pannę Doskonałą, a potem któregoś dnia koło „The Star” spotkał ją, gdy szła do tamtej chaty, i jak tylko jej dotknął, miała wrażenie, jakby dżin uwolnił się z czarodziejskiej lampy...

Wiedziała, co robić tamtego popołudnia, mówiła, co dokładnie robić. Kazała mu zdjąć marynarkę. Była zakrwawiona.

— Nie dotykaj jej!

Im bardziej się denerwował, tym spokojniejsza była ona, aż stała się jak lód, a każdy jej ruch był przemyślany, celowy. Z głowy kobiety wystawała kość, tak jak przy tamtych zwłokach. Było dokładnie tak samo jak wtedy, mówiła, dokładnie, poza tym, że nie krzyczała, nie czuła nic, zupełnie nic. Był, rzecz jasna, strach, swego rodzaju zwierzęcy strach, jaki dobrze znała z kradzieży, które popełniła, a które zaczęły się tego samego wieczora, gdy zaczął się ich romans. Ten strach kazał jej zmusić go do działania.

— Foliowe reklamówki. Gdzie macie foliowe reklamówki?

— Co chcesz zrobić?

— Dawaj foliową torbę!

Zaczął wyciągać szuflady. Serwetki. Ścierki do naczyń. Złapią go, złapią ich oboje, bo on nie może znaleźć foliowej torebki! Co chwila zdawało się jej, że ktoś zaraz wejdzie. Była za piętnaście piąta, a za oknami ciemna szarość.

Znalazł reklamówkę ze sklepu Brandona z nadrukiem B w koronie, a ona włożyła do niej marynarkę. Umyła ręce. Przy zlewie leżały żółte gumowe rękawice, które nałożyła.

— Gdzie jej torebka? Portmonetka?

Wyjęła karty kredytowe, pieniądze, pierścionki i zabrała puszkę spod zlewu, gdzie znajdowało się kilkaset funtów w gotówce z akcji gromadzenia funduszy absolwentek Bishop Griffith's, wkładając wszystko do drugiej reklamówki.

— Załóż inną marynarkę, jak najbardziej podobną do tej...

Miał prawie same brązowe marynarki z naszywkami na łokciach i skórą na mankietach. Podczas gdy się przebierał, wyjęła z lodówki butelkę mleka. Było tak lodowate jak ona. Wypiła, wypłukała butelkę, postawiła ją na suszarce, ściągnęła rękawice i wrzuciła do reklamówki.

Miała wrażenie, że minęła godzina, mówiła Gatesowi, a upłynęło zaledwie pięć minut. Była za siedem piąta, gdy znaleźli się w słabo oświetlonym hallu w pobliżu obrazków z kwiatami.

Wyszła na ganek z dwiema foliowymi torbami w rękach. Minęła ciemnoniebieskiego cavaliera Milesa, zaparkowanego na podjeździe, i miała właśnie wyjść bocznymi drzwiami. W oknie naprzeciwko kobieta wciąż coś pisała. Cavalier z pewnością stał poza zasięgiem jej wzroku. W głowie pędziły jej myśli i zaczęła działać, jeszcze zanim pomysł dobrze uformował się w jej mózgu. Zwróciła się do Milesa.

- Była w oknie, gdy przyjechałeś?
- Nie wiem.
- Pomyśl!
- Nie wydaje mi się... Nie pamiętam!
- Znasz jej numer telefonu?

Valerie Miles była skrupulatną kobietą i na tablicy w kuchni umieściła listę potrzebnych telefonów, wśród których znalazł się też numer Christine Dobson.

— Zadzwoń do niej, jak tylko zobaczysz, że nadjeżdża mój samochód... Nie rozmawiaj z nią!... Zwyczajnie połóż słuchawkę z boku telefonu!

Za każdym razem, gdy Ann Devenish chciała przerwać albo zaczynała się jąkać, Gates zachęcał ją, by mówiła dalej.

— Samochód Lawrence'a to sierra, w dodatku granatowa, nie ciemnoniebieska, ale w półmroku wyglądała tak samo...

— Właśnie!

Kucała na wzgórzu, drząc z napięcia, jej ręce zdawały się zaciskać na kierownicy i zmieniać biegi, jakby naprawdę była w samochodzie.

Opowiadała mu, jak usiłowała sobie przypomnieć, co Lawrence mówił o ruszaniu pod górkę. Zwiększyć obroty. Spuścić hamulec ręczny. Nigdy wcześniej nie zrobiła tego równie doskonale!

Zwolniła, gdy zbliżała się do domu Milesów i zobaczyła, jak kobieta podnosi wzrok i zauważa światła samochodu skręcającego na podjazd. W lusterku dostrzegła tylko, że sąsiadka wróciła do pisania. Czemu Miles nie dzwonił? Co on, do diabła...?

Kobieta wstała. Wyszła z pokoju.

Gdy tym razem Gates przemówił, dziewczyna jakby go nie słyszała. Jej ręce poruszały się jak w amoku niczym oszalały semafor, gdy walczyła z niewidzialną dźwignią zmiany biegów.

Nie mogła wrzucić wstecznego. Tkwiła bez końca na podjeździe, a przed nią stał samochód Milesa. Cholera, o cholera! Co jej mówił Lawrence! Pchnąć w prawo i... Samochód wciąż był dość nowy, a dźwignia sztywna. W lusterku wstecznym ciągle widziała oświetlone okno naprzeciwko. W każdej sekundzie oczekiwała powrotu tamtej kobiety... Miles wybiegł z domu, a w tej samej chwili ona ze zgrzytem włączyła bieg. Samochód w podskokach ruszył podjazdem do tyłu, prawie ocierając się o bramę.

Pokój naprzeciwko wciąż był pusty, gdy znów zgrzytnęła skrzynią biegów, wrzucając jedynkę, i przyspieszyła w stronę Belford, podczas gdy Miles, nadal w szoku, przebiegł przez ulicę, żeby powiedzieć Christine Dobson, że właśnie wrócił do domu i znalazł martwą żonę.

Ann Devenish stała sztywno, wpatrując się intensywnie w Blacka wybałuszonymi oczami tkwiącymi w białej twarzy.

— Co z Lawrence'em? — rzekła.

Zachowywała się dokładnie tak, jakby właśnie wysiadła z samochodu tamtego popołudnia. Jeśli się zgrywała, Gates pomyślał, że w życiu nie widział lepszego przedstawienia.

— Znalazłaś Lawrence'a tam, gdzie go zostawiłaś? — spytał.

Stanęła do niego tyłem, a potem znowu przodem, jakby się właśnie obudziła i usiłowała ustalić, gdzie się znajduje. Zaczęła się trząść i nie mogła przestać. Za-uważyli, że jest mokra od potu i zabrali ją do samochodu, okryli kocem i nalali kawy z termosu. Nic więcej z niej nie wyciągnęli. Było tak jak ze spowiedzią przed rodzicami w dniu koncertu, rozmyślał Gates. Zamknęła się w sobie, a usta zacisnęła w wąską, posępną linię. Nie chciała potwierdzić tego, co powiedziała, podobnie jak w przypadku rozmowy z rodzicami. Co więcej, zmarszczyła brwi, jakby w ogóle niczego nie pamiętała albo uważała, że mówią bzdury.

Gdy kończyła kawę w samochodzie, Gates i Black pili swoją na skraju płaskowzgórza. Pod nimi, w stronę rzeki, znajdowało się pastwisko, z którego wraz z pierwszym śniegiem zabrano owce. Black, pijąc, łamał plastikowy kubek.

— Co za przedstawienie — odezwał się.

— Tak sądzisz?

— To znaczy... Dowiedzieliśmy się tego wszystkiego, to prawda... ale wciąż nie mam bladego pojęcia, czy weszła do tamtego domu, czy nie... Powiem ci, co wiem... Wiem, co pomyśli Green. Co powie... Gdzie są dowody? Nie staje ci przed oczami ten jego pukający w biurko tłusty paluch? Co się stało z tamtymi torbami, Dick?

— Leżały w bagażniku samochodu Lawrence'a, zaparkowanego przed domem, gdy wchodziliśmy do środka obejrzyć Valerie Miles — powiedział Gates.

Black popatrzył na niego. Zduśił papierosa w plastikowym kubku.

— A potem co...?

Lecz zanim zdążył dokończyć zdanie, Gates wracał już do samochodu.

B było późne popołudnie i Ann Devenish wyraźnie oczekiwała, że zostanie przewieziona z powrotem do aresztu dla nieletnich w Kingston, gdzie przebywała po tym, jak postawiono jej zarzut dokonania kilku kradzieży. Gdy minęli ośrodek, wykazała pierwszą oznakę życia, odkąd opuścili wzgórze.

— Dokąd jedziemy?

Gates zignorował jej pytanie, tak jak ona często ignorowała jego. Czyż ostatnie dni nie były swego rodzaju wyrafinowaną dziecinną grą między ich dwojgiem? Czyż nie byli do siebie podobni w tym, że oboje nie wierzyli w plany i pozwalali, by każdy zakręt drogi decydował o tym, jaką trasę obiorą? Czy ona nie powiedziała mu już na swój sposób?

Zabrali ze sobą ze Stoke parę psów i ich przewodników. Popatrzyła na najeżone owczarki niemieckie i powtórzyła pytanie, lecz znów nie otrzymała odpowiedzi. Wtedy zamilkła i nie odzywała się, gdy samochód wspinał się w stronę Beacon Ridge, niedaleko miejsca, gdzie chłopcy odkryli pierwszą kryjówkę. Zapadła się głęboko w siedzenie, wciskając kolana w fotel przed sobą.

Była to ostatnia godzina światła. Zaparkowali w miejscu, gdzie często odbywały się pikniki na szczycie grzbietu i zaczęli przedzierać się w dół. Zabierała ich tam kilka razy i za każdym razem była to ekspedycja bezowocna. Wcale ich nie zwodziła — jak mu się z początku wydawało — żeby zadrwić i trochę pomęczyć. Ona sama jednocześnie wiedziała i nie wiedziała.

Nawet już po wszystkim nie był w stanie powiedzieć, czy to ona zaprowadziła go w to miejsce, czy sami je znaleźli. Szła wzdłuż Greenway w zniszczonych, brudnych adidasach z chlapiącymi długimi językami, po czym ześlizgnęła się bezmyślnie w dół zbocza pośród opadających deszczem liści. Stała, jak to często robiła, wpatrując się tępo w opary powstające znad rzeki, które już przesłoniły niższe części zbocza i wisiały pomiędzy drzewami jak dym. Niedaleko kawałek drewna przymocowany do liny chłopców kręcił się delikatnie na wietrze.

Nie wydobyła z siebie ani słowa, a on niczego się od niej nie domagał. A mimo to musiała między nimi istnieć jakaś nić porozumienia, przepływ informacji, spojrzenie, gest, które mówiło, ciepło, zimno, gorąco... W ten sposób, dzieląc drogę na zdawałoby się przypadkowe etapy, zeszli znacznie niżej, na brzeg małego strumienia, gdzie wielka brzoza o korzeniach odsłoniętych przez zniszczoną erozją glebę pochylała się nad doliną.

Psy zaczęły szczekać jak oszalałe. Jasny piasek osuwał się w dół zbocza. Trzeba było odciągnąć zwierzęta. Leżała tam foliowa torba od Brandona ze znajomym koronowanym B. W niej znajdowała się brudna, zapaprana ziemią brązowa marynarka ze skórą na łokciach i wokół mankietów. Gdy gleba odsłaniała stopniowo reklamówkę, co rusz błyskał flesz aparatu.

Przyglądała się, zupełnie nieruchomo, jak zakładają gumowe rękawiczki. Marynarka była złożona na pół i sklejona przez zaschniętą krew. Wpatrywała się w nią z wielkim napięciem, dopóki nie schowano jej z powrotem do torby, a wtedy jej spojrzenie padło na policjanta sypiącego z powrotem ziemię do dziury i na nim pozostało. Gatesowi przyszło nagle do głowy, że dla niej była to nie tyle ekshumacja, co właśnie pogrzeb. Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń, gdy łopata brzęknęła o kamień, Ann nabrała garść ziemi i wrzuciła ją do znikającej dziury.

Policjant wyszczerzył zęby: — Z prochu powstałeś...

Nagle wydała z siebie potężny krzyk, który rozbijał się i odbijał echem od wzgórz, płosząc ptaki, które uleciały z drzewa z głośnym furkotem. W mroku na zboczu wzniesienia zabrzmiało to bardziej jak ryk zwierzęcia niż krzyk istoty ludzkiej. Podeszła do Gatesa i przytuliła twarz do jego piersi. Drżąc i szlochając, mówiła:

— Zabierał mnie do chaty. Ona... ja... go kochałam. Ja... ona myślała, że umrzemy razem.

Położył dłonie na jej barkach, jakby chciał ją odsunąć, a po chwili objął ramieniem. Policjant zerwał trochę trawy i otarł błoto z łopaty. Black odwrócił się i rozmawiał z opiekunami psów.

Gdy wspinali się z powrotem pod górkę, było już ciemno, a w powietrzu czuć było mróz.

Ludzie musieli jakoś się dowiedzieć, co się działo, bo gdy policyjne samochody dotarły do Ashminster, przed „The Star” zgromadził się niewielki tłum. Pośrodku Gates wypatrzył Brandona. Niewielka kawalkada musiała zwolnić, gdy tam dojechali. Inspektor przesunął się, by osłonić Ann Devenish, lecz ona nie miała najmniejszego zamiaru się chować, siedziała wyprostowana i dosłownie uśmiechała się, unosząc rękę, jak to później określił Black, jakby była jakąś pieprzoną królową. Ów gest tak wszystkich zaskoczył, że większość ze zgromadzonych — łącznie z Brandonem, Lindą i Lawrence'em, którzy wysunęli się do przodu — odpowiedziało jej tym samym, gdy samochody przejeżdżały pod choinkowymi lampkami rozpiętymi między sklepem Brandona a „Copper Kettle”, skąd skręciły na drogę do Stoke Prior. Była Wigilia Bożego Narodzenia.

Tydzień później John Edward Miles został oskarżony o zamordowanie żony, Valerie. Ann, znana również jako Anne, Devenish stanęła przed zarzutem dokonania ośmiu kradzieży oraz utrudniania pracy wymiaru sprawiedliwości przez ukrycie zaplamionej krwią marynarki. Należała, by w zeznaniu pojawiły się oba sposoby pisowni jej imienia, w innym wypadku odmówiłaby podpisu. Gdy już jednak do tego przyszło, podpisała zeznanie pewnie i wyraźnie, po prostu Ann Devenish.